Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 3 (1451) ROK XXIX 18 STYCZNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Młodzież — polityka — autorytety
- Swój chłop i wichrzyciele
- Lubieżnicy
- Zmierzch stulecia kina
- Przed balem w przepiórkach

Pierwsze godziny, dni, tygodnie...

12 stycznia 1945 roku ruszyła styczniowa ofensywa Armii Czerwonej, zwana też operacją wiślano-odrzańską. Na szerokości 500 km ruszyły do natarcia wojska 1 Frontu Białoruskiego dowodzone przez marszałka Gieorgija Żukowa, 1 Frontu Ukraińskiego dowodzone przez marszałka Iwana Koniewa. Ich natarcie wspomagały wojska 2 Frontu Białoruskiego pod dowództwem marszałka Konstantego Rokossowskiego i wojska 4 Frontu Ukraińskiego dowodzone przez generała Iwana Pietrowa. Nacierały one na wojska niemieckie z Grupy Armii „A" na początku dowodzone przez gen. J. Harpego a od 18 stycznia 1945 roku przez generała F. Schörnera.

Radzieckie natarcie ruszyło z przyczółków pod Magnuszewem, Puławami i Sandomierzem. Armia Czerwona rozpoczęła wyzwalanie ziem polskich na zachód od Wisły. W walkach o wyzwolenie Warszawy brała udział 1 Armia Wojska Polskiego. Warszawa wyzwolona została 17 stycznia 1945 roku

18 STYCZNIA 1945 R.

wojska zgrupowane na lewym skrzydle 1 Frontu Białoruskiego otrzymały rozkaz opanowania Łodzi.

„W dniu 19 stycznia — piszą Kazimierz Badziak i Włodzimierz Kozłowski w książce „Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej Styczeń 1945" — *we wczesnych godzinach rannych, do zdecydowanego pościgu w kierunku Łodzi przeszedł 11 Korpus Pancerny. Po kilku godzinach marszu czołowe brygady przeszły 50 km i skoncentrowały się na północno-wschodnich przedmieściach Łodzi. Trasa marszu wiodła przez Ujazd — Rokiciny — Andrespol. Przed dowództwem korpusu wyłonił się problem: atakować frontalnie tak wielki ośrodek miejski, czy też zdecydować się na inny wariant działania. (...) Ostatecznie został przyjęty plan, który zakładał: kontynuować natarcie na dotychczasowym kierunku marszu, z jednoczesnym oskrzydleniem Łodzi od północy, a następnie od zachodu. (...)*

Dowódca 65 brygady pancernej płk Łukjanow po uzyskaniu od kolejarzy informacji o panice w Łodzi, która przerodziła się w masową ucieczkę na zachód, skierował ją do śródmieścia. Brygada podeszła do miasta od strony szosy Rokicińskiej, a następnie posuwała się do centrum miasta atakując ulicami: Armii Czerwonej, Narutowicza i Nowotki. Przedzieranie się czołgów kompletnie zatamało niemiecki garnizon. Brygada płka Łukjanowa przejechała szybko przez centrum miasta, potęgując dezorganizację w szeregach nieprzyjaciela. Około godz. 17.00 brygada opanowała Zdrowie i wyszła na zachód od miasta. W tym czasie inne brygady 11 Korpusu Pancernego obeszły Łódź i wyszły na rubież Zgierz (20 brygada) — Kały (36). (...)

W wyzwalaniu Łodzi bezpośredni udział wzięły: 82 Zaporoska dywizja piechoty i 12 dywizja piechoty z 28 Korpusu Piechoty. W nocy z 18 na 19 stycznia 82 dywizja gen. mjra Grigorija Chetagurowa zmieniła kierunek natarcia z zachodniego na południowo-zachodni i o świcie podjęła walkę o Łódź, zaskakując jednostki niemieckie, i do południa 19 stycznia „oczyściła" z nieprzyjaciela północno-zachodnie rejony miasta. Do walki weszła także 12 dywizja piechoty, zajmując sąsiednie obszary i zmuszając resztki rozbitych oddziałów niemieckich do szybkiego odwrotu".

Do południa 19 stycznia 1945 roku znaczna część Łodzi była już wolna. Na Placu Wolności spotkali się generał Dmitrij Leluszenko, dowódca 4 Armii Pancernej z pułkownikiem W. Bara-

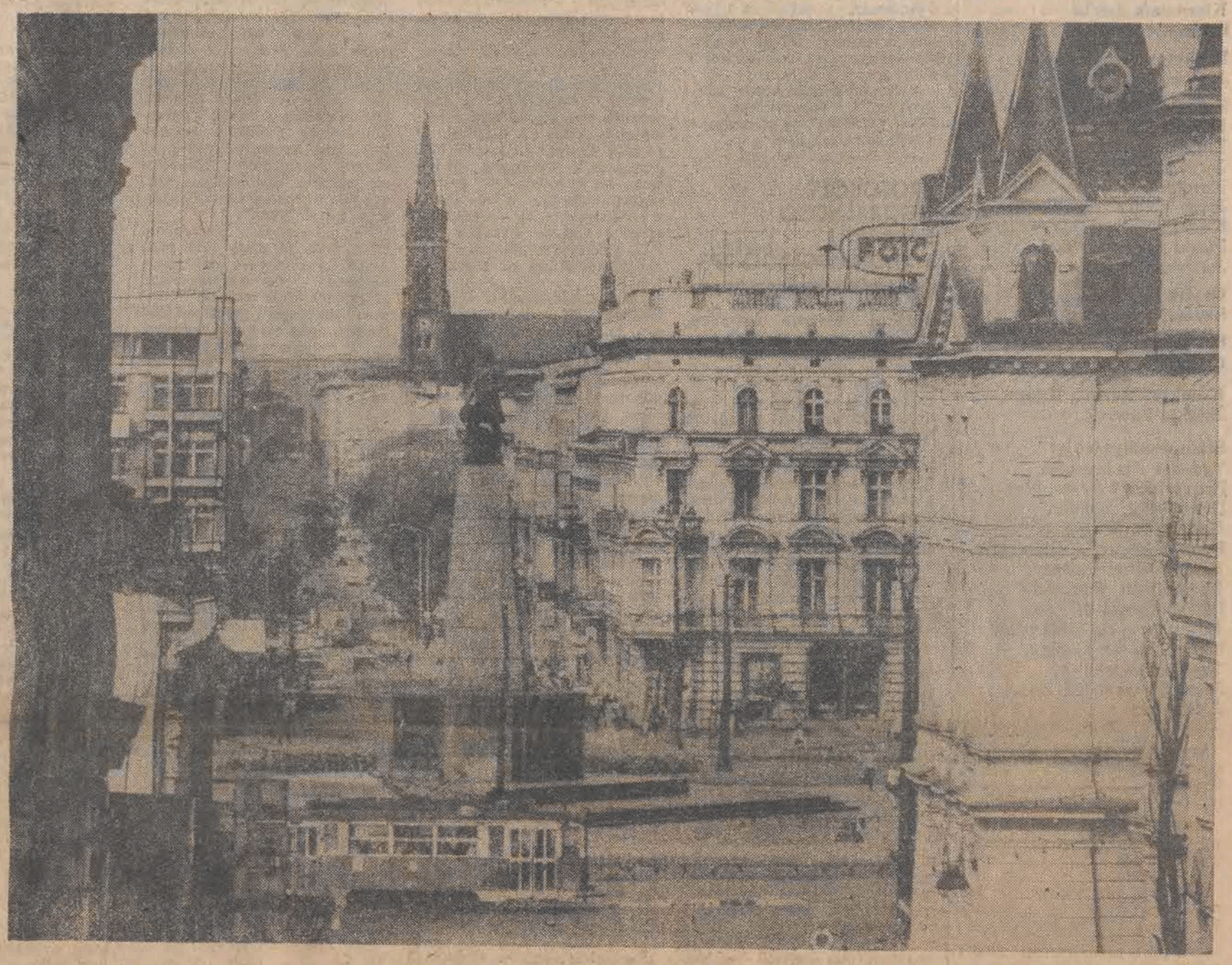

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mają się dobrze i rosną w siłę

JACEK GŁĘBSKI

Kolejkowe życie zaczyna się jeszcze przed świtem. Już o czwartej, czasem wcześniej, ustawiają się w rządku kandydaci na robotników.

Z chwilą otwierania drzwi prowadzących do poczekalni i recepcji, tłum wciska się do środka, pilnując (zgodnie z prawem silniejszego) właściwej kolejności. Dochodzi wtedy do przepychanki, wymiany przekleństw, a nawet bójek. Prawie codziennie pracownicy wydziału wzywają milicję. Tak było i tego dnia, gdy jako jeden z wielu „starałem się o pracę". Jednak wkrótce pojawił się tajemniczy mężczyzna i z miejsca rozeszła się fama, że to „tajniak", więc wszyscy uspokoili się. Niedługo potem pojawili się milicjanci w mundurach, aby do reszty zażegnać niebezpieczeństwo.

Prawie każdy nowo przybyły mężczyzna witany jest uściskami dłoni i poklepywaniem po plecach. Większość zna się tu doskonale. Niektórzy umawiają się na wódkę, jak tylko skończy się kolejkowa paranoja, czysty obłęd.

Urzędniczki dyżurujące za okienkiem rejestracji wydają w pocie czoła numerki — pokwitowania za złożone tu dokumenty. Z góry wiadomo, że dla wszystkich nie starczy, ci na początku zostaną załatwieni na pewno, kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi. Ale pozory mylą. Okazuje się, że jest spora grupa „staczy", którzy za drobną(?) opłatą oferują miejsca w czołówce ogonka.

RUSZAJĄ „WERBOWNICY"

Mimo siarczystego mrozu część mężczyzn pozostała na dziedzińcu albo przed bramą. Czekają. Na co? Oto przed budynkiem zatrzymuje się z piskiem opon biały „Fiat 125p". Kierowca wysiada z samochodu i woła donośnym głosem:

— *Potrzebuję trzech!*

Z miejsca otacza go zwarty kordon mężczyzn. Trudno tam się dopchać, widzę tylko, jak trójka chętnych do pracy w sektorze prywatnym wsiada do auta.

Tymczasem w poczekalni nastrój robi się coraz bardziej swojski. Niektórzy, ściskając w dłoniach kartoniki z wypisanymi cyframi, siadają na twardych ławkach. Można pogadać, zagrać w karty, wyciągnąć zza pazuch coś na rozgrzewkę, bo milicjanci gdzieś się ulotnili. W powietrzu wisi gęsty dym nikotyny i oparów alkoholu.

— *...Dyscyplinarka, a jak* — dobiegają mnie strzępy rozmowy.

— *Za co?*

— *Trochę wyniosłem z magazynu, ale nie wykryli wszystkiego.*

— *Co teraz?*

— *Na magazyniera pójdę, a jak. Trzeba sobie dorabiać, nie?*

Z takich rozmów można się wiele dowiedzieć.

— *Hej, ty!*

Odwracam się. Podchodzi do mnie mężczyzna w skórzanej kurtce i kapeluszu.

— *Wykształcenie?*

— Podstawowe — zaryzykowałem.

— *To idź z Bogiem. Potrzebuję tokarzy.*

Zaczepia teraz dwóch mężczyzn opartych o ścianę.

— *Szukacie pracy?*

— *Pan państwowo czy prywatnie?* — zainteresował się jeden.

— *Państwowo, ale...*

— *Nie ten adres* — uśmiechają się kpiąco.

„Werbowników" jest coraz więcej. Są to pracownicy działów personalnych niektórych przedsiębiorstw, którzy w ten właśnie sposób wyszukują w tłumie potencjalnych kandydatów do wypełnienia luk kadrowych.

Zainteresował mnie starszy pan, który usiłował werbować do straży przemysłowej. Przyjąłem wstępnie jego ofertę, zapytałem, gdzie pracuje. Okazało się, że jest brygadzistą straży w ZPB im. Sz. Harnama. Udało mu się zaprosić do swego zakładu czterech mężczyzn, ja byłem piąty.

Kierowniczka działu kadrowego „Polmerino" na pytanie, dlaczego nie jest w miejscu pracy, tylko chodzi po Wydziale Zatrudnienia, odpowiada:

— *Nie ma takiego przepisu, który regulowałby, co i kiedy mam robić!*

Może i słusznie, gdyby nie to, że Wydział Zatrudnienia przyjmuje pracowników działów kadrowych zgodnie z przepisami od godz. 12 i jeśli kierownik czy pracownik takiego działu chce uzyskać oficjalną przepustkę z zakładu, to powinien ją otrzymać od godz. np. 11 czy 12. Tymczasem kierowniczka pojawiła się w Wydziale po godz. 10. Ten sam zarzut dotyczy wszystkich innych werbowników. Ludzie ci dają doskonały przykład „dyscypliny" pracy. Można by ich od biedy usprawiedliwić, gdyby wizyty ich w Wydziale były owocne, ale gdzież tam! Często odchodzą z pustymi rękami, albo uda im się skaptować — jak twierdzili — dwóch, trzech chętnych, którzy wezmą wizytówki, ale chyba się w kadrach nie pojawią.

JAK UNIKAĆ KARTOTEKI

Liczyłem, że w każdym z dowodów poszukujących ciągle pracy znajdę po kilkanaście adnotacji o zatrudnieniu, ale niestety, pomyliłem się. W rubryce widnieją najwyżej trzy, cztery stemple.

— *Dałeś się na to nabrać?* — uśmiecha się Marek, obsługujący intere-

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 45. B-2.

Przegląd prasy

Niepowtarzalny urok starych dokumentów. Jeśli nawet zostały opracowane i wydane już współcześnie, to przecież na niczym nie traci zawarty w nich obraz przeszłości. Z powodzi słów wylania się to, co minęło, a co miało wpływ na naszą teraźniejszość. Możemy na podstawie dawnych dokumentów oceniać ludzi, ich działania, ich błędy i osiągnięcia, pomyłki i sukcesy. Stare dokumenty, to nie tylko te, które odnoszą się do dalekiej przeszłości. Stare dokumenty, to również i te, które odnoszą się do niedalekiej przeszłości, której bohaterzy jeszcze żyją, a niekiedy i działają.

Kwartalnik poświęcony dziejom ruchu robotniczego „Z POLA WALKI" w numerze 4 z 1985 roku przynosi

PROTOKOŁY CENTRALNEGO KOMITETU WYKONAWCZEGO PPS

z marca i czerwca 1946 roku. Jest to kolejna publikacja tego kwartalnika, gdyż wcześniejsze protokoły ukazały się w 1983 roku w nr 3—4 „Z pola walki". Dokumenty te opracowali Władysław Mroczkowski i Tadeusz Sierocki.

Protokoły z posiedzeń CKW PPS odnoszą się do okresu, w którym partie polityczne przygotowywały się do referendum. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej składał się z przedstawicieli ugrupowań krajowych i emigracyjnych. Na jego czele stał Edward Osóbka-Morawski, wicepremierami byli: Władysław Gomułka z PPR i Stanisław Mikołajczyk z PSL. To ostatnie stronnictwo miało charakter wyraźnie opozycyjny i wokół niego skupiły się wszystkie siły reakcyjne, konserwatywne. Miało ono też kontakty ze zbrojnym podziemiem antydemokratycznym. W takiej sytuacji z inicjatywy PPR i PPS rozpisano referendum, które odbyło się 30 czerwca 1946 roku. Miano odpowiedzieć na trzy pytania: 1. Czy jesteś za zniesieniem senatu? 2. Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej? 3. Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej? W pytaniach tych zawarte były dążenia sił lewicowych w Polsce. Początkowo myślano o stworzeniu bloku sił demokratycznych, do którego należałoby i PSL. Ale PSL odmówiło i na program bloku demokratycznego: *„Trzy razy tak"*, czyli pozytywna odpowiedź na każde pytanie, zaproponowało *„Nie na pierwsze pytanie i dwa razy tak na pozostałe"*. Na posiedzeniach CKW PPS rozważano różne sprawy, a między nimi również taktykę w sprawach referendum, stosunek do innych partii.

Na posiedzeniu 14 maja 1946 roku, wobec zbliżającego się referendum coraz wyraźniej rysuje się konieczność jasnego określenia tego, jaki powinien być

STOSUNEK PPS DO PPR I PSL

Mówi Jan Stańczyk: *„Przede wszystkim w stosunku między obu partiami robotniczymi musi zapanować pełnia wzajemnego zrozumienia. Trzeba przekonać PPR o konieczności dojścia z Mikołajczykiem do porozumienia. Wątpię, czy metoda bicia jest najlepsza, ale jeśli tak, to musimy zjednoczyć obie strony w tej taktyce"*.

Adam Kuryłowicz: *„Konieczna jest szczerość w stosunkach z PPR. Musimy rozpocząć rozmowy ze Stronnictwem Pracy, które w terenie bardzo nam utrudnia robotę, wywołując strajki. Bicie w PSL wywołuje nastroje opozycyjne w społeczeństwie"*.

Feliks Baranowski: *„Dla zmontowania aparatu referendum konieczne jest określenie stosunku wobec PSL. Na terenie woj. warszawskiego mamy stosunek negatywny i do aparatu brać nie będziemy. Chciałbym, żeby tak było w całym kraju. Nie możemy wytwarzać w łonie partii złudzeń, że PSL pójdzie na blok, bo przegramy referendum"*.

Edward Osóbka-Morawski: *„Utrudnia sytuację PSL, które nie ponosząc odpowiedzialności, wszystko chętnie rozdaje, poluje na tanią, łatwą popularność. (...) Zasadniczy wrogi stosunek wobec PSL określony został przez obie partie. Ale zmiany mogą pójść w dwu kierunkach: na gorsze i na lepsze. Rozróżniamy góry i doły PSL. Uważamy, że proces krystalizacji PSL jeszcze nie nastąpił. Nie można popełnić błędu, jaki został popełniony w stosunku do AK. W PSL rządzą londyńczycy, ludzie z Delegatury Rządu z domieszką elementu sanacyjnego i endeckiego. Ich hasło organizacyjne: „Mikołajczyk ratuj Polskę". Na ziemiach zachodnich wiele organizacji PSL rozwiązuje się. Naszą taktyką jest zerwanie stosunków towarzyskich z PSL, niezwracanie się do nich z rozmowami, które ich wpędzały w pozycję ślimaka. Ale jeśli PSL przyjdzie z propozycją, pomożemy im rozładowywać nastroje, wysłuchamy. W tej chwili nie uważałbym za właściwe ustalać nowego stosunku do PSL. Chciałbym, aby partia nasza zachowywała się z godnością..."*.

Józef Cyrankiewicz: *„Już 2 marca stanęliśmy na stanowisku, że przychodzi etap wzmocnienia nacisku na PSL. Asekurowaliśmy się wspólnie z PPR, blokiem czterech, czyli jaśniej mówiąc — dyktaturą proletariatu, co zamanifestowaliśmy wzięciem odpowiedzialności za bezpieczeństwo. Dążąc do bloku 6, zajmujemy jednolite z PPR stanowisko wobec rozbijackiej akcji PSL. Inna jest kwestia formy wystąpień — ona, przy tym samym stanowisku, nie musi być identyczna"*.

Przed zbliżającym się referendum niepokoiła działaczy PPS sytuacja gospodarcza i społeczna.

WYSTĘPOWAŁY NIEPOKOJE I NAPIĘCIA

Mówił o tym na posiedzeniu CKW PPS 14 maja 1946 roku Kazimierz Rusinek: *„W ostatnich trzech miesiącach w szeregu ośrodków wybuchały strajki. W marcu zanotowaliśmy 23 wypadki, w kwietniu — 31. W tej chwili jesteśmy zaalarmowani wielkim strajkiem na terenie Łodzi, Pabianic, w Częstochowie, w Zgierzu. Zlikwidowaliśmy strajk w Hucie Pokój, Podłoże — prawie wszędzie aprowizacja, w niektórych wypadkach niejasność konstrukcji premiowania, wreszcie niedostateczne rozgraniczenie kompetencji między dyrekcjami i radami zakładowymi. Masowo szerzą się kradzieże, dochodzące w fabrykach pończoch do 13 procent produkcji. Pionki od listopada nie mają chleba. Dopóki nie rozwiążemy zagadnienia aprowizacji, musimy liczyć się, że zatargi będą nabierały charakteru powszechnego"*.

Edward Osóbka-Morawski: *„Na ogół nie ma pogorszenia sytuacji gospodarczej ani położenia klasy robotniczej. Jest może tylko zbyt mały stopień poprawy. Poprawią się dostawy UNRRA, otrzymamy od ZSRR 500 000 ton zboża. Niektóre strajki mają charakter polityczny"*.

W protokołach CKW PPS z 10 kwietnia 1946 roku i z 14 maja 1946 roku znalazły swoje odbicie

PRZYGOTOWANIA DO OBCHODÓW 1 MAJA W 1946 ROKU

jak i późniejsza ocena tych uroczystości.

Henryk Wachowicz: *„W Łodzi akademię pierwszomajową robimy ostatniego kwietnia. Akademię robi PPS oddzielnie, ale pójdziemy także na akademie wspólne. Są 2 przyczyny oddzielnej akademii: po pierwsze — robotnicy fabryki Johna wręczą marszałkowi Żymierskiemu na akademii wspólnej buławę żelazną, a na akademii PPS — WK wręczy Władysławowi Broniewskiemu nagrodę literacką w imieniu robotniczej Łodzi. Broniewski nie jest członkiem żadnej partii, lecz ten proletariacki poeta winien otrzymać pierwszą po wojnie nagrodę robotniczej Łodzi, co zresztą nie ujmuje zasług Jastruna i nie stanowi żadnego protestu przeciw przyznaniu mu nagrody"*.

W tym miejscu warto przypomnieć, że Mieczysław Jastrun w 1946 roku otrzymał nagrodę literacką miasta Łodzi.

Henryk Wachowicz mówił dalej: *„Słuszna jest myśl, aby po rozwiązaniu pochodu 1 Maja wszystkie kina były bezpłatne za okazaniem legitymacji partyjnej lub związkowej. Problem młodzieży jest bardzo trudny, gdyż idzie o to, aby z pochodu 1-majowego nie robić galówki"*.

Edward Osóbka-Morawski: *„Bezpłatne kina są konieczne. Towarzysze z PPR nie chcą pochodu dzielnicami, ale jest to trudne, gdyż trzeba ustalić miejsce w pochodzie tych członków partii, którzy nie są pracownikami fabryk. (...) Najlepiej, aby jako fabryki szli bezpartyjni, najliczniejsi przecież robotnicy, co ściągnęłoby do pochodu np. członków Stronnictwa Pracy. (...) Akademie powinny być wspólne i winno ich być jak najwięcej. Nie należy wywierać nacisku, ale dobrowolny udział demokratycznych zakładów naukowych jest bardzo pożądany. (...) Należy zmobilizować chłopów-socjalistów, Spółdzielcy, PCK, w ogóle trzeba rozszerzyć płaszczyznę mobilizacji"*.

Na następnym posiedzeniu CKW PPS 14 maja 1946 roku Józef Cyrankiewicz dał ocenę pochodu pierwszomajowego: *„Pierwszy Maja stał się powodem wielkiego rozczarowania reakcji, gdyż zarówno liczbowo, jak i manifestacyjnie wypadł ponad oczekiwania. Plamą była nadgorliwość wyrażająca się w okólnikach w niektórych zakładach pracy, nakazujących przymusowy udział. Uznaliśmy to za błąd i na przyszłość takie niedopatrzenie pod względem hamowania gorliwców nie mogą się powtarzać: nam wystarcza wewnętrzny własny przymus psychiczny zbiorowości robotniczej. W tej ocenie jesteśmy zgodni z PPR. W wielu województwach był duży udział chłopów. Tutaj spontaniczność była niewątpliwa. Z akcji doraźnych 1 Maja jest najlepszą próbą możliwości mobilizacyjnych ulicy. Jednolitofrontowość zrobiła bardzo znaczne postępy... Pewne trudności wynikały wskutek większej bierności naszych mas. Co do ZWM, okazało się, że staje się on organizacją masową i że masowość tę umie pokazać lepiej niż OM TUR. ZWM zastosował koncentracje swych członków w województwach, co okazało się prawidłowe"*.

Skoro już mowa o uroku starych dokumentów, to przeglądałem niedawno wydane zaraz po wojnie numery „WOLNEJ ŁODZI" i w numerze z 31 stycznia 1945 roku znalazłem

KAZANIE

z okazji nabożeństwa za spokój dusz więźniów pomordowanych przez hitlerowców w Radogoszczu, wygłoszone przez księdza kanonika mgr Józefa Orłowskiego. Myślę, że warto przypomnieć fragmenty tego kazania, choćby już tylko z tego powodu, że dziś często w kościołach padają słowa, które świadczą, że zbyt łatwo zapomina się o tamtych czasach.

„Przez wielki ból przeszedł i przechodzi nasz naród — mówił ks. Józef Orłowski. — *Radogoszcz, Oświęcim, Majdanek, Oranienburg, Dachau, Mathausen i cały szereg innych miejscowości na wieki pozostaną hańbą plugastwa niemieckiego. Lecz w naturze nic nie ginie. Każdy dobry czyn ma swoje następstwa i zły — również. Opatrzność Boża pozwoliła nam doczekać chwili, w której runęła potęga germańska. Kruszy jej siłę bohaterska Armia marszałka Stalina z armiami sojuszniczymi...*

Ten ból scementuje wszystkie warstwy naszego narodu, nie pozwoli mówić: my stąd, a wy stąd, bo wszyscy jesteśmy dziećmi jednej Matki Ojczyzny, wszyscy pragniemy pracować na chwałę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Dlatego powinniśmy się skupić wokół Krajowej Rady Narodowej, Tymczasowego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej i Wojska Polskiego".

Ale to było 41 lat temu.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

W cieniu rocznic

Można zrozumieć, że ludzie na ogół nie przepadają za różnego rodzaju publikacjami rocznicowymi, bo jakąż im to może dać satysfakcję, gdy po raz któryś z rzędu czytają o tych samych faktach tymi samymi okrągłymi zdaniami i oglądają te same wizerunki bohaterów i fotokopie dokumentów. Z pewnością należy się nasza pamięć rocznicom ważnych wydarzeń i ich bohaterom, abyśmy nie zapominali skąd nasz rodowód i zachowali szacunek dla trudów i poświęceń, na które potrafi zdobyć się człowiek w imię wyższych racji, ale jakże rzadko okolicznościowe przypomnienia wzbogacają naszą wiedzę o minionym czasie, rzucają na przeszłość nowe światło.

A przecież, jak o tym od dawna wiadomo, im bardziej oddalamy się od faktów przeszłości, tym bogatsza się staje ich dokumentacja historyczna i bardziej pogłębione o nich opinie. Cały szkopuł w tym że przez dłuższy, zbyt długi czas dotyczy to jedynie wąskiego kręgu kompetentnych i wtajemniczonych nie wywierając prawie żadnego wpływu na rocznicową akademijną sztampę.

W tym miesiącu obchodzimy setną rocznicę stracenia czterech wybitnych działaczy z kierownictwa I Proletariatu zwanego Wielkim Proletariatem, a ściśle — Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii Proletariat, założonej w 1882 r. Wśród powieszonych na stokach warszawskiej Cytadeli znajdował się m. in. 21-letni, najmłodszy z nich, tkacz ze Zgierza Jan Pietrusiński, który zawisł na szubienicy razem z działaczem rewolucyjnym polskiego i rosyjskiego ruchu Stanisławem Kunickim, z warszawskim szewcem Michałem Ossowskim i z Rosjaninem, sędzią pokoju — Piotrem Bardowskim. Jak wiadomo, główny inicjator założenia tej tajnej organizacji i jej przywódca Ludwik Waryński, skazany został na 16 lat katorgi i zmarł wkrótce w twierdzy w Szlisselburgu. I na tym, jeśli się nie mylę, kończy się (w najlepszym razie) wiedza większości społeczeństwa o proletariatczykach.

Bo już mało kto wie, że w owym procesie 29 proletariatczyków zapadły liczne wyroki katorgi i zesłania, w tym na ogół surowsze dla Rosjan, że aż 10 lat otrzymał „ulgowo" jako małoletni Feliks Kon (który w 1920 r. formował razem z Julianem Marchlewskim i Feliksem Dzierżyńskim polski Tymczasowy Komitet Polski Rewolucyjnej w Białymstoku), że Wielki Proletariat kontynuował działalność podziemną do kolejnych aresztowań pod kierownictwem Marii Bohuszewicz, która zmarła w drodze na zesłanie (zwraca uwagę stosunkowo liczny udział kobiet w polskim ruchu rewolucyjnym i ich odpowiedzialne funkcje).

Można by tu przytoczyć szereg faktów ważnych i zarazem oddziałujących na wyobraźnię, które jednak nie znalazły sobie miejsca w świadomości historycznej dzisiejszych Polaków, a co przy tym znamienne, do Wielkiego Proletariatu i jego „przedłużeń" łącznie z SDKPiL przylgnęła jednak opinia (to zresztą dość chyba polskie: nie znać faktów, ale mieć o nich wyrobioną opinię), że mianowicie działalność tych rewolucyjnych organizacji, oparta na klasowym programie wyzwolenia społecznego i nie odwołująca się rzeczywiście do haseł patriotycznych, nie przyniosła wskutek tego żadnych korzyści sprawie odzyskania niepodległości, a nawet jej miała zaszkodzić. Zresztą i historia, nawet ta pisana w niedawnych latach niechętnie przyznawała rację proletariatczykom czy późniejszym polskim rewolucjonistom, lecz raczej tym, którzy wysuwali hasła niepodległościowe.

Ten stereotyp myślowy, zrodzony bardziej z wyczulenia na pięknie brzmiące hasła niż z analizy programów politycznych i oceny sytuacji międzynarodowej, przeciwstawił sobie na zasadzie alternatywy sprawy wyzwolenia społecznego i narodowego, a jeśli już je widział łącznie, to tylko w kolejności: najpierw niepodległość, a potem rewolucja społeczna. Otóż temu stereotypowi zadano, moim zdaniem, dość dotkliwy cios w rocznicowej dyskusji pt. *„Niepodległość czy rewolucja"* na łamach tegorocznego nr 1 tygodnika „Kultura". I myślę, że czytelników, których obchodzi problem niepodległości w historii Polski (a któż na ten temat nie zabiera głosu, choćby na gruncie towarzyskim), powinny też zainteresować wypowiadane tam nie zawsze zgodne poglądy.

„Dlaczegóż właśnie w Polsce dylemat: socjalizm czy niepodległość wystąpił z niespotykaną gdzie indziej ostrością?" — zapytuje jeden z dyskutantów i taką daje odpowiedź: „Brało się to stąd, że rewolucyjny, klasowy nurt ruchu robotniczego, najpełniej wyrażany przez SDKPiL, czerpał wzorce działania z krajów, gdzie socjaldemokracja była potęgą, że nie uwzględniał polskiej specyfiki, polegającej na braku własnej państwowości. W krajach, w których Polacy zaznajamiali się z myślą socjalistyczną, kwestia narodowa właściwie nie istniała".

To stwierdzenie, utrzymane w duchu rozpowszechnionych poglądów spotkało się z krytyczną uwagą innego z dyskutantów: „W ówczesnej Europie wiele narodów nie dysponowało własnym państwem, wyjątkowość sytuacji narodu polskiego polegała na tym, że był on podzielony pomiędzy trzech zaborców (...) Rosja, Prusy, a w tym czasie już zjednoczone Niemcy i Austro-Węgry należały do grona najpotężniejszych mocarstw świata. Zamiar pokonania ich i odbudowania zjednoczonego państwa polskiego przypominał przysłowiowe porywanie się z motyką na słońce. W końcu XIX w. program restytuowania trójzaborowej suwerenności wydawał się istnym szaleństwem (...) Szansą odmiany losu Polaków była więc zasadnicza odmiana stosunków na kontynencie, którą mogła przynieść rewolucja".

Wreszcie dyskusję rozstrzyga, moim zdaniem, stanowisko kolejnego dyskutanta: „Wyjątkowo ciężkie międzynarodowe położenie Polski powodowało, że nie można było odzyskać niepodległości trójzaborowej bez pomocy sił konsekwentnie demokratycznych, tj. rewolucyjnych we wszystkich trzech mocarstwach zaborczych (...) Rozumiały to dobrze SDKPiL i PPS-Lewica, nie pojmowała tego prawica PPS, choć ta ostatnia najgłośniej operowała hasłem niepodległości Polska odrodziła się dlatego, że rosyjskie, niemieckie i austriackie siły demokratyczno-rewolucyjne obaliły tron Romanowych, Hohenzollernów i Habsburgów".

Te wyrywkowe cytaty, obrazujące kierunek i rozwój dyskusji, prowadzą do wniosku, że niewysuwanie przez Proletariat, a potem SDKPiL kwestii narodowej i wiązanie się z międzynarodowym ruchem robotniczym świadczy poza wszystkim o ich rozeznaniu w ówczesnym układzie sił, czyli o politycznym realizmie, a jedynie zarzut braku realizmu może politykę dyskwalifikować. Taki brak realizmu zgubny w skutkach ze względu na nieuchronność ponoszenia daremnych ofiar przez naród, wykazywały partie mieniące się patriotycznymi, aż do powstania warszawskiego włącznie. Dyskusja toczona u nas na te tematy od co najmniej półtora wieku świadczy o tym, że dźwięczny frazes i efektowny gest mamy zawsze w wysokiej cenie...

Czy tylko taka dyskusja, jak w „Kulturze" wskazuje jakimi sposobami można tchnąć życie w obchody ważnych rocznic? Z pewnością można je też wzbogacać na skromniejszą miarę. Czy np. nie powinno się badać i upowszechniać faktów związanych ze zgierską komórką Proletariatu?

Ale czy trzeba ograniczać się do rocznic i żyć stale w ich cieniu?

JERZY KWIECIŃSKI

ze str. 1

niukiem dowódcą 108 Brygady Pancernej. Po południu toczyły się nadal walki w niektórych dzielnicach Łodzi. Do walk w Łodzi weszła grupa wydzielona 69 Armii pod dowództwem gen. S. Tichończuka. Przystąpiono do likwidacji grup żołnierzy niemieckich, którzy bronili się w koszarach lub bunkrach. Opanowano koszary przy ul. L. Żeligowskiego, toczyły się walki o Chojny, między innymi na Czerwonym Rynku, Leczniczej i Podmiejskiej, a także w rejonie Starowej Góry.

20 STYCZNIA 1945 R.

przybył do Łodzi pułkownik Ignacy Loga-Sowiński. W cztery dni później zasiadł do pisania sprawozdania sytuacyjnego dla KC PPR. Pisał:

„Do Łodzi przybyłem w sobotę wieczorem. (...) Nie sposób opisać tego, co się tu dzieje. Byłem w Lublinie podczas wkraczania Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Byłem także na Pradze. Nie może być żadnego porównania. Tak powszechny entuzjazm, spontanicznie zrodzony, może tylko wykrzesać stolica polskiego proletariatu — Łódź. Każdy dom wywiesił flagi biało-czerwone i czerwone. Opowiadali mi oficerowie Czerwonej Armii, że ludność obnosiła ich i całowała. Rano w niedzielę pierwszą czynność moją była dostać się do drukarni i odbić pierwsze obwieszczenie. Ponieważ nie mogłem wyjechać samochodem, postanowiłem przejść pieszo z „Grand Hotelu" na ulicę Piotrkowską 86. Byłem jednym z pierwszych w mundurze polskim. Jak tylko pojawiłem się na ulicy, natychmiast zbiegła się masa ludzi i odwaliłem pierwszą masówkę uliczną. Rzucano mną w górę. Witali entuzjastycznie. Spotkałem wielu znajomych. Nastąpiło całowanie, żeby tylko z tymi znajomymi. Droga została zablokowana i trzeba było całować się ze wszystkimi. Takich masówek, zanim dostałem się na miejsce, było 5".

Łodzianie nie tylko entuzjastycznie witali wyzwolicieli. Brali też udział w walkach z resztkami wojsk niemieckich.

Generał Grigorij Chetagurow wspominał:

„W likwidowaniu ostatnich punktów oporu przeciwnika, który usadowił się na strychach domów i w zamienionych w bunkry piwnicach, nieocenioną pomoc okazali nam mieszkańcy Łodzi. Oni oczywiście lepiej niż nasi żołnierze wiedzieli, w jaki sposób szybciej i bezpieczniej dostać się do tych domów i bunkrów, gdzie bronili się hitlerowcy, zaopatrzeni w panzerfausty i wielkokalibrowe karabiny maszynowe. Liczni robotnicy łódzcy działali wówczas jako doskonali zwiadowcy naszych jednostek".

Łodzianie pomagali żołnierzom radzieckim w walkach o koszary przy ulicy L. Żeligowskiego, siedmiu ochotników na radzieckim czołgu atakowało szkołę przy ulicy Podmiejskiej, w której bronili się hitlerowcy. Również radziecki czołg z polskim desantem atakował gmach szkoły przy ulicy Tuszyńskiej, w którym bronili się hitlerowcy.

Wróćmy jednak na ulicę Piotrkowską, gdzie pułkownik Ignacy Loga-Sowiński dotarł do drukarni. Podyktował on wówczas następujący tekst ogłoszenia, które następnego dnia zostało rozplakatowane w mieście. Nosiło ono datę

21 STYCZNIA 1945 R.

„Tymczasowy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej mianował przedstawicielstwo na tereny nowo wyzwolone. Z ramienia tego przedstawicielstwa przybyłem do m. Łodzi w dniu dzisiejszym i obejmuję urzędowanie jako Pełnomocnik Rządowy na miasto Łódź i tereny podmiejskie.

Lokal Pełnomocnika Rządu mieści się w gmachu Województwa przy ul. Ogrodowej Ignacy Loga Sowiński Pułkownik".

Tego dnia w Lublinie wydrukowano „Obwieszczenie":

„Zgodnie z uchwałą Prezydium Rady Ministrów z dnia 21 I 45 r. naznaczam Ob. Mijala Kazimierza Pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej na miasto Łódź i Województwo Łódzkie. Pełnomocnik sprawuje w imieniu Rządu Tymczasowego całą władzę cywilną, podlegając bezpośrednio Prezydium Rządu Tymczasowego".

„Obwieszczenie" to podpisał Edward Osóbka-Morawski, premier Tymczasowego Rządu a zostało ono opublikowane w 2 numerze pisma „Wolna Łódź" w dniu 25 stycznia 1945 roku oraz rozplakatowane na mieście i w miastach oraz miasteczkach województwa łódzkiego.

Tego samego dnia w drukarni przy ulicy Piotrkowskiej 86 Ignacy Loga-Sowiński podyktował drugie „Obwieszczenie":

„Manifestacyjne Zgromadzenie Ludowe w dn. 22 bm. o godz. 2 ppoł. w Hali Sportowej Park Poniatowskiego odbędzie się Zgromadzenie Polaków, przemawiać będzie Pełnomocnik Rządu Tymcz.".

„Następnie — pisze dalej w sprawozdaniu Ignacy Loga-Sowiński — *udałem się do komendanta miasta, ale już samochodem. Na Piotrkowskiej ludzie gonili za samochodem i rzucali kwiaty, wznosząc okrzyki: „niech żyje Polskie Wojsko! Niech żyje Polska, nasi żołnierze!" Przed gmachem komendy miasta zebrany tłum wyrwał mnie i innych oficerów z samochodu. Zaczęli rzucać w górę, wznosząc okrzyki".*

Komendantem wojennym w Łodzi był wówczas generał Furt. Komenda miasta mieściła się przy ul. Pomorskiej 21 (dziś M. Nowotki). Z komendy miasta Ignacy Loga-Sowiński udał się na ulicę Ogrodową, gdzie przed wojną w pałacu I. K. Poznańskiego mieściła się siedziba Województwa.

„W drodze do pałacu Poznańskich, do którego jechałem, by go zająć na siedzibę Pełnomocnika Rządu, na Placu Wolności zebrany tłum ludzi zablokował drogę i zażądał, by do nich przemówić. Nie było rady. Musiałem wdrapać się na samochód i gadać. Operatorzy filmowi, którzy tam byli, natychmiast skorzystali z okazji.

Potem odbyłem naradę z urzędnikami magistratu przy ul. Piotrkowskiej 104. Od godziny 2 do 21 urzędowałem w pałacu Poznańskich. Do pracy zgłosili się wszyscy. Przeprowadziłem rozmowy z lekarzami, którzy z miejsca przystąpili do pracy, z pracownikami sądowymi na czele z mecenasem Pełką, spółdzielcami, kupcami, majstrami fabrycznymi, nauczycielstwem i w końcu działaczami TUR, związków zawodowych, Stronnictwa Demokratycznego, PPS i PPR.

Między innymi omówiono przygotowanie manifestacji zgromadzenia nazajutrz o godzinie 2 w sali sportowej parku Poniatowskiego".

22 STYCZNIA 1945 R.

odbyło się pierwsze posiedzenie Tymczasowego Zarządu Miejskiego, na którym Jan Waltratus złożył sprawozdanie z rozmów z Ignacym Logą-Sowińskim.

„p. Waltratus stwierdza, że usiłowania grona obywateli miasta, poczynione już w dniu opuszczenia miasta przez okupantów, tj. 19 bm. i w dniach następnych, a zmierzające do powołania do życia Komitetu Obywatelskiego, zostały po przybyciu w dniu 21 bm. Pełnomocnika Rządu pułkownika I. Logi-Sowińskiego i udzielonych przez niego wyjaśnień zaniechane;

2 — że Pełnomocnik Rządu upoważnił pracowników miejskich, obecnych w dniu 21 bm. na posiedzeniu organizacyjnym dla powołania Komitetu Obywatelskiego, do wyłonienia spośród swego grona Tymczasowego Zarządu Miejskiego i możliwie niezwłoczne rozpoczęcie działalności".

Tegoż dnia Kazimierz Mijal podpisał następujące „Obwieszczenie":

„Dnia 22 I 1945 r. ukonstytuował się Tymczasowy Zarząd Miejski miasta Łodzi. Mianuję przewodniczącym Tymczasowego Zarządu Miejskiego Ob. Witaszewskiego Kazimierza".

Ukazało się ono między innymi w numerze 2 „Wolnej Łodzi" 25 stycznia 1945 roku.

Po południu odbył się w Hali Sportowej w parku Józefa Poniatowskiego wielki wiec.

„Zgromadzenie — pisze w sprawozdaniu Ignacy Loga-Sowiński — *odbyło się przy udziale około 30 tysięcy ludzi. Sala mieści tylko 12 tysięcy. Kilka minut po drugiej podjeżdża nasza kolumna. Już na ulicy Anny tłumy ludzi witają nas entuzjastycznie. Wjeżdżamy do parku. Kolumna zatrzymuje się. Dalszy przejazd staje się niemożliwy. Około 15-tysięczna masa ludzi, która się nie pomieściła w sali, nie przepuszcza samochodów. Postanawiam wyjść z auta. Nie zdążyłem zaczekać na generała, błyskawicznie zostałem oderwany od ziemi i niesiony ponad głowami tysięcy ludzi. Wyrywałem się, prosiłem, aby puścili, nic nie pomogło. Tak dobiłem do sali. W sali jeszcze ciaśniej. Pragnę tłumaczyć, aby puścili, będzie łatwiej. Wszystko na próżno. I tak wylądowałem na trybunie, za mną generał, reszta oficerów. Przemawiali Pełnomocnik Rządu, komendant miasta — generał Czerwonej Armii, przedstawiciel Wojska Polskiego por. Kiełczewski, sekretarz TKCZZ kpt. Kazimierz Witaszewski, w imieniu PPR Przybył Kazimierz, w imieniu inteligencji doktór Rosiński, w imieniu Stronnictwa Ludowego obywatel Kopeć — partyzant, w imieniu robotników...*

Zgromadzenie uchwaliło wysłanie depesz do marszałka Stalina, marszałka Żukowa, dowódcy I Białoruskiego Frontu, który wyzwolił Łódź, prezydenta KRN — Ob. Bieruta, wodza naczelnego Wojska Polskiego — gen. broni Roli-Żymierskiego i premiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej Osóbki-Morawskiego. Wiec zakończono odśpiewaniem „Roty" i „Międzynarodówki".

Ta część sprawozdania Ignacego Logi-Sowińskiego wymaga — szczególnie dla młodego czytelnika — kilka słów wyjaśnień. Ulica Anny — to fragment dzisiejszej alei Adama Mickiewicza między ul. Piotrkowską a Stefana Żeromskiego. Hala Sportowa mieściła się w parku Józefa Poniatowskiego, gdzie dziś znajdują się budynki Wytwórni Filmów Fabularnych. Wymieniony w sprawozdaniu generał — to gen. Furt. Przedstawicielem Wojska Polskiego był por. Kazimierz Kiełczewski. Skrót TKCZZ oznaczał Tymczasową Komisję Centralną Związków Zawodowych. Przedstawicielem PPR był Kazimierz Przybył-Stalski. Natomiast nazwisko przemawiającego robotnika napisane było tak nieczytelnie, że nie udało się go odcyfrować.

24 STYCZNIA 1945 R.

ukazał się pierwszy numer pisma „Wolna Łódź". W artykule redakcyjnym pisano między innymi:

„W jedności narodu, w walce i pracy rękojmia zwycięstwa".

25 STYCZNIA 1945 R.

odbyło się czwarte posiedzenie Tymczasowego Zarządu Miejskiego m. Łodzi. Przemawiał Kazimierz Witaszewski.

„Zabrał głos ob. Prezydent m. Łodzi kpt. Kazimierz Witaszewski, opowiadając o tym wszystkim, co działo się po tamtej stronie kordonu. Podkreśla fałszywe i tendencyjne wiadomości, rozsiewane o stanie prac i wynikach tychże Rządu Narodowego w Lublinie, przez wrogie i faszystowskie elementy. (...)

Ob. Prezydent wzywa wszystkich obecnych do wytężonej współpracy dla dobra miasta, ludności i Polski demokratycznej.

Po rozpatrzeniu się w sytuacji naszego miasta nasuwają się ob. Prezydentowi 2 najważniejsze zadania, nie cierpiące zwłoki: aprowizacja ludności i kwestia mieszkaniowa. Wszystko, co po Niemcach pozostało musi być zabezpieczone jako dobro narodowe. To dobro ma być dla tych, którzy cierpieli podczas okupacji. Najpierw idą bezdomni, dalej zbombardowani, a później biedna ludność, wreszcie pozostali mieszkańcy Łodzi. Co się tyczy aprowizacji, musi być natychmiast zorganizowana. Żaden Polak nie może być głodny, zwłaszcza polskiemu robotnikowi trzeba dać żywność, skoro wymaga się od niego pracy. Celem racjonalnego i sprawiedliwego podziału żywności pozostawia się system kartkowy. Należy sporządzić inwentarz produktów.... (...)

Sprawa mieszkaniowa jest drugim pilnym zadaniem Zarządu Miejskiego. W tym celu stworzony Urząd Mieszkaniowy ma zaradzić tej bolączce według potrzeb i planu wskazanego przez ob. Prezydenta. Obok Urzędu będzie także pracował element społeczny, wyłoniony przez cztery organizacje polityczne: Polska Partia Robotnicza, Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. Przedstawiciele tych organizacji będą pracować wespół z Urzędem, czuwając nad sprawiedliwym rozdziałem mieszkań".

Takie były pierwsze godziny i dni wolności...

Na podstawie książki *„Wyzwolenie Ziemi Łódzkiej Styczeń 1945"* Kazimierza Badziaka i Włodzimierza Kozłowskiego oraz Wyboru źródeł *„Kształtowanie władzy ludowej w Łodzi i województwie łódzkim w 1945 roku".*

opracował:
WITOLD BOROWY

Pierwsze godziny, dni, tygodnie...

Młodzież — polityka — autorytety

Gotowość młodzieży do brania udziału w życiu społeczno-politycznym kraju można ocenić przy pomocy wielu wskaźników. Sporo informacji można uzyskać na drodze badania zainteresowania młodzieży polityką, jej stopnia wiedzy politycznej i przez badanie stopnia udziału młodzieży w formalnych strukturach organizacyjnych działających w społeczeństwie. Problematykę tę badało Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) na próbie reprezentatywnej dla ogólnopolskiej populacji uczniów ostatnich klas szkół średnich i zawodowych w 1983 i 1985 r.

W badaniach CBOS z grudnia 1983 r. żywe zainteresowanie życiem społeczno-politycznym kraju okazywało tylko ok. 11 proc. badanych uczniów ostatnich klas szkół średnich wszystkich typów w Polsce. Pozostali badani interesowali się w niewielkim stopniu polityką lub wcale. W maju 1985 r. odnotowano wyraźne przejawy wzrostu zainteresowania uczniów sprawami politycznymi. Szczegółowe dane informują, że: 14,5 proc. badanych uczniów interesuje się polityką i wykazuje rozeznanie w tych sprawach; ponad 62 proc. — ogranicza się do śledzenia głównych wydarzeń politycznych; pozostali uciekają od polityki. Grupę tę można szacować na ok. 23 proc. Wzrost zainteresowania sprawami politycznymi wśród uczniów i spadek odsetka postaw obojętnych wobec problemów społeczno-politycznych kraju nie idą jednak w parze ze wzrostem wiedzy politycznej. W innych badaniach (CBPM) poświęconych wyłącznie świadomości historycznej młodzieży ustalono, że tylko 54,4 proc. tegorocznych maturzystów potrafiło poprawnie określić pojęcie socjalizmu; klasy społecznej — 44,1 proc., narodu — 51,5 proc., 17,1 proc. rozumiało jako tako pojęcie egalitaryzmu; 43,6 proc. — demokracji socjalistycznej; 30,6 proc. — sprawiedliwości społecznej.

Tegoroczni absolwenci szkół średnich wszystkich typów wykazują jednak wysoki stopień zaufania we własną wiedzę i we własne doświadczenia życiowe. Na pytanie badaczy CBOS postawione w maju 1985 r.: **„Gdybyś miał(a) jakieś wątpliwości w wyjaśnianiu jakichś spraw z życia społeczno-politycznego, to z którego z wymienionych sposobów najchętniej skorzystał(a)byś?"** Możliwości do wyboru było wiele. 49,1 proc. badanych rozwiązywałoby wszystkie swoje wątpliwości wyłącznie w oparciu o własną wiedzę i własne doświadczenie; 33 proc. zwróciłoby się o radę do rodziców; 22 proc. do kolegów; ok. 21 proc. szukałoby wyjaśnień w literaturze naukowej, w prasie i środkach masowego przekazu; ok. 17 proc. zwróciłoby się z prośbą o wyjaśnienia do nauczycieli; ok. 16 proc. do duchownych; ok. 16 proc. do działaczy organizacji młodzieżowych. Gotowość badanych uczniów do korzystania z porad starszych nie oznacza, że uznaje się ich za wiarygodne źródło informacji. Młodzież wybierała z reguły więcej niż jedną z propozycji. Stąd odpowiedzi nie sumują się w 100 proc.

W drodze dalszych badań i szczegółowych analiz CBOS ustaliło, że ponad 20 proc. badanych tegorocznych absolwentów szkół średnich odrzuca wszelkie autorytety i uznaje jedynie własne obserwacje i wiedzę. Z pozostałych 80 proc. badanych część uznaje jakieś autorytety i zarówno oni jak i pozostali są skłonni brać pod uwagę zdanie rodziców, opinie naukowców, nauczycieli, kolegów, działaczy organizacji młodzieżowych i księży. Wiarygodność tych źródeł informacji i porady jest jednak tak nisko oceniana przez badanych uczniów, że rezygnuję z publikowania posiadanych danych, gdyż są tak niepokojące, że lepiej je jeszcze sprawdzić w kolejnych badaniach.

Badacze od kilku lat już sygnalizują, że nastąpił kryzys wszelkich autorytetów w polskim systemie kształcenia i wychowania. Badania CBOS nic tu nowego nie wnoszą. Pozwalają jednak ustalić jaki procent uczącej się młodzieży ma jeszcze szacunek do najwybitniejszych osobistości życia politycznego, gospodarczego i społecznego całego 40-lecia PRL. W maju 1985 r. okazało się, że tylko 33 proc. badanych uczniów uznaje jakieś autorytety. Niekwestionowanym szacunkiem wśród tej wyraźnie wyróżnionej grupy badanych cieszy się Jan Paweł II i prymas Stefan Wyszyński. Za najwybitniejsze postacie 40-lecia PRL uznano także W. Gomułkę, gen. W. Jaruzelskiego, H. Jabłońskiego i kardynała J. Glempa. Jeśli chodzi o polityków lat siedemdziesiątych, to przepis art. 23 i 24 kodeksu cywilnego nie pozwala mi na ujawnienie zebranych danych.

Z danych zebranych przez Edmunda Lewandowskiego wynika, że 3/4 młodzieży nie należy do żadnej organizacji młodzieżowej i że wzrósł tylko udział młodzieży w organizacji katolickiej „Światło i Życie" („Odgłosy" nr 39). Podobne dane uzyskano w badaniach CBOS w 1983 r. Analiza danych ogólnopolskich z maja 1985 r. skłania mnie osobiście do wniosku, że impas w tym zakresie powoli jest przełamywany. W maju 1985 r. 16 proc. badanych uczniów ostatnich klas szkół średnich akcentowało swoją pracę w ZSMP, 15,8 proc. w ZHP; 12,5 proc. — ZMW. Nie są to dane optymistyczne, ale mogą świadczyć, że proces odpływu młodzieży z formalnych struktur organizacyjnych ulega zahamowaniu.

W 1983 r. przekonanie o braku szans młodzieży na realizację jej aspiracji i dążeń wyrażało ok. 48 proc. badanych uczniów ostatnich klas szkół średnich. Ok. 31 proc. badanych było zaś przeciwnego zdania i twierdziło, że młodzieży stwarza się w Polsce warunki do rozwoju. 23 proc. badanych nie umiało się wypowiedzieć w tej kwestii. W 1985 r. wzrósł udział młodzieży przekonanej o tym, że polityka partii i państwa służy również realizacji jej aspiracji i dążeń o prawie 10 proc. i takie przekonanie reprezentuje około 40 proc. uczniów ostatnich klas szkół średnich. Tezę o rzekomym braku szans podtrzymuje nadal około 45 proc. badanych. Około 15 proc. badanych nie wypowiada się w tej sprawie. Ciekawa jednak okazała się analiza korelacji między poglądami na realizacje szans życiowych a pochodzeniem społecznym badanych, typem szkół i miejscem zamieszkania. Okazało się, że szanse rozwoju i możliwości spełniania zamierzanych dążeń i celów życiowych widzi młodzież zasadniczych szkół zawodowych, pracująca dwa lub trzy dni w tygodniu w ramach praktyk zawodowych, pochodząca z rodzin robotniczych i chłopskich, mieszkająca na wsiach i małych miasteczkach. Szans na przyszłość nie widzi na ogół młodzież ucząca się w technikach i liceach, mieszkająca w wielkich miastach i pochodząca z rodzin legitymujących się wyższym wykształceniem.

Potwierdzałoby to pośrednio gorzką uwagę Edmunda Lewandowskiego sformułowaną w kontekście jego badań prowadzonych w łódzkiej aglomeracji przemysłowej, że młodzież przyzwyczajona jest przez rodziców do ciągłego brania i nie jest przygotowana **„do podnoszenia poziomu życia poprzez trud codziennej pracy oraz wzorowe wypełnianie obowiązków."** Uczniowie, którzy mają trudniejsze warunki startu życiowego i których specyfika szkoły wdraża do pracy widzą swoją przyszłość w jaśniejszych barwach. Nie sugeruję bynajmniej, aby młodzież licealną i techników zapędzać do pracy przez dwa, trzy dni w tygodniu, to wtedy zobaczą szanse na realizację aspiracji życiowych. Inny to bowiem typ szkół. Relacjonuję tylko korelacje, jakie ujawniły badania CBOS w 1985 r.

W artykułach podałem kilka danych, które uzupełniają obraz współczesnej młodzieży zarysowany na łamach „Odgłosów". Nie czuję się kompetentny ani do uogólnień, ani do wysuwania konkretnych propozycji. W sprawach kształcenia i wychowania decydujący głos powinien należeć do nauczycieli i rodziców. Przekonują mnie jednak argumenty, że szansą dla systemu kształcenia i wychowania jest rozwój samorządności uczniowskiej.

EDWARD K. NOWAK

EDMUND LEWANDOWSKI

Oblicza szczęścia (3)

SZCZĘŚCIE W CIERPIENIU I UMARTWIANIU

Przeciwieństwem prostej, racjonalnej filozofii hedonistycznej jest mistyczna i dość paradoksalna koncepcja ascetyczna (od greckiego „askesis" — ćwiczenie). Według niej prawdziwe szczęście nie polega na przyjemnościach zmysłowych, lecz wprost odwrotnie — wynika z umartwienia i wyrzekania się wszelkich rozkoszy. Zamiast więc nastawiać się na życie radosne i bezbolesne, należy świadomie wybierać smutki i cierpienia. Zamiast korzystać z nietrwałych uciech tego świata, trzeba dobrowolnie rezygnować z przyjemności, wyłączać się z życia społecznego i szukać szczęśliwości wiecznej.

Asceza ma zbliżyć człowieka do jakiegoś absolutu, czyli do osobowego lub nieosobowego bóstwa. Rozmaite samoograniczenia, poświęcenia i męczarnie mają być najlepszym środkiem na uwznioślenie ducha oraz osiągnięcie stanu spokoju, pogody, błogości. Praktyki ascetyczne spotykamy w dziejach braminizmu, hinduizmu, jogi, taoizmu, chrześcijaństwa, islamu. Wspólną cechą wszystkich ascetów religijnych jest pewna pogarda wobec spraw ludzkich i ziemskich, które traktowane są jako iluzoryczne bądź przejściowe, nie zasługujące na poważne zabiegi i działania.

W BRAMINIZMIE, HINDUIZMIE I JODZE

zakłada się, że świat zmysłowo-empiryczny jest tylko fantomem, iluzją, złudą magiczną. W świadomości Hindusów dominuje wizja rzeczywistości podobna do przedstawionej w „Sklepach cynamonowych" Brunona Schulza. W quasi-liście do Stanisława Ignacego Witkiewicza autor dzieła pisał: *„Rzeczywistość przybiera pewne kształty tylko dla pozoru, dla żartu, dla zabawy. Ktoś jest człowiekiem, a ktoś karakanem, ale ten kształt nie sięga istoty, jest tylko rolą na chwilę przyjętą, tylko naskórkiem, który za chwilę zostanie zrzucony. Statuowany tu jest pewien skrajny monizm substancji, dla której przedmioty są jedynie maskami. Życie substancji polega na zużywaniu niezmiernej ilości masek"*. Ilekroć czytam to wyjaśnienie i samo opowiadanie genialnego nauczyciela z Drohobycza, przypominają mi się zawsze hinduskie teksty na temat Maji. Mówią one, że za bogactwem zmiennych form materialnych kryje się istota rzeczy, że materia zasłania Prawdę i uniemożliwia szczęśliwy byt.

W świętych księgach braminizmu i hinduizmu powiada się, że uprzywilejowana pozycja bogów we wszechświecie wynika z ascezy. Istoty doskonałe potrafią ujarzmić myśli i ciało, umieją zapanować nad własnymi pragnieniami i namiętnościami. W dążeniu do takiej doskonałości i wyzwolenia od świata niektórzy stosowali różnorakie tortury i udręki fizyczne. Popularne były długie posty, nienaturalne postawy (stanie na jednej nodze, utrzymywanie rąk w górze), powstrzymywanie się od snu, leżenie na posłaniach z kłującymi gwoździami. Szczególnie okrutnych umartwień wymagał kult boga Siwy.

Asceza stanowi również ważny element jogi. Lecz tutaj nie przybiera raczej form drastycznych i patologicznych. Joga akceptuje tylko takie praktyki, które nie szkodzą zdrowiu. Asceza joginów ma zwiększać odporność ducha i ciała na wszelkie przeciwności losu: głód, pragnienie, zimno, gorąco. Człowiek „święty" musi być w maksymalnym stopniu uniezależniony od warunków zewnętrznych oraz wymagań i słabości własnego organizmu. Celem ascezy — według Patańdżalego — jest *„nadludzka doskonałość ciała i władz psychicznych"*.

Za przeszkodę na drodze do doskonałości uchodzi brak wstrzemięźliwości seksualnej. Dlatego adepci jogi, jeśli nie mogą być całkowicie obojętni na sprawy seksu, przynajmniej starają się ograniczać i regulować życie płciowe. Energia popędu seksualnego ma być wykorzystana w bardziej wzniosłych dziedzinach (nauka, ćwiczenia cielesne i duchowe, praca), czyli powinna ulec sublimacji.

Uregulowania wymaga też jedzenie i picie. Nie wolno spożywać żadnych pokarmów i napojów powodujących ociężałość, lenistwo, podniecenie, nietrzeźwość. Jogini unikają więc mięsa, jajek, ostrych przypraw, alkoholu. Za właściwe uważają potrawy zbożowe oraz świeże, surowe owoce i jarzyny. Jedzą o stałych porach, bez pośpiechu, popijając w dużych ilościach czystą wodą. Pamiętają przy tym, żeby nie osiągać granicy sytości, a od czasu do czasu przestrzegać całkowitego postu.

Wszystkie zakazy, nakazy, postawy, ćwiczenia i medytacje w systemie jogi mają na celu osiągnięcie stanu nadświadomości lub nieświadomości (sanskryckie „samadhi" = skupienie, zatopienie, scalenie), w którym człowiek traci kontakt ze światem i łączy się z Bogiem. Jest to coś w rodzaju ekstazy. Jogin doznaje wielkiego szczęścia z powodu bezpośredniego poznania Prawdy. Wszystko widzi we własnej jaźni i własną jaźń we wszystkim — przekonuje się, że jego dusza (Atman) jest tożsama z duszą wszechświata, nieosobowym Bogiem (Brahmanem), a świat stanowi wytwór myśli.

W jednej z hinduskich Upaniszad autor przeciwstawia dobro przyjemności. Tylko dobro, jego zdaniem, prowadzi do szczęścia i dlatego wybierają je ludzie mądrzy. Natomiast przyjemność — wybierana z chciwości przez głupców — powoduje grzęźnięcie w zmysłowości i oddalenie od najwyższego celu, jakim jest połączenie z Brahmanem. W innej Upaniszadzie pewien król zrzeka się władzy na rzecz syna i oddala od ludzi, aby poprzez posty i umartwienia poznać Prawdę.

Zbliżony do hinduskiego wzór ascetyzmu praktykowali nieliczni taoiści w Chinach. Udawali się zwykle w góry i żyli tam jako „święci" pustelnicy. Stąd chiński znak oznaczający świętego (sien) składa się z dwóch części: „człowiek" i „góra". Taoiści zmierzali do osiągnięcia długowieczności i nieśmiertelności. I właśnie po to niemal przymierali głodem oraz oddawali się kontemplacji. Uważano bowiem, że najlepiej żywić się powietrzem i śliną. Wśród źle widzianych potraw — oprócz mięsa — znajdowały się nawet pokarmy zbożowe, owoce i wina. Zajęci ćwiczeniami i medytacją pustelnicy po prostu zapominali o całym świecie, a w tym o jedzeniu i piciu.

POD KONIEC III WIEKU

ruch ascetyczny i pustelniczy pojawił się także w chrześcijaństwie. Zapoczątkował go święty Antoni (ok. 253—356) na pustyni w Egipcie. A w jego ślady poszli inni. Chodziło o to samo, w gruncie rzeczy, co gorliwym wyznawcom braminizmu, hinduizmu, jogi, taoizmu: doznać mistycznego uniesienia i poczucia łączności z Bogiem w oparciu o trudne ćwiczenia cielesne, wyrzeczenia, umartwiania, rozmyślania. Asceci chrześcijańscy poskramiali zmysły, aby nie ulegały pokusom Złego Ducha. Zaczęli nawet współzawodniczyć w zadawaniu sobie cierpień. Wymyślali wciąż nowe, coraz bardziej szokujące formy udręki. Ustanawiali rekordy postu, modlitwy, odosobnienia. Po grecku nazywano ich „monachi", co znaczy samotnicy.

W V stuleciu ogromny rozgłos zyskał Symeon Stylites (390—459), czyli Szymon Słupnik. Początkowo żył we wspólnocie klasztornej, gdzie już narzucił sobie tak surową dyscyplinę, że wszedł w konflikt z innymi mnichami. Po pewnych zatargach opuścił klasztor i zamieszkał na szczycie kolumny w pobliżu Aleppo (dziś Haleb w północno-zachodniej Syrii). Słup mierzył najpierw 6 łokci, a później stopniowo podwyższany przez świętego osiągnął 36 łokci wysokości. Szymona odwiedzały tłumy pobożnych chrześcijan. Z pielgrzymką przybyła nawet cesarzowa Eudokia, małżonka Teodozjusza II, kobieta wykształcona i piękna. Słowa uznania z dalekiego Paryża przekazała święta Genowefa.

Za przykładem Szymona — który dzielnie znosił „srogie zimy i upalne lata, deszcze i podmuchy wiatru i wszystkie inne niewygody" — poszedł m.in. święty Daniel. Usadowił się on na kolumnie w Konstantynopolu. W książce „Żywot św. Daniela Stylity" czytamy: „W miarę jak dorastał, widocznym stawało się, że Daniel ponad wszystko ceni sobie sprawy ducha. Kiedy miał lat dwanaście, nie mówiąc jeszcze nikomu o swoich zamysłach, odsunął się od bliższej i dalszej rodziny i cały poświęcił się wielbieniu Boga. Nienawidził tego świata i wszystkiego, co się na nim znajdowało". Losem Daniela na słupie interesował się cesarz Teodozjusz II i kazał sobie składać specjalne meldunki. Kiedy święty umarł, miał mieć długie na 4 łokcie włosy oraz straszliwie spuchnięte i owrzodzone od ciągłego stania stopy.

Wśród licznych słupników były też dwie kobiety. Trudno nam dziś uwierzyć, że jeden z „szaleńców bożych" spędził na słupie aż 53 lata! Był to św. Alipiusz z Paflagonii (kraj w północnej części Azji Mniejszej), który w końcu doznał paraliżu i musiał zrezygnować z kontynuowania ciężkiej próby. Ostatni bodaj słynny stylita, św. Łukasz, umartwiał się w X wieku na kolumnie w Chalcedonie.

W długich dziejach Kościoła chrześcijańskiego było wiele tysięcy pustelników, pokutników, biczowników. Wyrzekano się życia erotycznego, nie myto się, głodowano (Szymon Słupnik wytrzymał bez jedzenia 39 dni), unikano wszelkich wygód i zabaw. Zjawiska te występowały nie tylko w przysłowiowych mrokach Średniowiecza, lecz nasiliły się jeszcze w okresach Odrodzenia i Baroku.

ASCEZA W POLSCE

W naszym kraju surowa asceza modna była w XIII wieku. Szczególnie propagowano wzór świątobliwej księżnej i księżniczki, ale zdarzali się też „szaleńcy boży" wśród ówczesnych książąt. Autor „Kroniki Wielkopolskiej" wychwala księcia Przemysława I (1220—1257), brata Bolesława Pobożnego, ojca późniejszego króla Polski — Przemysława II. Książę ten miał tak bardzo kochać Boga, że modlił się po nocach, a w Wielki Czwartek potajemnie obmywał nogi ubogim. *„W łaźni* — czytamy — *nie bywał od z górą czterech lat przed śmiercią. W czasie postów podobno pod innymi szatami nosił włosienicę, i to w tajemnicy"*.

Jan Długosz z uznaniem pisze o świętej Jadwidze, żonie Henryka Brodatego, księcia wrocławskiego. Oto dość symptomatyczny fragment: *„Ciało jej, za życia wycieńczone postami i jak wosk żółte i wybladłe, po śmierci cudną przybrało świetność, jak ciało wielbione i święte. [...] Ona przez lat dwadzieścia osiem żyjąc w ślubach czystości, ciało i ducha wstrzymywała od wszelkich ponęt światowych. A co ludziom zmysłowym wydaje się rzeczą podziwienia godną, wśród cierni łoża małżeńskiego wraz z dostojnym małżonkiem swoim, Henrykiem, kwitnęła jak lilia i jak złoto w ogniu czyszczone, nie poczuwała bynajmniej żądzy cielesnych rozkoszy"*.

Przedmiotem podziwu i wzorem do naśladowania było życie Bolesława Wstydliwego i świętej Kingi. Według Jana Długosza książę krakowski i sandomierski zachował swoje ciało od *„wszelkiej ponęty zmysłowej"* i przez wszystkie lata małżeństwa wytrwał w celibacie. Był to — jak pisze kronikarz — mąż *„niewinności panieńskiej"*. Zaś jego święta żona, oprócz twarzy i rąk, nie chciała oglądać żadnej nagiej cząstki ciała małżonka. Dziewictwo jej potwierdzał — *„po wielu nieomylnych znakach"* (?) — Władysław Łokietek, który w dzieciństwie spełniał chyba nieraz rolę przyzwoitki. Po śmierci męża Kinga nie uroniła ani jednej łzy, lecz rozmyślała o *„swoim oblubieńcu Chrystusie"* i dziękowała za uwolnienie od ciężkiego jarzma życia małżeńskiego.

Jak na ironię, kiedy świecki książę żył w przymusowej prawdopodobnie (z powodu ślubów żony) wstrzemięźliwości płciowej, to ówczesny biskup, Paweł z Przemankowa, utrzymywał cały harem i uprowadził nawet zakonnicę. Natomiast żona następcy Wstydliwego, Gryfina, zachowała się zupełnie inaczej niż św. Kinga. Na zjeździe panów i rycerstwa ziemi sieradzkiej zarzuciła mężowi — Leszkowi Czarnemu — *„niemoc i oziębłość"*. Publicznie oświadczyła, że choć od sześciu lat jest mężatką, to nadal, niestety, pozostaje dziewicą. Na tej podstawie chciał żądać rozwodu.

W zasadzie aż po XX wiek utrzymała się w Kościele aura przygnębiającego smutku, trwogi i dewaluacji życia codziennego. Człowiek winien nieustannie pamiętać, że na tym „łez padole" jest tylko pielgrzymem, że jego losy naprawdę i ostatecznie rozstrzygną się po śmierci. Nad radością Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania dominowały liczne formy wywołujące nastrój powagi: msze, spowiedzi, komunie, pokuty, gorzkie żale, nieszpory, drogi krzyżowe, posty, adoracje, kazania, rekolekcje, modlitwy za żywych i zmarłych, procesje, różańce itd. Stefan Żechowski wspominał, że w latach dzieciństwa wszystko to osnuwało jego duszę *„melancholijną zadumą i smutkiem"*; a zdaniem Władysława Witwickiego prowadziło nawet do psychozy. Pewne zmiany nastąpiły dopiero w ostatnich dziesięcioleciach.

JEZUS NIE BYŁ ASCETĄ

Kaznodzieje chrześcijańscy wzywali i wzywają do naśladowania Chrystusa. Ale czy Jezus był ascetą? Raczej nie. Ascetyczny tryb życia prowadził Jan Chrzciciel — przebywał i nauczał na pustyni, nosił ubranie z sierści wielbłądziej, żywił się szarańczą i miodem leśnym. Jezus zaś uczestniczył w przyjęciach, pił wino, nie przywiązywał wagi do postu, czym zresztą zraził sobie przesadnie gorliwych faryzeuszy.

Faryzeuszom nie podobał się ani jeden, ani drugi prorok. Sam Jezus mówił na ten temat: *„Przyszedł bowiem Jan: nie jadł ani nie pił, a oni mówią: «Zły duch go opętał». Przyszedł Syn Człowieczy: je i pije, a oni mówią: «Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników». A jednak mądrość usprawiedliwiona jest przez swe czyny"*.

Jezus — powtarzam — nie był raczej ascetą, ale równocześnie uważał, że jego uczniowie powinni wyrzec się wszystkiego co posiadają: rodziny, własności, władzy, sławy. Był też przeciwnikiem życia zapobiegliwego i nadmiernej troski o sprawy materialne. Za szczęśliwych (błogosławionych) uznał ludzi: ubogich w duchu (pokornych), żyjących w smutku, łagodnych, pragnących sprawiedliwości, miłosiernych, czystego serca, wprowadzających pokój, prześladowanych za sprawiedliwość. Tak podaje ewangelista Mateusz, a Łukasz dodaje jeszcze, że „biada" — bogaczom, sytym, śmiejącym się i powszechnie chwalonym.

Jezus mówił, że kto chce iść za nim — winien zaprzeć się samego siebie i wziąć „krzyż swój"; powinien być przygotowany na prześladowania, męki i śmierć. Mówił o gotowości na najgorsze, lecz nie zalecał samowolnych umartwień i cierpień. Nie widział nic złego w tym, że jego uczniowie lekceważyli usankcjonowane zasady ablucji i szabasu. Sam był — jak stwierdza psycholog Władysław Witwicki — *„seksualnie obojętny, a chłodny"*. Ale przecież nie narzucał innym wstrzemięźliwości w tym zakresie. W dodatku stanowczo przeciwstawiał się rozwodom.

Wyższość bezżenności i dziewictwa głosił św. Paweł, a za nim różni fanatyczni asceci. Przeciwny naturze celibat uznano za wyjątkowe poświęcenie dla Boga. Z czasem doszło do tego, że spośród kobiet szanowano prawie wyłącznie dziewice i wdowy. Kobietę uznano za źródło wszelkiego zła i narzędzie szatana. Ciekawy jest przykład św. Augustyna, który w młodości zafascynowany był erotyzmem i przez 14 lat żył z pewną kobietą (miał syna — Adeodata), a po nawróceniu nie mógł patrzeć nawet na własną siostrę. Głosił później, że należy pogardzać wszystkim, co zmysłowe, oraz całym doczesnym światem — kochając tylko Boga i ufając wyłącznie Kościołowi. Na wstępie słynnych „Wyznań" pisał: *„Stworzyłeś nas dla siebie i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie"*. Tym stwierdzeniem wytyczył chrześcijańską drogę do szczęścia.

Ponawiane w Kościele przez wieki wezwania do naśladowania Chrystusa związane były przede wszystkim z męką krzyżową. Jedna z dawnych legend głosiła, że święta Elżbieta, Brygida i Melchida miały widzenie, w którym sam Jezus dokładnie podał, ile musiał znieść razów: 363 rany od korony cierniowej, 1667 uderzeń biczem i 800 ręką oraz osobno 110 policzków. W sumie przelał 97.307 kropel krwawego potu, 62 tysiące łez i wydał przy tym 900 jęków. Chcąc dorównać Zbawicielowi tysiące ascetów i ascetek sięgało po dyscyplinę i biczowało do krwi własne i cudze ciała.

Ponieważ krańcowości się stykają, ucieczką od ducha ascetyzmu były w klasztorach liczne akty rozpusty i perwersji seksualnej (zwłaszcza od XVII wieku we Francji i Włoszech). Wystarczy na ten temat przeczytać literaturę libertyńską oraz pamiętniki Casanovy. Za różne przewinienia zakonnice dość chętnie obnażały się i wymierzały sobie kary chłosty. Było to dla nich podniecające, a niektórym dawało rozkosz seksualną. Ból i cierpienie nie zawsze więc spełniały funkcje założone doktrynalnie.

PONIEWAŻ NIE WIEDZĄ

W psychologii religii asceza stanowi wyraźną prawidłowość. Toteż zna ją również, jak już wspominałem, historia islamu. Na początku VIII stulecia teolog Al-Hasan z Basry podkreślał, że dla Boga ten świat nie ma znaczenia ani wartości, dlatego z całą roztropnością należy się go wystrzegać i wszystkiego, co nas w nim zachwyca. Pewna mistyczka w następujących słowach zwracała się do Allaha: *„Kocham Cię dwojaką miłością: miłością zmierzającą do mego własnego szczęścia i miłością naprawdę godną Ciebie. W miłości mego własnego szczęścia pochłania mnie tylko to, by myśleć tylko o Tobie i o nikim innym"*. Kobieta ta nie chciała wyjść za mąż, gdyż uważała, że przestała istnieć dla własnej jaźni, straciła egzystencję fenomenalną i całkowicie należy do Boga.

Idea unicestwienia jaźni przypomina koncepcje hinduskie. Bardzo interesująco sformułował ją mistyk z Bagdadu, Al-Dżunajd (zmarły w 910 roku). Napisał on: *„Bóg każe umrzeć człowiekowi w jego jaźni, aby mógł żyć w Nim"*.

Socjolog niemiecki Max Weber rozróżniał dwa typy ascezy religijnej: ascezę odrzucającą świat oraz ascezę wewnątrz świata. Opisane przeze mnie formy należą do pierwszego typu. Natomiast asceza wewnątrzświatowa charakteryzowała — zdaniem Webera — religię protestancką, a w szczególności purytanizm. Asceci protestanccy, zamiast odwracać się od świata, zmieniali go poprzez solidną pracę, ograniczanie konsumpcji oraz unikanie zabaw i rozrywek. Trzeba było bogacić się i akumulować, ale oszczędzać na spożyciu; dużo pracować, lecz mało używać. Nie pochwalano też erotyzmu. Dzieci należało płodzić możliwie „beznamiętnie". Trudno zaprzeczyć, że ten typ ascezy był potężną siłą motoryczną procesu kształtowania cywilizacji kapitalistycznej.

Zwolennikiem drogi do szczęścia poprzez ból i cierpienie był Fiodor Dostojewski. W jego filozofii życiowej cierpienie pełni rolę katharsis (greckie „oczyszczenie"). Starzec Zosima poucza Aloszę Karamazowa: *„Oto mój testament: w cierpieniu szczęścia szukaj"*. W zapiskach do powieści „Zbrodnia i kara" Dostojewski zanotował, że „prawosławny" — czyli dla niego właściwy i jedynie prawdziwy — punkt widzenia na szczęście polega na tym, że szczęścia nie ma w dostatku i dobrobycie, lecz jest to przyjemność, na którą trzeba z a s ł u ż y ć sobie c i e r p i e n i e m. Wielki pisarz rosyjski podkreśla zdecydowanie: *„Człowiek nie przychodzi na świat, by być szczęśliwym. Człowiek musi zasłużyć sobie na swoje szczęście i to zawsze cierpieniem"*. Był on zdania, że w życiu naszym zdarzają się chwile tak wielkiej radości, iż warto za nie płacić latami cierpień. Najważniejsze jednak, żeby robić coś dobrego i sprawiedliwego, bo wtedy życie jest dobre i trzeba się go bać.

Niezwykle interesujący i bardzo trafny, jak sądzę, pogląd wypowiada Kiriłłow z „Biesów". Twierdzi mianowicie, że ludzie są nieszczęśliwi tylko dlatego, ponieważ n i e w i e d z ą, że są szczęśliwi. Jeśli ktoś dowie się, że jest szczęśliwy, to natychmiast takim się stanie.

Twierdzenie Kiriłłowa każdemu chyba wyda się paradoksalne, ale wielkie prawdy naukowe i życiowe są właśnie paradoksalne — tzn. tak zwykle wyglądają w świetle zdrowego rozsądku i potocznego doświadczenia. Pisali już o tym Lao-tsy (twórca taoizmu) oraz Karol Marks.

W powieści Anatola France'a „Historia współczesna" na uwagę swej siostry — *„Przecież Paulince jest dobrze z nami"* — profesor Lucjan Bergeret odparł: *„Oczywiście. Jest bardzo szczęśliwa, ale sobie z tego nie zdaje sprawy"*. Ludzie często są nieświadomi swego szczęścia bądź nieszczęścia i zgodnie z tym przeżywają swój los. Znany reżyser amerykański Woody Allen przytacza żartobliwe, lecz wiele znaczące powiedzonko: byliśmy biedni, ale nie wiedzieliśmy o tym.

Z ogromnego wpływu wiedzy na poczucie szczęścia i nieszczęścia zdaje sobie też sprawę Aleksy Zorba z głośnej książki Nikisa Kazantzakisa. Powiada on, że szczęśliwymi są ci, którzy n i e r o z u m i e j ą. Jeśli w wyniku oświecenia mają ludzie zobaczyć własną nędzę, to już lepiej niech dalej śnią z zamkniętymi oczami.

W pewnym wierszu popularna poetka, Małgorzata Hillar, lituje się nad młodą zakonnicą. Pisze sugestywnie:

„Ma małe ręce
które nie klaszczą z radości
ani nie pieszczą twarzy ukochanego

tylko powoli przesuwają
martwe ziarnka różańca
ruchem cierpliwego automatu

Młodość jej zawinięto szczelnie
w suknie długie ciężkie
przed słońcem i radością".

A w zakończeniu czytamy, że dziewczyna ta *„nie usłyszy nigdy /płaczu własnego dziecka/, nie zatańczy na kolorowym placu"*.

Ale co z tego wynika? Czy zakonnicy musi być źle? Otóż — wbrew pozorom — może być w pełni szczęśliwa, gdyż poświęciła swoją młodość wyższym d l a n i e j - celom. Może być jej dobrze zarówno, gdy wie jak i nie wie, co traci. Wszystko zależy od jej kondycji życiowej, cech charakteru i świadomości.

Ponieważ nie znamy całkowicie innych ludzi — nie mamy pełnych danych o ich sytuacji i osobowości — powinniśmy powstrzymywać się przed zdecydowanymi ocenami i radami w kwestii ich szczęścia. Niektórzy naprawdę znajdują swoje szczęście w cierpieniu i umartwianiu.

ze str. 1

santów w pokoju nr 4. — *Najpierw zobacz, kiedy dowód został zmieniony. To stara sztuczka.*

Faktycznie. Żeby tych stempli nie było zbyt dużo, zapobiegliwsi, co jakiś czas wyrabiają sobie nowy dowód i nikt nie wpadnie, że przed np. trzema pieczątkami było ich — naście lub — dziesiąt.

R. W. ur. w 1966 r. otrzymał nowy dokument tożsamości w listopadzie 1984 r. i popracował sobie (odtąd!) dwukrotnie: od 6.12.1984 r. do 8.01.1985 r. i od 1.07.1985 r. do 8.01.1986 r. Tylko pogratulować sprytu: wiadomo, że wystarczy być zatrudnionym przez choćby jeden dzień, żeby ustawowy okres pozwalający na niepodejmowanie pracy trwał przez następne trzy miesiące. Ale niestety, tym razem sposób zawiódł: zbyt długo wahał się z podjęciem nowej pracy (ponad trzy miesiące) i trafił do kartoteki...

Natomiast bardziej wytrwały na kolejnych stanowiskach był B. C. ur. 1943 r. (dowód z 1977), który zatrudniony był odtąd tylko 16 razy i średnio po cztery miesiące.

Prawie wszystkie dowody pachną jeszcze drukiem, a w większości ich właściciele pracowali po kilka dni lub tygodni i to z kilkumiesięcznymi przerwami. Gdzie ich nauczono takiego stosunku do pracy?

Do pokoju wchodzi interesant. Ściska nerwowo czapkę w dłoniach i siada ostrożnie na brzeżku krzesła.

— *Ja już mam uzgodnioną pracę* — mówi. — *Był tu taki pan i powiedział, że chce mnie przyjąć, więc się zgodziłem i teraz właśnie...*

Urzędniczka szuka w grubym pliku odpowiedniego zgłoszenia.

— *Niestety, proszę pana, nie mamy zapotrzebowania z tego zakładu.*

— *Ale jak to możliwe? Wczoraj rozmawiałem i powiedzieli, że mnie przyjmą.*

— *Co ja zrobię? Nie zgłosili do nas oferty. Mogę panu zaproponować coś innego.*

Okazuje się, że werbownicy zachęcają ludzi do podjęcia pracy w ich przedsiębiorstwie, a tymczasem rzadko który ma ochotę sprawdzić, czy zgłoszono zapotrzebowanie w Wydziale.

JEST USTAWA

1 stycznia 1983 r. weszła w życie ustawa o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy. Efekt? W końcu 1983 r. zanotowano w kartotekach łódzkich 4,4 tys. bumelantów, w 1984 — 7,2 tys., zaś 30 września 1985 r. było ich 7,9 tys. Nie rozwiąże się tego problemu, jeśli w ciągu tygodnia załatwia się ok. 400 takich osób, a często przychodzą ci sami, którzy byli przed tygodniem, gdyż znów porzucili pracę.

Andrzej Z.:

— *Panie kochany, ja bym tu wcale nie przychodził!... Ale popatrz pan sam, jak to jest. Miałem uzgodnioną pracę w zakładach młynarskich w Pabianicach. Obiecywali 25 tysięcy, a jak przyszło do wypłaty, to dostałem ledwie 14 tysięcy. Albo w MPO: obiecywali 30—35 tysięcy, a potem okazało się, że to na akord i płacą 26 zł na godzinę. To przecież kpiny. Niech powiedzą: panie, dajemy tyle a tyle, to ja się wtedy zastanawiam i przyjmuję robotę albo czekam na lepszą. Ale oni obiecują złote góry, a potem nic nie dają. A jak mnie oszukają i nie chcę tam pracować, to mówią, że to porzucenie pracy i znów tu muszę przychodzić. A ile ja tu czasu tracę! Niech pan patrzy: siedzą panienki w rejestracji, herbatkę popijają, nudzą się. A numerki wydają do dziewiątej i teraz nie mają co robić. Żeby dostać numerek, trzeba przyjść jeszcze w nocy.*

Jerzy H.:

— *Panie, wszystko co złe, to sprawka zakładów. Obiecują dużo, a dają mało. A z tymi zgłoszeniami do pracy to skandal. Przychodzą werbownicy i człowiek się godzi do roboty, ale potem okazuje się, że zapotrzebowania nie zgłosili. Albo jeszcze inaczej: wiszą tu w gablotach kartki, że jakieś tam zakłady potrzebują pracowników. Idę do pokoju, a urzędniczka daje mi skierowanie. Idę z tym do zakładu, a w zakładzie robią wielkie oczy, że niby nikogo nie potrzebują! Tak było jak chciałem pracować w „budowlance" na Wróblewskiego 47. Z człowieka pracy robi się gońca. I wie pan, co panu powiem? Ta instytucja w ogóle nie jest potrzebna, a werbowników nie powinni tu w ogóle wpuszczać!*

Hieronim D.:

— *Na co czekam? Numerków zabrakło, więc czekam na werbowników, może coś się da załatwić, chociaż w lutym zwerbowali mnie do ŁKB „Śródmieście", obiecywali 28 tysięcy, a zarobiłem dwanaście. Wie pan, chyba ci wszyscy kadrowcy dostają premię, jeśli kogoś zwerbują, więc im chyba najbardziej zależy, żeby dużo ludzi przyjmować i dużo zwalniać...*

Pracownicy Wydziału Zatrudnienia zgodzili się, że to ostatnie twierdzenie może być prawdziwe, ale uprzedzili, że ciężko mi będzie to udowodnić. Niemniej jednak spróbowałem.

Mówi zastępca dyrektora Zakładów Przemysłu Filcowego (przedsiębiorstwo o jednym z najwyższych współczynników płynności kadr 1984 r.) Andrzej Kuzitowicz:

— *Oczywiście pracownicy kadr naszych zakładów otrzymują premię, ale nie tylko za przyjmowanie do pracy nowych pracowników, premię dostają niejako za „całokształt" i decyduje o tym dyrektor.*

— Ale zgodzi się pan, że najważniejszym elementem tego „całokształtu" jest przyjmowanie nowych pracowników.

— *Oczywiście.*

Następne przedsiębiorstwo o dużym współczynniku płynności kadr i dużej liczbie osób samowolnie porzucających pracę, czyli Zakłady Wyrobów Galanteryjnych „Wagmet". Mówi dyrektor, Ryszard Rosiński:

— *Dlaczego tak jest? Jak się kieruje do nas ludzi z marginesu, którzy mają 50 stempli w dowodzie, to popracuje taki parę dni, weźmie odzież roboczą i tyle go widać! Uczciwi pracownicy nie odchodzą. Wśród 600-osobowej załogi mamy 150 ludzi z ponad dwudziestoletnim stażem w „Wagmecie".*

Foto: Grzegorz Gałasiński

Mają się dobrze i rosną w siłę

— Dlaczego więc nie zostają inni?

— *Sąsiednie zakłady lepiej płacą i warunki pracy są tam lepsze.*

— Gdyby jednak dać im więcej pieniędzy...

— *Nikt nie da im normalnej stawki! Zgodnie z przepisami dostać muszą najniższą stawkę z danej grupy zaszeregowania.*

KIM SĄ CI, KTÓRZY UCHYLAJĄ SIĘ OD PRACY?

W celu rozpoznania zjawiska pasożytnictwa społecznego prowadzone są badania socjologiczne w grupie tych osób. 80 proc. badanych posiada wykształcenie podstawowe lub niepełne podstawowe, 19 proc. posiada wykształcenie zasadnicze zawodowe, zaś tylko 1 proc. ma wykształcenie średnie.

Kiedyś obiboki były „starymi wyjadaczami". Starymi jeśli chodzi o wiek i doświadczenie. A teraz? 22 proc. uchylających sę od pracy jest w wieku poniżej 25 lat, 33,3 proc. znajduje się w wieku 25—30 lat, zaś 38,1 proc. to ludzie w wieku 31—40 lat. Wniosek? Margines się odmładza. Przeważają ludzie, którzy są (potencjalnie!) najbardziej wartościowymi dla gospodarki.

Powody porzucenia pracy, to najczęściej niskie zarobki, nieusprawiedliwione absencje z racji niechęci do pracy i absencje po „kilku głębszych". Z czego ci ludzie żyją? Z pracy dorywczej (81 proc.) i pieniędzy, które daje rodzina (19 proc.) 40 proc. spośród obiboków było karanych sądownie, przeważnie za kradzież, pobicia, w mniejszym stopniu za paserstwo i uchylanie się od płacenia alimentów.

Mężczyźni, wpisani do ewidencji jako uchylający się od pracy, którzy mimo udzielanej im pomocy nie podejmują pracy lub znów ją porzucają, kierowani są do wykonywania robót na cele publiczne. Do 30 września 1985 r. skierowano do takiej pracy 434 osoby, przy czym podjęło ją 215 mężczyzn, a pracuje aktualnie 50. MPK, MPO i inne przedsiębiorstwa zatrudniające osoby na tych warunkach bardziej narzekają na takich pracowników niż ich chwalą. Nie jest to chyba najlepszy sposób na obiboków.

Zresztą, czytając *„Informację z wykonania przepisów ustawy z dnia 26.10.1982 r. o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy"* z listopada 1985 r. można mieć wątpliwości, czy w ogóle jest jakiś sposób na nierobów. Można wysnuć wniosek, że ten, kto raz znalazł się w kartotece, czy zwolniony został z artykułu 52, jest stracony raz na zawsze, bo człowiek taki nie ma w zasadzie powrotu do normalnego społeczeństwa pracowników, a raz się potknąwszy, już się nie podniesie. Tak chcą bowiem przepisy i... zakłady pracy.

W *„Informacji"* czytamy:

„Na podstawie dotychczasowych doświadczeń zakłady niechętnie widzą u siebie osoby uchylające się od pracy. Do głównych powodów należą: bardzo niska dyscyplina pracy, problem kradzieży, niewłaściwy stosunek do przełożonych, łącznie z przypadkami pobicia, niska wydajność pracy oceniana na 30 procent wydajności innych pracowników, demoralizujący wpływ na resztę załogi".

A przecież bardzo łatwo generalizować, twierdząc, że każdy, kto choćby raz został „źle zwolniony", czy trafił (z różnych przecież powodów) do kartoteki, to czarna owca wśród stada niewinnych owieczek.

Jak powiedział mi dyrektor Łódzkiej Wytwórni Papierosów, w której z przeszło 40-procentowej fluktuacji kadr w 1984 roku obecnie pozostała 22-procentowa, fluktuacja jest prostą funkcją płacy w każdym przedsiębiorstwie, a także rozwoju i istnienia infrastruktury socjalnej. I co, ŁWP poradziła sobie z odejściami pracowników? Poradziła. Najlepszy to dowód, że pracownika najłatwiej zachęcić pieniędzmi, nawet jeśli jest to człowiek dawniej uchylający się od pracy (pod warunkiem wszakże, iż nie jest zepsuty do szpiku kości i w gruncie rzeczy chce pracować).

W cytowanej już *„Informacji"* czytamy dalej:

„...uwagi powyższe zgłoszone zostały do Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych w ramach dyskusji nad projektem nowelizacji ustawy o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy. Pomimo przedstawionych trudności, realizacja przepisów ustawy została oceniona pozytywnie w wyniku kontroli przeprowadzonej przez Ministerstwo w miesiącu kwietniu 1985 r. Według ustaleń Ministerstwa osiągnięte wyniki stawiają województwo łódzkie na trzecim miejscu w kraju za województwem warszawskim i katowickim. Działalność powyższa będzie kontynuowana, a nabyte doświadczenia oraz projektowana nowelizacja przepisów pozwalają zakładać zwiększenie jej efektywności".

Pozwolę sobie jednak przypomnieć, że w 1983 r. było 4,4 tys. uchylających się, w rok później — 7,2 tys., a teraz — 7,9 tys. Interpretować to można dwojako: albo więcej ludzi się uchyla, albo aparat wykrywania jest sprawniejszy. W każdym razie problem obiboków narasta.

CO ZMIENIŁO SIĘ?

Rozmawiam z kierownikiem Oddziału Zatrudnienia, Ludomirem Łukaszewiczem.

— Gdy przed rokiem składałem wizytę w Wydziale Zatrudnienia, kolejki były takie same. To znaczy, że nic się nie zmieniło?

— *Kolejność ustawiania się do okienka nie interesuje mnie. Dziennie załatwiamy średnio 450 osób, a ofert pracy mamy 8—10 tys. Nie przyjmujemy wszystkich chętnych, bo nie mamy fizycznej możliwości. Zresztą, uczciwie mówiąc, jacy to chętni? Niektórych to nawet znam z imienia, bo widzę codziennie. W każdym razie prawdą jest, że od niedawna uczciwy pracownik nie zginie w tłumie obiboków. Otworzyliśmy w rejestracji okienko nr 1, załatwiające pracowników z dobrymi zwolnieniami. Tam nie ma prawa podejść nierób. I oto mamy sytuację, że dobry pracownik nie będzie stał w kolejce i zawsze zostanie obsłużony od ręki.*

Czy można rozwiązać w jakiś sposób problem „bezrobotnych"? Zacznijmy od tego, że ustawa z 26.10.1982 r. nie spełniła swych zadań. Zjawisko „bezrobocia" nie tylko nie zniknęło, ale nawet powiększyło się. Różne metody przymusowej pracy, jakie dotąd stosowano, przyniosły nikły efekt. Zysk żaden, resocjalizacja — podobnie. Czemu więc mają służyć roboty publiczne?

Najlepiej zresztą świadczy na niekorzyść ustawy fakt, że obiboki mają się dobrze i rosną w siłę. Zawsze bowiem są na tyle inteligentni, by wykręcić się przysłowiowym sianem. Zresztą najprościej można postępować w taki sposób: pracować przez kilka dni, co trzy miesiące. I wtedy nic człowiekowi nie można zrobić, nawet nie wolno wpisać do kartoteki. Jeśliby wszyscy uchylający się postępowali w ten sposób, nierobów w ogóle by nie było (w sensie przepisów). Tylko czy o to chodzi?

Zdaję sobie sprawę, iż walka z tego typu pasożytnictwem społecznym jest przegrana. Bo Wydziały Zatrudnienia i inne organa administracyjne usiłują likwidować skutki, ale nie mogą usunąć przyczyn. To nie wina Wydziału Zatrudnienia, że przychodzą tu nieroby.

Już widzę oburzone spojrzenia, słyszę protesty. Ale który kandydat zostanie na stałe, jeśli zamiast obiecywanych 25 tysięcy otrzyma przy wypłacie połowę? Jak nauczyć szacunku do pracy cokolwiek „zepsutego" obiboka, jeśli wokół otaczają go ludzie, którzy mają podobny stosunek do pracy, jak on sam, tylko że nie są notowani i uważa się ich za „uczciwych"? Jak może zaadaptować się w miejscu, gdzie człowiek traktowany jest jako podejrzany?

Każdy kij ma dwa końce. Na przykład przepis mówiący o tym, że obiboka i porzucającego pracę trzeba wynagradzać najniższymi stawkami. Z jednej strony przeciwdziała to nadmiernej fluktuacji kadr, a z drugiej — uniemożliwia podjęcie normalnego życia tym, którzy uchylali się od pracy. Tak więc kto raz zawinił...

GDZIE SZUKAĆ SKUTECZNOŚCI?

Potrzebna jest gruntowna nowelizacja ustawy, która jak dotąd nie rozwiązała problemu, a wręcz przeciwnie. Bo weźmy pod uwagę taki oto przykład. Pracownik został skierowany do zakładu jako uchylający się. Pobierze oczywiście odzież roboczą (jeśli trzeba), nad jego papierami będzie ślęczało kilkunastu (oby tylko) urzędników, przejdzie badania i analizy lekarskie, otrzyma wreszcie stanowisko pracy, musi zostać do niej przyuczony, będzie cząstką organizmu przedsiębiorstwa, które liczy także na jego pracę. I po paru dniach czy tygodniach, taki człowiek odchodzi, zostawiając po sobie pustkę, choć zaangażował wiele sił i środków przedsiębiorstwa i urzędników. Pytam, komu przyniósł pożytek i co z tego, że był zatrudniony?

Morze atramentu wylali różni publicyści pisząc o tym, że ustawa powinna być zniesiona. Nie chcę powtarzać ich argumentów ani zajmować stanowiska „pro" lub „contra". Prawdą jednak jest, iż ustawa trafiła na najgorszy okres, gdy praca w oczach społeczeństwa nie zawsze jest honorem i godnością, o czym może świadczyć jej wydajność; ustawa trafiła na czas, gdy zakłady i zjawiska w nich panujące nie zawsze pasują do idealnej teorii. Ale jeżeli Ministerstwo Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych jest zdania, że mimo wszystko mężczyźni do 45 roku życia muszą pracować, ustawa powinna być znowelizowana i to radykalnie.

Z jednej strony warto zastosować bardziej drastyczne metody walki z pasożytami, a z drugiej — należałoby wziąć pod opiekę tych, którzy zawinili, ale chcą się poprawić, lecz obecna polityka kadrowo-płacowa i stosunek do tych ludzi uniemożliwia proces adaptacji. Nie bić ich po kieszeni, nie przylepiać etykietki, ale dać szansę. Dlaczego by nie przeprowadzić jednorazowej „amnestii pracowniczej", tak jak amnestii więźniów? Bo ci ludzie też są więźniami, więźniami życiowych błędów. Może niektóry uda się nawrócić na dobrą drogę? Ale przedsięwzięcie takie nie ma szans powodzenia, jeśli w zakładach panować będą takie szeroko pojęte warunki jak obecnie. Błędne koło...

Czy rzeczywiście „bezrobotni" są największym problemem naszej polityki zatrudnienia?

— *Proszę pana, gdyby burmistrz jakiegoś miasta w innym kraju miał 10 tysięcy uchylających się od pracy obiboków, nie bójmy się tego słowa, to byłby wielce szczęśliwy* — mówi kierownik Oddziału Zatrudnienia Ludomir Łukaszewicz. — *Jeżeli nawet te dziesięć tysięcy mężczyzn ustawilibyśmy przy budkach z piwem, to boję się, że zabrakłoby budek. Twierdzę z całą stanowczością, że ci ludzie nie są największym problemem. Ta skromna liczba po prostu ginie w tłumie.*

— Dziwne. Zawsze spotkać można na ulicach tabuny mężczyzn, którzy najwyraźniej się nudzą.

— *Otóż to! Ale proszę się nie obawiać, ci którzy uchylają się od pracy, są notowani w specjalnych kartotekach. Znamy ich każdy ruch. To nie tylko oni są groźni.*

— To znaczy, że nie oni stoją w kolejkach w sklepach monopolowych i wałęsają się po mieście?

— *Oni też, ale nie tylko. Proszę sobie wyobrazić, że w Łodzi 40 tysięcy osób dziennie nie przystępuje do pracy, a 12 tysięcy wychodzi z zakładu na jednorazowe przepustki i korzysta z wolności pełnymi garściami. Formalnie wszystko jest w porządku. Tak więc te 10 tysięcy uchylających się tylko „urzędowo" to stosunkowo niewielki problem. Bójmy się raczej tych „uczciwych".*

— Wina leży zapewne po stronie zakładów pracy. Czy to one produkują tych nierzetelnych pracowników i w przyszłości — jak pan to określił — obiboków?

— *Nie odpowiem na tak sformułowane pytanie. W każdym razie prawdą jest, że w zakładach panuje nie najlepsza dyscyplina, kiepskie warunki pracy, niewłaściwe stosunki międzyludzkie, słaby nadzór i organizacja pracy. Wszystko to powoduje olbrzymią fluktuację kadr, a także taki stosunek do obowiązków pracowniczych, jaki ma miejsce obecnie. Jeśli w ciągu roku 100 tys. osób zmienia pracę, o czymś to świadczy!*

W latach 1975—80 w ogólnej liczbie zwolnionych, wypowiedzenia przez zakłady pracy stanowiły 9,1 proc., a porzucenia — 22,2 proc. W roku 1982 porzuceń było najmniej w całej historii Polski Ludowej (12,5 proc.), za to wypowiedzeń przez zakłady było więcej, bo 11,6 proc. Ale potem wszystko wróciło do „normy" i w 1984 r. znów było 7,3 proc. wypowiedzeń i 21,5 proc. porzuceń.

JACEK GŁĘBSKI

R*ady narodowe uczestniczą w kształtowaniu i realizacji polityki państwa, kierują całokształtem społeczno-gospodarczego i kulturalnego rozwoju na swoim terenie, wpływają na działalność wszystkich jednostek administracji i gospodarki oraz sprawują nad nimi kontrolę...*" — Art. 3 p. 1 Ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z 20 lipca 1983 r.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

(1)

Swój chłop i wichrzyciele

1.

28 marca 1985 roku trzej radni Gminnej Rady Narodowej w Makowie koło Skierniewic wysłali obszerny list do Głównej Inspekcji Terenowej na ręce generała Edwarda Drzazgi. „*...zwracamy się do Towarzysza Generała z prośbą o przeprowadzenie kontroli w Urzędzie Gminy Maków* — pisali — *ponieważ nasze interwencje w instytucjach wojewódzkich nie spowodowały właściwej kontroli i wyciągnięcia wniosków wobec winnych nieprawidłowości i nadużyć...*".

Już na pierwszy rzut oka widać było, że sprawa jest poważna. Radni: Eugeniusz Felczyński, Wacław Piencek i Mieczysław Świderek skarżyli się, że komisja finansowa GRN mimo trzykrotnych usiłowań nie może skontrolować, w jaki sposób podzielony został gminny fundusz opieki społecznej, wynoszący prawie 2 mln złotych, gdyż naczelnik gminy utrudnia kontrolę, tłumacząc się tajemnicą służbową. Komisji udostępniono jedynie listę zasiłków stałych na sumę 780 tys. złotych. Jak rozdysponowano w Urzędzie Gminy resztę funduszu, nie wiadomo.

Nie wiadomo także, z jakich środków finansowana jest budowa nowej siedziby Urzędu Gminy w Makowie. Z sygnałów dochodzących od społeczeństwa wynika, że na budowie mogło dojść do nadużyć, czego jednak komisja finansowa również nie jest w stanie stwierdzić od czterech miesięcy. Kiedy 20 marca 1985 r. członkowie komisji zwrócili się do głównego księgowego UG z prośbą o udostępnienie im dziennika budowy, umów z prywatnymi wykonawcami, zezwolenia na budowę oraz listy społecznego komitetu budowy, księgowy odesłał ich do naczelnika, a ten oświadczył, iż dokumentów takich w ogóle nie ma. Podobnie — kiedy później chciano skontrolować prawidłowość wydatków na remonty dróg.

Mało tego! Naczelnik gminy, Stanisław Nowak samowolnie zabrał sołectwu Maków Kolonia prawie pół miliona z funduszu rozwoju rolnictwa, przeznaczając te pieniądze na wspomnianą już inwestycję. Nikt nie zwracał się w tej sprawie do mieszkańców wsi, w dyspozycji których znajduje się fundusz, a zgodę na podjęcie pieniędzy z Banku Spółdzielczego w Skierniewicach podpisały osoby nie będące mieszkańcami Makowa Kolonii.

Dalej trójka osamotnionych — jak pisali — w swym działaniu radnych zwracała uwagę, że w Makowie miejscowy hodowca lisów, Sławomir Chrobot wybudował punkt zbiórki padliny, celowość istnienia którego budzi liczne wątpliwości. Punkt ten służy przede wszystkim prywatnym interesom hodowcy, którego popierają osoby w jakiś sposób z nim związane. Ponadto występują nieprawidłowości w rozdziale przez naczelnika sprzętu rolniczego, maszyn i materiałów budowlanych, a także — przejawy niegospodarności, czego przykładem może być sprzedanie przez naczelnika desek z rozebranych magazynów po Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Makowie, które to deski można było wykorzystać chociażby przy budowie urzędu gminy. Poza tym naczelnik nadużywa alkoholu w sposób tak rażący, iż sprawa ta już dwukrotnie omawiana była na posiedzeniach prezydium GRN.

„*Bardzo smutne jest również to* — kończyli swój list radni — *że poplecznikiem Naczelnika jest I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR Ob. Jan Machaj. Gdyby on stał na straży ładu i praworządności do takich uchybień nie powinien dopuścić.*

Woluntarystyczny sposób postępowania Naczelnika jest jawnym zaprzeczeniem słów Generała Jaruzelskiego, że „woluntaryzm i sobiepaństwo sprzed 1980 r się nie powtórzą". My niżej podpisani radni Gminnej Rady Narodowej zastrzegamy się, że nie żywimy wobec nikogo żadnych urazów jak i nie chcemy siać niepokoju, pragniemy tylko, by prawda, ład i porządek miały miejsce w Urzędzie Gminy".

2.

Wszystko zaczęło się od tej rakarni Chrobotów, wyjaśnia Wacław Piencek, radny ze wsi Maków Kolonia. Zaczęli ją budować na działce trzeciej klasy użytków rolnych, w bezpośrednim sąsiedztwie rowu melioracyjnego, w którym pojone są krowy, a także — blisko wiejskich zabudowań i dróg publicznych. Czyż nie stwarza to zagrożenia dla czystości gleby, wód i powietrza? Zresztą, po co w ogóle budować rakarnię w Makowie, skoro w gminie istnieje już jeden punkt zbiórki zwierząt padłych w Strobowie, a nawet — Zakład Utylizacyjny „Bacutil" w Pszczonowie? Rolnicy mogliby przecież tam odwozić padlinę. Co prawda Chrobot zaczął budować na swojej ziemi za pieniądze otrzymane ze Związku Hodowców Zwierząt Futerkowych, ale czy znaczy to, że nie należy brać też pod uwagę interesu ogólnospołecznego?

Podobnie jak Wacław Piencek myślało siedemdziesięciu gospodarzy z Makowa i Makowa Kolonii. 28 grudnia 1983 roku wystąpili oni wspólnie ze skargą w tej sprawie do wojewody skierniewickiego, Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej i Wojewódzkiego Biura Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego. Nie chcieli Chrobotowej rakarni w samym środku wsi.

O dziwo, pierwszy zareagował na ich skargę sam Sławomir Chrobot. Tak szybko jak zabrał się do wznoszenia punktu zbiórki padliny, którą miał karmić lisy, tak samo szybko przeniósł się z jego budową na inną swoją działkę, położoną z daleka od ludzkich siedzib, o kilometr od wsi, pod las. I to zanim jeszcze zdążyły odezwać się władze wojewódzkie. Wytrąciło to, rzecz jasna, jego przeciwnikom argument o szkodliwości położenia punktu, ale sprawy bynajmniej nie zamknęło.

Wojewódzkie Biuro Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego uznało skargę za zasadną, jako że obywatel Chrobot nie miał zgody władz wojewódzkich na zmianę przeznaczenia działki na cele nierolnicze, decyzji naczelnika gminy na wyłączenie jej z produkcji rolnej, a co najważniejsze — zezwolenia na budowę. W związku z tym prosiło naczelnika o „*podjęcie niezwłocznych działań w stosunku do obu* (pierwszej i drugiej lokalizacji — przyp. P.T.) *wymienionych samowoli budowlanych*", gdyż tak należało formalnie określić inwestycję.

Naczelnik gminy był odmiennego zdania. Motywował je tym, że: „*1. Zarówno pierwsza jak i druga lokalizacja była i jest tylko formalnie samowolą wynikającą z szybkości działania Ob. Chrobota oraz choroby inspektora ds. budownictwa Urzędu Gminy Ob. Bożeny Szuplewskiej. 2. Wiadomo mi, że skarga mieszkańców została opracowana z inspiracji konkurencji Ob. Mieczysława Lipińskiego, który taki sam punkt zbudował w Strobowie. W warunkach wdrażania reformy gospodarczej z takimi faktami należy się liczyć. 3. Działanie Ob. Chrobota jest pożyteczne społecznie, gdyż punkt ten położony w środku gminy pozwala oszczędzić czas wielu rolnikom (...). Wyrażam uznanie Ob. Chrobotowi za to, że pomimo poniesionych strat dostosował się do życzenia mieszkańców rozładowując niepotrzebny konflikt*".

Jak łatwo się domyślać, w tej sytuacji naczelnik nie tylko nie wyciągnął żadnych konsekwencji w stosunku do samowolnego budowniczego, a wręcz przeciwnie — 19 stycznia 1984 roku wydał mu pozwolenie na budowę.

Z kolei Wojewódzki Zarząd Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach po gruntownym zbadaniu sprawy wyjaśnił skarżącym, że istnienie punktu zbiórki padliny w Makowie uznano za celowe, ze społecznego punktu widzenia, nowa lokalizacja nie stwarza, zdaniem sanepidu, żadnego zagrożenia dla środowiska, zaś pszczonowski „Bacutil" w ogóle nie zajmuje się skupem padliny, a jedynie jej przerobem na skalę przemysłową. „*Wobec powyższego* — stwierdzono w piśmie z 24 lutego 1984 roku — *tut. zarząd nie widzi powodów do niewybudowania punktu zbiórki padliny w Makowie pod warunkiem, iż zostaną spełnione wymogi określone przepisami prawa budowlanego oraz przepisami o ochronie gruntów rolnych*".

Ano właśnie — „*pod warunkiem*"! Rzecz w tym, że decyzję naczelnika gminy z 19 stycznia 1984 r. władze wojewódzkie anulowały, a mimo to Sławomir Chrobot rakarnię wybudował i prowadzi po dziś dzień. Jak mówi przewodniczący GRN w Makowie, Marian Ceroń — z pożytkiem dla rolników, ale formalnie bez zezwolenia.

3.

Eugeniusz Felczyński jest radnym nieprzerwanie od 27 lat i niejedno już przez te lata widział. Ale żeby naczelnik gminy tak łamał prawo, żeby pił.... Mieczysław Świderek już w marcu 1983 roku mówił o tym piciu na forum Gminnej Rady PRON, której był przewodniczącym. Niestety, naczelnik Stanisław Nowak nie przyjął sobie tego wtedy do serca. Zaczął urabiać ludzi przeciwko Świderkowi i Felczyńskiemu, którzy nie dali jednak za wygraną i dalej wytykali naczelnikowi jego słabość.

W maju 1984 roku rozmawiali na ten temat z I sekretarzem KG PZPR, Janem Machajem, a potem nawet — w Komitecie Wojewódzkim w Skierniewicach. Bez rezultatu.

Marian Ceroń także nie raz widział naczelnika pijanego. W oparciu o własne obserwacje oraz „raport" Świderka i Felczyńskiego zameldował o tym wojewodzie. Krótko mówiąc, wiedzieli wszyscy. Nie wszyscy jednak widzieli w tym piciu powód, by tak ostro występować przeciw naczelnikowi, pisać na niego skargi do Warszawy, domagać się dymisji. Tylko Felczyński, Piencek i Świderek byli nieustępliwi.

4.

List trzech radnych do GIT z 28 marca 1985 r. wywołał w gminie Maków prawdziwą burzę, przede wszystkim jednak spowodował przeprowadzenie wreszcie w Urzędzie Gminy kontroli przez Urząd Wojewódzki, który musiał przecież na to jakoś zareagować. Zareagował natychmiast, a wyniki owej kontroli okazały się — śmiało można rzec — zaskakujące, jakkolwiek nie wszystkie zarzuty wysuwane pod adresem naczelnika uznano za potwierdzone.

I tak nie dopatrzono się nieprawidłowości w rozdziale funduszu pomocy społecznej, gdyż na wszystkie przyznane zasiłki znalazły się rozliczenia, przy czym jednak — jak informował w piśmie z 23 maja 1985 r. wicewojewoda skierniewicki, Piotr Myszkowski — wyszły na jaw „*pewne niedociągnięcia w zakresie przeprowadzania wywiadów społecznych*". Nie stwierdzono również nieprawidłowości w rozdziale sprzętu rolniczego (ciągników), materiałów budowlanych (m.in. eternitu), a także — w przypadku lokalizacji rakarni w Makowie, choć podkreślono, że „*Ob. Sławomir Chrobot wybudował tę rakarnię mimo unieważnienia przez organ administracji państwowej II instancji decyzji Naczelnika Gminy w Makowie z dnia 19 stycznia 1984 r. zezwalającej na budowę tej rakarni, co jest potraktowane jako samowola budowlana*" Nie znaleziono podstaw do zarzucenia naczelnikowi niegospodarności, ponieważ „*na rozbiórkę starych drewnianych magazynów i szop zostały zawarte umowy zlecenia z Kołem ZMW „Wici" w Makowie oraz Ob. Stefanem Milczarkiem ze wsi Sielce. W umowach tych zostało określone, że dokonujący rozbiórki w ramach należności za pracę zabiorą materiał uzyskany z rozbiórki. Według uzyskanych opinii, drewno z rozbiórki tych magazynów było zbutwiałe i nie mogło być wykorzystane przy budowie wznoszonego przez Urząd Gminy obiektu*".

Natomiast „*Potwierdzony został w części zarzut dotyczący spożywania alkoholu przez Naczelnika Gminy Ob. Stanisława Nowaka. W związku z otrzymaną na ten temat informacją* — donosił dalej Piotr Myszkowski — *Wojewoda Skierniewicki przeprowadził w dniu 8 grudnia 1984 r. z Ob. Stanisławem Nowakiem rozmowę ostrzegawczą, w czasie której złożył on zapewnienie, że nie będzie spożywał alkoholu w czasie wykonywania czynności służbowych. Przyrzeczenia takie złożył również na posiedzeniu Prezydium GRN w dniu 17 grudnia 1984 roku...*". A w całości potwierdził się już zarzut, iż naczelnik samowolnie odebrał sołectwu Maków Kolonia środki z funduszu rozwoju rolnictwa „*na podstawie nieformalnie sporządzonych dokumentów, bez uzyskania zgody mieszkańców...*" w związku z czym zobowiązano go do „*dokonania zwrotu tych pieniędzy na rzecz wsi...*".

I wreszcie sprawa najważniejsza, która wywołała najwięcej hałasu, choć wcale nie była podnoszona bezpośrednio przez autorów listu do GIT. Otóż okazało się, że budowa nowej siedziby Urzędu Gminy w Makowie, nazywanej w korespondencji „*budynkiem dla potrzeb kultury i administracji*" prowadzona jest „*...z naruszeniem przepisów prawa budowlanego*". A zatem...

5.

Radni Piencek, Świderek i Felczyński mogli nareszcie poczuć się usatysfakcjonowani. Kontrola działalności Urzędu Gminy, której tak długo i bezskutecznie się domagali przy biernej postawie całej GRN, została w końcu dokonana. Co więcej, zarzuty przeciw naczelnikowi nie były przez nich wyssane z palca (to, że nie wszystkie, uważali, jest sprawą dyskusyjną). Jednak mimo to, radni Piencek, Świderek i Felczyński nie mogli powiedzieć, iż odnieśli zwycięstwo w walce ze złem, a ich bezkompromisowa postawa zyskała uznanie całej społeczności gminy. Oto bowiem zamiast pochwał i uznania radni ci coraz częściej zaczęli spotykać się z wrogością, a nawet nienawiścią tych, w imieniu których przecież (jako radni) występowali. Naczelnikowi zaś włos nie spadł z głowy.

Wszystko to obudziło w trójce coraz bardziej osamotnionych członków GRN dalsze podejrzenia, sprawiając, iż jeszcze bardziej „okopali się na swych pozycjach". W liście do wojewody z 3 czerwca 1985 r. zwracali uwagę, że niektóre wyjaśnienia pokontrolne są niejasne, a co najgorsze „*wszystko wskazuje na to, że są tendencje wybielania naczelnika, który to obecnie po otrzymaniu absolutorium na sesji GRN Maków 1985.05.29. poczuł się na tyle pewny, że publicznie wystąpił przeciw radnym wnoszącym skargę słowami cytuję: „Nie czuję się winnym, a radni wnoszący skargę powinni iść pod sąd". W dalszym ciągu uważamy, że nasze działania są słuszne, a piastując obowiązki radnych mieliśmy obowiązek do naszego wystąpienia...*". Zaś w liście do gen. E. Drzazgi z 3 sierpnia 1985 r. pisali już wręcz, że: „*Wszystkie dziedziny działalności naczelnika ocenione zostały na dwa. Naszym zdaniem takie wyniki kontroli powinny pociągać za sobą jakieś konsekwencje. Konieczne są zmiany personalne i organizacyjne, uniemożliwiające taki bałagan w przyszłości. Tymczasem pod patronatem Urzędu Wojewódzkiego organizowane są raz po raz zebrania Prezydium GRN, na których toczą się jałowe dyskusje. Poplecznicy naczelnika, którzy umożliwiali i popierali jego działalność próbują obecnie go wybielić oraz przeciągać całą sprawę. Dalej wszystko toczy się po staremu. Nas traktuje się jak wichrzycieli i awanturników wzniecając niechęć i niezrozumienie naszego działania w społeczeństwie. (...) Czy w Polsce istnieje inne prawo wobec ludzi na stanowiskach i wobec przeciętnych obywateli? Ostatnio często czyta się w prasie o karach dla pracowników za choćby przetrzymywanie alkoholu w miejscu pracy. Gdy naczelnik przyznał się do wielokrotnego upicia w czasie pracy nie uczyniono praktycznie nic. W przypadku, gdy robotnik narazi zakład pracy na straty ponosi konsekwencje finansowe. Tu, mimo że zmarnowano setki tysięcy społecznych pieniędzy mówi się dalej o „odwadze" naczelnika. Na skutek jego decyzji rozpoczęto i prowadzono budowę niezgodnie z prawem budowlanym i nieprawidłowo pod względem technicznym. W konsekwencji tego konieczna będzie rozbiórka lub obniżenie budynku. Nieprawidłowo też była budowa rozliczana. Dlaczego nas traktuje się tak wrogo?...*".

C.D.N.

W tkalni

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Przed balem w przepiórkach

TERESA JERZYKOWSKA

Sukienka była raczej krótka — tak trochę za kolano, jak powinno być na wieczór. Uszyta prosto, z długim, wąskim rękawem, z czarnej, miękkiej i doskonale układającej się dzianiny. Na dole sukni w złotych trzcinach siedziały złote przepiórki. Jedyną jej ozdobą była trójkątna draperia pod szyją, także w deseń z przepiórek.

— *Z tej samej dzianiny będziemy szyć jeszcze jedną suknię — bez rękawów, prostą jak koszulka* — informowała Elżbieta Jabłońska, kierowniczka działu przygotowania produkcji w ozorkowskiej „Latonie". — *I będą jeszcze bluzki, całe w przepiórki, bo to z wypadów...*

„Wypady", jak się okazało, to po prostu resztki, małe kawałki pozostające po krojeniu, które szyjąc w domu przeważnie odkłada się pod hasłem *„mogą się jeszcze przydać"* (i zwykle przydają się na paszę dla moli), a z których nic już właściwie zrobić nie można. A jednak w „Latonie" robi się — na ogół bluzki, czasem kołnierzyki czy inne dodatki do sukienek.

Przepiórkowa kreacja — projekt Iwony Markert — na sylwestrowy bal w ambasadzie raczej się nie nadaje, ale na wszystkie inne karnawałowe okazje — zarówno lokalowe jak prywatkowe — będzie doskonała. Jej dodatkową zaletą jest niska cena, dostępna dla każdej kieszeni. Tą miłą cechą odznacza się zresztą większość szytych w „Latonie" sukni, spódnic, bluzek i garsonek.

Kiedy już omówiłyśmy wszystkie zalety „małej czarnej" i drugiej, równie ślicznej, wiśniowej z draperią na biodrach i kiedy z żalem stwierdziłam, że moje karnawałowe plany nie przewidują tym razem niestety, zakupu żadnej kreacji, Elżbieta Jabłońska wraz z Felicją Kociłło z wzorcowni zaczęły wyciągać z różnych zakamarków i rozwieszać na sztendrach rozmaite inne stroje, które już trafiły do sklepów lub też są przygotowywane na Wiosenne Targi w Poznaniu i — jeśli spodobają się handlowcom — będą szyte wiosną i latem.

Pojawiły się więc znakomite spódniczki z wełny w kratę z dużymi kieszeniami, skromne lecz pełne wdzięku letnie sukienki i garsonki, uszyte co prawda z dzianin, lecz nie przypominających już sztywnego „blaszanego" bistoru, pasiasta, luźna bluza z obszernym golfem, kombinezon o takiej konstrukcji, że dobrze w nim będą wyglądać zarówno panie szczupłe jak i grubaski i wiele innych rzeczy.

Udając, że tego właśnie wymaga moja praca, przeciągałam tak miłą babskiemu sercu wizytę we wzorcowni, gdy nadeszła Elżbieta Zduńczyk, jedna z zakładowych plastyczek (projektantka m. in. sukni z draperią i doskonałych spódniczek). Była zła, bowiem rano przed pracą weszła do „Centralu".

Z „Centralu" na ogół ludzie wychodzą zadowoleni, skąd więc powód do zdenerwowania?

— *Oglądałam nasze sukienki* — wyjaśniła. — *Są paskudne, żeby nam tylko ich nie zwrócili. Przecież to zupełnie co innego, niż był pierwotny wzór...*

— *To już lepiej wiedzieć wszystko od razu* — stwierdziła E. Jabłońska. — *Z fartucha zdjęli kieszenie...*

Dalej potoczyła się rozmowa bardzo częsta i typowa dla zakładów konfekcyjnych — efekt wiecznego antagonizmu między projektantami i wzorcownią a wydziałami produkcyjnymi.

Często bowiem zdarza się, że plastyk wybiera materiał, projektuje model, ozdabiając go skomplikowanymi cięciami, dodając metalowe kółeczka, kieszonki, klamerki i inne ozdóbki, po zatwierdzeniu wzór trafia do produkcji a potem...

Okazuje się, że zamiast dzianiny w paseczki dotarła do zakładu w różyczki, klamerek akurat zabrakło, a z karczka i pagonów trzeba zrezygnować, bo nazbyt pracochłonne.

Antagonizm taki nie prowadzi na ogół do większych konfliktów, a bywa, że wychodzi na dobre zakładowi i klientkom — z jednej strony bowiem zmusza projektantów do nieustannego czuwania nad produkcją, z drugiej — koryguje niekiedy i dopasowuje do rzeczywistości zbyt śmiałe, awangardowe wizje mody.

W tym przypadku przyczyną zdjęcia kieszeni — co nie pogorszyło nazbyt wyglądu prostej, fartuchowej sukienki — był po prostu koniec roku i napięte terminy realizacji ostatnich zamówień.

Co prawda zadania planowe — 893 tys. wyrobów na rynek — zostały wykonane już na początku grudnia 1985 r., ale pozostała jeszcze do zrealizowania część umowy zawartej z ministerstwem przemysłu lekkiego na dodatkowe dostawy, na ostatnie partie towaru czekali także odbiorcy zagraniczni.

W halach produkcyjnych panowała więc atmosfera pewnego pośpiechu i wspomniane kieszonki padły ofiarą zabiegów, zmierzających do przyśpieszenia tempa produkcji poprzez m. in. obniżenie tam, gdzie to możliwe pracochłonności.

BLASKI I CIENIE MINIONEGO ROKU

— *Zobowiązaliśmy się dostarczyć na rynek dodatkowo 80 tys. sztuk odzieży* — mówi dyrektor zakładu Stefan Celnik. — *Jej wartość, to około 152 mln zł. Od tego, czy ją wykonamy, zależy nie tylko dobra opinia zakładu, ale przede wszystkim ostateczne wyniki finansowe. Realizacja tego zadania jest możliwa, dzięki przepracowaniu — od czerwca do grudnia — siedmiu dodatkowych wolnych sobót.*

Na pytanie, jaki był rok, dyrektor Stefan Celnik odpowiada: — *na pewno trudny — ale i dobry...*

Do stałego odbiorcy tzw. eksportu przerobowego z Berlina Zachodniego dołączyli także kontrahenci z Danii, Holandii i RFN. Wzrósł również eksport wyrobów z surowców własnych, zaprojektowanych w zakładzie, przeznaczonych głównie na rynek radziecki.

Zakład — zarówno pod względem wyposażenia jak i kwalifikacji załogi — jest w pełni przygotowany do tego, aby sprostać wysokim wymaganiom odbiorców zagranicznych, od lat zresztą cieszy się dobrą renomą. Istnieje możliwość dalszego zwiększenia produkcji na obce rynki, ale — przy istniejących przepisach — byłoby to mocno nieopłacalne, dla zakładu i dla załogi — całe uzyskane w ten sposób efekty pochłonęłyby FAZ.

Zresztą i przy obecnej wielkości jest to bardzo poważne obciążenie — za trzy kwartały 1985 r. zapłaciła „Latona" aż 90 mln zł.

W tych warunkach umowa na dodatkową produkcję rynkową i związane z nią częściowe zwolnienie z FAZ okazały się dla zakładu bardzo korzystne, umożliwiły osiągnięcie dobrych wyników finansowych — w tym większego niż w 1984 r. zysku do podziału.

W przypadku „Latony" eksport jest działalnością opłacalną, jednak dopiero po uwzględnieniu dopłat. Nadal relacje są takie, że — mając na uwadze jedynie krótkoterminowe interesy — należałoby produkować wyłącznie na rynek krajowy który mimo pewnej poprawy zaopatrzenia jest nadal bardzo chłonny.

Za utrzymywaniem i rozwijaniem eksportu przemawia natomiast konieczność płacenia częściowo w dewizach krajowym producentom tkanin i dzianin, a przede wszystkim — konieczność wymiany parku maszynowego, na co potrzebne są odpisy dewizowe.

W 1985 R. FABRYKA NIE INWESTOWAŁA

w ogóle, w najbliższym jednak czasie trzeba będzie wymienić około 30 proc. parku maszynowego, zwłaszcza maszyn szyjących. Realizacja tego zamiaru przewidziana jest na 2—3 lata. Pozwoli ona jednocześnie rozszerzyć produkcję nakładczą — do chałupniczek trafią bowiem wycofane z zakładu zwartego i wyremontowane maszyny.

Rozwój produkcji nakładczej, to także jedno z osiągnięć minionego roku. Obecnie pracuje w systemie chałupniczym 60 kobiet — przeważnie pracownic „Latony" przebywających na urlopach wychowawczych. Chętnych byłoby więcej, ale właśnie brak maszyn na razie wstrzymuje dalszy rozwój nakładztwa.

Wysoka absencja chorobowa, urlopy macierzyńskie i wychowawcze, to jeden z poważniejszych problemów „Latony", typowy zresztą dla niemal wszystkich zakładów tej branży. Czasem trudno doprawdy zrozumieć, jak to się dzieje, że wszystkie dzieci pracownic zakładu chorują dokładnie 6 tygodni w roku, czyli akurat tyle, na ile matki mogą uzyskać płatne zwolnienie opiekuńcze. Przy obowiązującym w fabryce systemie pracy zespołowej absencja bardzo dezorganizuje produkcję. Istnieją, co prawda pewne bodźce, skłaniające do ograniczenia zwolnień — szwaczka (a właśnie w szwalni zjawisko to jest najbardziej dokuczliwe) nie otrzymuje pełnej premii, jeśli w ciągu miesiąca nie wypracuje tzw. bazy (określonej ilości produkcji). Jest to jednak bodziec bardzo słaby — dobra szwaczka, nawet opuszczając kilka dni w miesiącu, może ową bazę wypracować. Jego skuteczność osłabia jeszcze fakt, że dla niektórych robotnic praca w zakładzie nie jest jedynym źródłem utrzymania, a tylko mniej lub bardziej znaczącym dodatkiem do dochodów uzyskiwanych z gospodarstwa rolnego.

Na wprowadzenie silniejszego systemu motywacji nie zdecydowano się ze względów społecznych — kobiety i dzieci, jak wiadomo, mają swoje prawa, wśród nich również prawo do należytej opieki i do choroby.

ZMIANA SYSTEMU WYNAGRODZEŃ

to także jeden z pozytywów 1985 roku. Od marca dodatki stanowią nikły procent płacy, jej zasadniczą częścią jest natomiast wynagrodzenie za faktycznie wykonaną pracę. Początkowo załoga przyjęła tę zmianę z oporami, teraz jednak, gdy okazało się, że pracując rzetelnie można znacznie więcej zarobić, kobiety są zadowolone. Średnia miesięczna płaca za 10 miesięcy wzrosła — w porównaniu z tym samym okresem 1984 r. — o 20 proc., na koniec roku wskaźnik ten był jeszcze wyższy. Jest to już więc różnica spora i odczuwalna.

Ustabilizowanie fluktuacji — to także jedno z korzystnych zjawisk, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich 12 miesięcy. Stan załogi utrzymywał się na nie zmienionym poziomie. Do pełnego wykorzystania mocy brakuje, co prawda, 300 szwaczek — ale z tym trzeba się pogodzić, bowiem ich pozyskanie jest w najbliższych (a chyba i dalszych) latach niemożliwe. Nie udało się zachęcić do powrotu emerytów — byłych pracowników, nie wyszły również zespoły gospodarcze. Zasiliło produkcję natomiast 80 absolwentek szkoły przyzakładowej. Podobnego dopływu młodej, wykwalifikowanej kadry oczekiwać można również w 1986 r. — co zrównoważy ubytek załogi. Wzrost zatrudnienia będzie możliwy natomiast poprzez rozwijanie produkcji nakładczej.

Do pozytywów i osiągnięć zaliczyć można jeszcze utrzymywanie, mimo rozmaitych kłopotów, wysokiej wydajności, dobrą jakość wyrobów (94 proc. pierwszego gatunku na rynek i 100 proc. w produkcji eksportowej), zaspokojenie rosnących ciągle — wraz z coraz lepszym nasyceniem rynku — wymagań handlowców. A w dziedzinie socjalnej — uruchomienie ośrodka wczasowego w Mielnie, w którym w jednym turnusie może wypoczywać 28 osób.

KŁOPOTY ZAOPATRZENIOWE

— to jeden z najistotniejszych kłopotów w 1985 r. Fabryka nie korzysta z żadnych przywilejów, dlatego też niemal do wszystkim, aby nigdy już nie zdarzyła się sytuacja, że przepis działa wstecz. Nic nie wskazuje, aby życzenie to stało się w pełni realne — w połowie grudnia 1985 r. przepisy określające działalność w 1986 r. nie były jeszcze znane a przynajmniej nie w sposób oficjalny.

Zwiększenie preferencji dla eksportu — to drugie ważne życzenie. Rezygnacja z krótkowzrocznej polityki, preferującej w sposób zdecydowany produkcję na bliski równowagi, a nawet pewnego nadmiaru rynek krajowy — jest konieczna. Aby sprostać osnącym ciągle i dość szybko wymaganiom polskich handlowców w „Latonie" już obecnie myśli się o zmianach asortymentu na bardziej atrakcyjny, skróceniu serii. Rozważa się również możliwość uruchomienia produkcji koszul męskich — nie będzie to jednak możliwe jeszcze w 1986 roku, wymaga bowiem sporych inwestycji na zakup nowych maszyn, dostosowanych do takiej produkcji.

Jeszcze życzenia — a raczej marzenia — aby tkaniny i dzianiny były zawsze dobre, łatwo dostępne i w dużym wyborze i aby pozycja przemysłu konfekcyjnego, traktowanego dotychczas jak ubogi krewny w przemyśle lekkim, choć nieznacznie wzrosła.

Tyle refleksji dyrektora. Natomiast moje rozmówczynie życzyłyby sobie, oczywiście żartem, aby już wkrótce nadszedł taki czas, gdy do nas na pokazy wiodących kolekcji przyjeżdżać będą wielcy, paryscy krawcy. A poważnie — aby ładne, własne wzory nie musiały być z powodu różnych trudności zmieniane w czasie produkcji, aby udało się stworzyć zespół (może z najmłodszych pracownic, absolwentek szkoły?), które szyłyby odzież nieco inną: w króciutkich seriach, awangardową, supermodną, mniej zbliżoną do tego, co szyje się normalnie.

W tym miejscu naszej rozmowy na wieszakach pojawiły się garsonki, żakiety i bluzy, przygotowane dla zachodnioberlińskiego odbiorcy. W spokojnych, niemal burych kolorach, do których idealnie dopasowano podszewki, guziki i inne detale. Ich cechą wspólną, występującą zarówno w wełnianych żakietach, jak i w cienkich, bawełnianych bluzkach były gigantyczne, wypchane piankowymi poduchami, ramiona. Taka jest właśnie najbliższa przyszłość mody. Od dołu wyglądać mamy jak wiotka trzcina, a od góry jak najbardziej okazały członek drużyny rugby.

Gdy już zakończymy serię karnawałowych balów i przyjęć postarajmy się więc o wielkie poduszki — w czym, miejmy nadzieję, pomogą nam nie butiki, lecz i duże zakłady konfekcyjne, wśród nich i „Latona".

nieosiągalna jest bawełna (przeznaczona przede wszystkim na realizację rządowych programów). Wełnę dostać łatwiej, ale często bywa ona w mało atrakcyjnych wzorach, a na dodatek wysokie ceny tkanin wełnianych zmuszają do podniesienia cen na wyroby własne, co przy produkcji przeznaczonej dla masowego odbiorcy jest raczej niewskazane.

Kłopoty bywały również z dzianinami — te, choć łatwiej dostępne, nie zawsze są dobrej jakości, często zdarza się, że już w trakcie realizacji umowy następuje zmiana asortymentu dostaw. Utrudnia to rozwinięcie eksportu z surowców własnych — takich podmian, z którymi na razie jeszcze godzą się odbiorcy krajowi nie zaakceptowałby żaden zagraniczny kontrahent. Powoduje to również dodatkowe perturbacje w produkcji — wykonanie z niezbyt dobrego surowca sukni w pierwszym gatunku jest bowiem — choć nie zawsze — możliwe, wiąże się jednak z dużymi utrudnieniami w czasie krojenia, zwiększa pracochłonność i wielkość odpadów.

Fabryki tkanin i dzianin mają swoje obiektywne powody. Nie ze złośliwości przecież zmieniają asortyment dostaw czy opóźniają ich terminy. Ale ten odbiorca, który za bardzo narzeka, może się pewnego dnia znaleźć w sytuacji bardzo przykrej, grożącej postojem zakładu z powodu braku surowców.

Sprawy te, znane od dawna, choć uciążliwe, przestały już nawet irytować. Ciągle natomiast irytujące są inne, niejako odgórne, czynniki, w sposób zdecydowany dezorganizujące funkcjonowanie zakładu. Są nimi przepisy — a właściwie ich ciągła zmienność i nieznajomość w odpowiednim terminie. Jeszcze pod koniec pierwszego kwartału 1985 r. nie było dokładnie wiadomo, pod jakim kątem ukierunkować działalność, jak ją realizować, aby było to najkorzystniejsze dla zakładu, jego załogi i odbiorców, jak ustalić proporcje między rynkiem krajowym i eksportem itp. Ba, nawet w ostatnim miesiącu 1985 roku nie wszystko było na tyle jasne, aby precyzyjnie ocenić wyniki finansowe. Rzeczowe oczywiście były znane dokładnie.

DO NAS WIELCY Z PARYŻA

Życzenia na nowy rok wiążą się ze wszystkimi negatywnymi zjawiskami, jakie miały miejsce w 1985 r.

Stabilność przepisów, to pierwsze i najważniejsze życzenie, którego spełnienie pozwoliłoby na opracowanie nie tylko bieżącego planu, ale i bardziej długofalowego programu. No i aby były one znane już z początkiem roku. A prze-

Foto: Grzegorz Gałasiński

Tadeusz Chróścielewski

Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi

Wawrzyńcowi

Tu przy katedrze znicz się pali
Tym, co zginęli bezimiennie,
O których pieśni nie składali
I nie odtwarzał Kossak w pięknie.

Tu przy katedrze płomień gorze
Ze wszystkich najniepamiętniejszym
I których bezkres tylko wiąże
I nadementarny mur stuleci.

Powiesz: Nie z soli ani z roli,
Z cudu nad rzeką i ze stosu...
Nie, żadne w pojedynkę pole
Nie zamknie ich bezkresu losu.

Ze wszystkich pól bitewnych świata...
Ba, nawet z Wołoch i Piławiec!
Zastygli w kłębie dymu, w kwiatach
Leżą w swej tajemniczej sławie.

Leżą nakryci płytą godzin.
Przed nimi wiatr i tłum przyklęka...
A gdy procesja, krwią zachodzi
I oko w szkle — Melchizedeka.

1985

Pomniczek Tuwima

Żonie

„Boże Święty, nie rób ze mnie posągu!" —
wołał w transie Poeta, lecz my — niebożęta,
zwykli użytkownicy izb Kominogrodu...
a poza tym... kto by tam wszystko pamiętał!

Przy Pałacu Młodzieży „śmieszny, chudy chłopak" —
wielki polski poeta, siwy niby Pryjam
stoi w glazie i liście liczy, bo listopad,
patrzy, czy Łódka jasność Skamandra odbija.

Chce znać wszystko, wciąż ciekaw: Jakiej barwy „szóstka"?
(tramwaj), czy bukiet polski nadal stromo wiążesz?
Czy ojczyzna-polszczyzna żywa w twoich ustach?
Czy ojczyzna-polszczyzna nie spadła z twych książek?

Liści opad, chce dojrzeć, czy nadal w niedzielę
łódzki chłopak bryluje w Walcu Brylantowym?
Co u młodych poetów: Grzesio Timofiejew?
Piechal? Braun? mistrz Świstopełk? Młodziutki Kasprowicz?

Czy swoje narzeczone poszukują w borze,
Lecz wszak nie czas poślubiać im pannę dębową?
„Nie rób ze mnie posągu!"... lub zrób posąg, Boże,
młodym, co na swój Posąg czekają i Słowo!

Nic z kamienia nie widać, a czas balladowy.
Cóż że nie zna Pikador i trojańska rzeka
ballad! Wynajmie z nieba powóz Eljaszowy
bądź skoczy na swą szkapę, co wiernie nań czeka.

Furda „Grandka", ważniejsze, że czeka ballada!
Gdy noc zrówna gromadę i maga, i glistę,
Swego konia na dachu lecznicy dosiada,
gna nad miastem i słucha, czy znajdzie Ojczyznę-polszczyznę

1985

Bałuty

Niesnobom

Sztachety roześmiane w cztery strony świata,
Drewniakowe okienka na przestrzał nad brukiem.
Parapet w mchach z bibułką i w wielmożnych kwiatach
Pelargonii i groszku, co w nazwie miał cukier.

Przechylona wpół okna staruszka, staruszek —
Świadkowie — a nuż zdarzy się właśnie — historii...
A historia stanęła, wargę barwi musem
Piwa, raczej ciekawa pączka pelargonii.

W zmierzch bałucki Gerwazy z bałuckim Protazym
Zakąszają swe piwko w knajpce u Furmańskich
Historia choinkami w Wigilię się jarzy,
Czasem — trumną, weselem lub Aniołem Pańskim.

Historia moc ma czasu. Podobnie jak zegar
Nie miota wskazówkami, choć w werku coś bzyczy...
Blok za blokiem na pasy startowe już wbiega.
Świadek świadka nie znajdzie w puszczach wielkiej płyty.

A jak znajdzie, nie powie, bo to nowy świadek.
To ja widzę drewniaki, okienka nad brukiem.
Pomarszczonych uśmiechów i kwiatów rozsadę
I duchów pelargonii napowietrzny bukiet.

1985

(Z nowych wierszy o Łodzi)

Krytyk jako twórca

Do Stanisława Brzozowskiego wracamy. Ów młodo zmarły myśliciel (1878—1911) przykuwa uwagę naszych współczesnych rozmaicie: jako pisarz i jako krytyk, jako autor pamiętnika, jako intelektualny inspirator i jako centralna postać głośnej „sprawy Brzozowskiego", wreszcie jako bohater powieści („Zwierzęta zostały opłacone" Władysława Terleckiego).

W serii „Dzieł" Stanisława Brzozowskiego pojawił się właśnie tom „Współczesna powieść i krytyka" grupujący pod wspólną okładką dwie książki, które ukazały się jeszcze za życia Brzozowskiego. „Współczesną powieść polską" (1906) i „Współczesną krytykę literacką w Polsce" (1907) oraz wydaną przez Karola Irzykowskiego w roku 1912 książkę Brzozowskiego „Stanisław Wyspiański", a także cykl artykułów powiązanych tematycznie z powieścią i krytyką polską.

Instruktywny wstęp Tomasza Burka, przypominając liczne kontrowersje, legendy, podejrzenia i oskarżenia, narosłe wokół osoby i działalności Stanisława Brzozowskiego przez ponad siedem dziesiątków lat, rozprawia się przede wszystkim z zadziwiająco żywotnym poglądem, w myśl którego autor „Legendy Młodej Polski" krytykiem literackim „we właściwym tego słowa sensie zasadniczo nigdy nie był", ponieważ jakoby zabrakło mu niezbędnej wrażliwości artystycznej i estetycznej i w ślad za tym lekceważył problematykę pisarskiego warsztatu, mierząc literaturę kryteriami pozaliterackimi — filozoficznymi, socjologicznymi, utylitarnymi czy wręcz dydaktycznymi. Taki negatywny stereotyp utrwaliło wielu komentatorów dzieła Stanisława Brzozowskiego, zwłaszcza rówieśnych, ubolewających nad tym, iż „Mochnacki naszych czasów" rozprawiał się w pierwszym rzędzie ze stanem umysłów polskich, a nie badał artyzmu i autonomii literatury pięknej.

Opinia o niewrażliwości estetycznej Stanisława Brzozowskiego jako krytyka literackiego upowszechniła się szybko, jako że w Polsce zwykle istniało większe zapotrzebowanie na autorytety moralne (choćby jednocześnie zajadle kwestionowane), na Katonów, Savonaroldów i Torquemadów literatury, niźli na subtelne rozpoznawanie i przeżywanie tego wszystkiego, co w literaturze jest sztuką. Ideolog i agitator, społecznik i pamflecista, reformator i trybun ludu, nowatorski wizjoner i literacki „terrorysta" — można by ułożyć długą listę podobnych określeń pisarskiej działalności Stanisława Brzozowskiego. A przecież pojmował ją jako t w ó r c z o ś ć. W opublikowanym pośmiertnie „Pamiętniku" — tym namiętnym i chaotycznym zapisie nie zrealizowanych pomysłów, pełnym także gorzkich uwag o umysłowości własnej i innych — zanotował: „Krytyk też jest twórcą. Głęboko stwarza swój świat — ale u nas za dużo jest k r y t y k i. Wiem, że mam mnóstwo braków — ale przecież nie może być moim złudzeniem, że jako pisarz-myśliciel nigdy nie jestem zasadniczo w złej wierze. To nie może nie być wyczuwane. Gdybym mógł rok czasu przeżyć, mając wszystkie książki, jakich bym pragnął i spokój, nie napisałbym może dużo, ale napisałbym jakieś kilkadziesiąt stronic, które dałyby moją miarę". Miarą taką stawała się w poglądach Stanisława Brzozowskiego twórczość jako istota człowieczeństwa, jako swoista gwarancja tego, co „ludzkie" w zderzeniu z żywiołem „pozaludzkim". Poprzez twórczość człowieka niejako na nowo stwarzał się, nabierał znaczenia, zyskiwał pełny wymiar. Postawa Stanisława Brzozowskiego posiada więc charakter antropocentryczny: miarą wszechrzeczy okazuje się człowiek i jego dzieło. Twórca daje wzór życia.

A krytyk jako twórca? Ocala, osądza i utrwala zasługujący na to wzór życia wyrażony w utworze artystycznym. Sytuuje konkretne dzieło w całokształcie kultury, przeciwstawiając mu wartości jeszcze nie zrealizowane. Jakkolwiek Brzozowski zmieniał swój program krytyczny w niejednym szczególe, to przecież jego wyobrażenie o idealnym krytyku w zasadzie nie ulegało zmianie — pozostała wizja krytyka jako człowieka poszukującego w literaturze „nieogarnionej obecności życia".

Nie zawsze jednak Stanisław Brzozowski pozostawał wierny własnemu kodeksowi krytycznemu. Łatwo i chętnie ulegał on różnym inspiracjom metodologicznym. Zbyt wiele i zbyt szybko chciał osiągnąć w zakresie przewartościowania i reorientacji umysłowości polskiej, aby dzieło jego stanowiło spójną całość. Przybierał więc wcielenia, które do dziś rekonstruują i interpretują badacze jego życia i myśli. Niełatwo je zresztą precyzyjnie wyodrębnić — zazwyczaj przenikają się wielorako i wielokrotnie... W tym zresztą tkwi jego siła i urok.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Stanisław Brzozowski: „Współczesna powieść i krytyka". Wydawnictwo Literackie. Kraków — Wrocław 1984, s. 591, nakład 5.000 + 350 egz., cena zł 420.

Wiersze o przemijaniu

Wiersze Jana Czarnego zebrane w tomie „Korekta śniegu" są wyborem dokonanym przez poetę na krótko przed śmiercią i stanowią pewnego rodzaju przekrój ćwierćwiecza jego twórczości. Pozwala to zaobserwować nie tylko niezmienną postawę filozoficzną Czarnego, ale i jej obrzeża, które ulegały ciągłym korektom. Punktem centralnym tego dojrzałego wysiłku twórczego jest człowiek, a głównym jego wyznacznikiem — przemijanie. Jest ono źródłem dwóch motywów przewijających się nieustannie poprzez większość jego utworów: są nimi czas i śmierć. Pierwszy jawi się jako potęga, która niszczy wszystko i jednocześnie okrywa tajemnicą przeszłość. Poeta wyczuwa to zjawisko wszystkimi zmysłami. Jego bohater liryczny nie wie w gruncie rzeczy, dokąd zmierza i przeważnie nie umie ująć w jasne i wytłumaczalne kategorie tego, co się wokół dzieje. Buduje więc światy nierealne: „Fantazja jest trampoliną do wszystkich nie istniejących światów". Z dystansem jednak podchodzi do złudzeń i mirażu, które ona niesie ze sobą. Wie, że marzenia są nieziszczalne — to ich istota, a zmysły mamią: „każda rzecz coś udaje żadna nie jest sobą". Wszystko wibruje, ulega metamorfozie wprost na oczach obserwatora, który również się zmienia. „Sycą sekundy padają dni /pojedynkują się tygodnie — nieubłagany rytm pożera jednostkę ludzką: „wystarczy przeskoczyć trzydzieści lat/ i już dzieciństwo zmienia się w starość". Jedynie sztuka uwiecznia czas. Dzięki niej gesty uśmiechy przetrwały „jak pszenica sprzed tysiąca lat" mimo że po człowieku nie ma już nawet „ziarnka popiołu". Jest sztuka, według poety, nieśmiertelna inaczej niż natura która się zmienia, gnije, rozkłada.

Z upływem lat zaduma Jana Czarnego nad tragedią człowieczej wędrówki pogłębia się. „Śmierć i praca nieustannie są z nami", a „żywe ożywia śmierć". Nieomal w każdym wierszu „Korekty śniegu" poprzez aluzje, dyskretną metaforykę lub wprost, dotyka spraw, które oznaczają kres wszelkich ludzkich poczynań. Ślady owego końca to nieobecność niedawno obecnych. Towarzyszy mu „nieutulony żal" — zjawisko opisane i przeżyte miliardy razy na tej ziemi. Z biegiem czasu potęguje się pragnienie przeniknięcia nieznanego. Dwa światy — żywych i zmarłych, które nieustannie ocierają się o siebie wołają o rozszyfrowanie istoty bytu i niebytu. Niekiedy „słyszy brzęk ziemi o łopatę stuk grudek gliny w dno pudełka", a w „sekach podłogi" widzi „zmarłych oczy". Nie może wyzwolić się z obsesji śmierci, która wlecze się za nim jak cień, przybierając coraz to inny kształt. Być może jest to również konsekwencja pojawiającego się od czasu do czasu motywu pieców krematoryjnych i „płonących krajobrazów" II wojny światowej. Autor „Korekty śniegu" jest wstrzemięźliwy, snując wspomnienia na ten temat, bo wie, że najwznioślejsze słowa skierowane do pomordowanych, to tylko blaszane wieńce na mogile.

Myśląc nieustannie o końcu, rozważa jednocześnie tragizm ludzkości, która się na ów koniec nie zgadza, choć wie, że codzienny byt to powolne umieranie. Jego człowiek błąka się prawie że po omacku.

Mówi prosto, jasno, nie ukrywa się pod maską słów; nie bije słowem, nie bluźni, nie złorzeczy. Zdaje sobie sprawę, że zadaje pytania odwieczne, zadawane przez „wszystkie religie wszystkie filozofie": „Jaki jest sens, jaki związek początku z końcem". Z pewną pokorą, narastającą w toku rozmyślań, dochodzi do wniosku, iż pewne zjawiska pozostaną zagadką do końca. Nikt nie jest w stanie rozszyfrować biegu życia który jest formułowany przez doraźną okoliczność, trudny do rozwikłania los. Wie, że nie odsłoni tajemnicy nie objawi prawdy", że mowa jego „niczego nie powie". Nie wstydzi się przyznać, że nie rozumie zaklętego kręgu wydarzeń, z którego nie ma wyjścia. Śmierci się nie boi. Wierzy, że powróci zaklęty w sztukę, w przyrodę, śnieg lub cień. Poszukiwania Boga również nie dały rezultatu. Jeżeli jest, ukrył się „nie wiadomo gdzie" przed człowiekiem, który jest najwyższą wartością świata.

Jako humanista boleje, iż cywilizacja niszczy wszystko, co jest na zewnątrz niego i w nim, że właśnie ta najwyższa wartość „strzela do ptaka lecz zamiast niego traci siebie", swoją wielkość. „królowanie nad innymi stworzeniami". Rodzaj ludzki skazuje sam siebie na zagładę i „płacze z litości nad sobą", że „spalił las wprowadził za to piękne trumny". I to jest następna tragedia człowieczego życia. A poeci? ... poeci przykładają ucho do ołowianych skrzydeł i łowią drżenie ptasiego serca" Językiem liryki wyraził zalecenie Antoniego Kępińskiego: „...przynajmniej świadomie nie czynić tego, o czym wiadomo, że jest z prawem natury niezgodne", a co doprowadza ludzkość do globalnego kryzysu.

O tych fundamentalnych problemach mówi spokojnie, z opanowaniem, przyjmuje postawę mędrca, który rejestruje i wyciąga wnioski, nie dziwiąc się niczemu. Wprowadza w związku z tym wers długi, frazę pełną, dużą. Skrótowość i symbolika nie rażą, są naturalne, a podtekst czytelny nie tylko dla wtajemniczonych, zmusza do przemyślenia intelektualnych wartości wierszy. Wszystko to podnosi rangę poezji Jana Czarnego; zyskuje ona na powadze i dostojeństwie. Ten tomik chętnie się bierze po raz drugi do ręki — reprezentuje sobą pełną harmonię formy i treści.

Myślę, że warto byłoby zatroszczyć się o ocenę całokształtu twórczości Jana Czarnego.

ZOFIA KOZŁOWSKA

Jan Czarny. Korekta śniegu, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984, s. 125. Biblioteka Poetycka.

Z półki recenzenta

KSIĄŻKA ORWELLA

Twórczość George Orwella ma u nas wielu zwolenników, toteż ucieszy ich pojawienie się jego kolejnej powieści pt. „Wiwat aspidistra", napisanej w 1936 r. Jest to historia poety, choć nie on jest tu bohaterem, ale społeczeństwo Anglii ukazane w zwierciadle satyry i ironii. Przedstawione zostało także miejsce jednostki w tymże — jakże niezwykłym — zbiorowisku ludzkim. Książka została napisana z owym specyficznym humorem tak charakterystycznym dla Anglików, choć po jej lekturze nachodzą czytającego wcale niewesołe refleksje.

Przełożyła Jadwiga Piątkowska.

George Orwell: Wiwat aspidistra. WL 1985. Str. 278. Cena 350 zł.

MINIPOWIEŚĆ MARQUEZA

Jeden z najznakomitszych pisarzy współczesnych Gabriel Garcia Marquez jest cenionym autorem na naszym rynku czytelniczym, a jego minipowieść pt. „Nie ma kto pisać do pułkownika", której drugie wydanie właśnie pojawiło się w księgarniach, zapewne usatysfakcjonuje miłośników talentu tego znakomitego Kolumbijczyka. O czym traktuje ta opowieść? Oczywiście — jak to u Marqueza — o samotności, o dramacie człowieka pozostawionego samemu sobie. Gorąco polecam.

Przekład Beaty Babad-Gellusseau.

Gabriel Garcia Marquez: Nie ma kto pisać do pułkownika. WL 1985. Str. 66. Cena 80 zł.

MIT MARII CHAPDELAINE

Proponuję naszym Czytelnikom książkę Janusza Odrowąża-Pieniążka pt. „Mit Marii Chapdelaine". Ci, którzy znają twórczość tego autora, wiedzą, w jakim stopniu i z jaką przewrotnością potrafi on przedstawić rzeczywistość, dokonać niezwykłego zestawienia ze sobą — jakże często pospolitych — faktów, by w efekcie osiągnąć celną satyrę, choć ubraną w akademicką powagę. Polecana przeze mnie książka, której akcja rozgrywa się w Kanadzie, jest kroniką dotyczącą „pogoni" za legendarną Marią Chapdelaine.

Janusz Odrowąż-Pieniążek: Mit Marii Chapdelaine. Iskry 1985. Str. 108. Cena 70.

ŚLADAMI GRUNWALDU

Akcja tej książki rozgrywa się w ósmym roku wojny trzynastoletniej, a kończy pokojem toruńskim. A więc obejmuje dość krótki wycinek naszej historii, zaledwie pięcioletni (1461—1466). Jej treścią są pełne niezwykłych zdarzeń losy polskich chłopów, którzy podjęli walkę z zakonem krzyżackim. A więc jest to barwna opowieść o zmaganiach, bitwach, zasadzkach i o tym wszystkim, co niesie ze sobą wojna i jej bezwzględne, okrutne prawa. Książka kończy się futurystycznym stwierdzeniem, że nie stan rycerski czy kupiecki są najlepsze, ale właśnie chłopski jest „najprzedniejszym stanem".

Władysław Strumski: Śladami Grunwaldu. Wyd. Lubelskie 1985. Str. 260. Cena 160 zł.

BITWA POD CECORĄ

Książka nosi tytuł „Cecora", zaś w podtytule napisano, iż jest to „Powieść historyczna z pierwszej połowy XVII wieku". Gwoli ścisłości należy także podać, że powieść ta była drukowana po raz pierwszy w „Tygodniku Mód i Powieści" w 1901 r. Prezentowane dziś wydanie jest więc drugie z kolei. Nie ma potrzeby mówić o czym jest ta książka, bowiem Cecora nad Prutem stała się miejscem klęski polskiego wojska w bitwie z turecko-tatarskimi siłami i tu zginął bohatersko Stanisław Żółkiewski, kanclerz wielki koronny.

Kazimierz Gliński: Cecora. LSW 1985. Str. 272. Cena 200 zł.

E. IW.

GRZEGORZ GAZDA

Zmierzch stulecia kina

Wiekiem filmu nazwał obecne stulecie Arnold Hauser, wybitny socjolog i historyk sztuki. Bo też rzeczywiście kino w kilka lat od czasu swojego powstania owładnęło wyobraźnią artystów, przerodziło się w istne imperium kulturowe, przyciągnęło miliony odbiorców. Żadna ze sztuk nie przeżyła tak nagłego i imponującego rozwoju; od zabawnej ciekawostki technicznej do dzieł Griffitha, Eisensteina i Wellesa, od jarmarcznej budy do uniwersyteckich katedr filmoznawstwa. Żadna ze sztuk również nie zrobiła tyle, co film dla demokratyzacji uczestnictwa w kulturze. Narodziło się kino jako sztuka popularna i taką pozostało do dnia dzisiejszego. Było także ważnym czynnikiem światowej osmozy kultury. Jego „język" był i pozostał międzynarodowy. Stało się kino najszybszą i wszędobylską lokomotywą kultury prawdziwie masowej. Tworzyło mody i nowe obyczaje. Uczyło i rewolucjonizowało rzeczywistość. Służyło nauce i pomagało w rozumieniu świata. Bezsprzecznie było „najważniejszą ze sztuk" (Lenin).

Ta apologia w czasie przeszłym robi wrażenie przemówienia nad grobem. Może za wcześnie wyprowadzam ów kondukt z X Muzą w blaszanym pudełku na cmentarz. I to w czasie, kiedy obchodzi się liczne jubileusze, które mają poświadczać ciągłą żywotność staruszki: 90-lecie kina (w grudniu 1895 r. bracia Lumiere po raz pierwszy zaprezentowali swój wynalazek), 40-lecie kinematografii w PRL itd. Takich rocznic, gdybyśmy wnikliwiej popatrzyli w kalendarze XX wieku, znalazłoby się więcej. Wbrew zwykłemu w takich razach optymizmowi, coraz częściej towarzyszy tym jubileuszom ton zatroskania i obaw o przyszłość. Przeświadczenie, że coś oto się kończy. Odpływa bowiem z sal kinowych publiczność, kurczy się obszar filmowego imperium, a jego władcy rozglądają się nerwowo naokoło: co jeszcze by tu zrobić, aby utrzymać dawną wielkość i świetność. Zakończył się był w kinie okres kolejnych innowacji technicznych, które podpierały i stymulowały jego rozwój: dźwięk, kolor, szeroki ekran, stereofonia. Nie zdołano upowszechnić techniki obrazu niby-trójwymiarowego, a prace nad filmem holograficznym nie zezwalają na wiarę w radykalny przewrót.

Sytuacja polskiej kinematografii nie jest lepsza ani nawet taka sama, ale znacznie gorsza w porównaniu z wieloma krajami na Zachodzie i na Wschodzie. Nasza X Muza zawsze była zapóźniona w zakresie zaplecza technicznego. A przecież nie muszę nikogo przekonywać, że technika dla kina była i jest jego nieodłącznym wspornikiem. Rzecz nie tylko w jakości sprzętu produkcyjnego (tu mimo wszystko nasi realizatorzy jakoś dawali sobie radę), ale także w jakości odbioru filmu. Nie zdążyliśmy z niezbędną rozbudową sieci kin, a i te, które powstawały, projektowano z myślą o aktualnych potrzebach, nie biorąc pod uwagę tego, co w zakresie techniki może się jeszcze w przyszłości pojawić. Wszystkie większe aglomeracje miejskie obrosły dzielnicami z dziesiątkami tysięcy mieszkańców, którzy do kina muszą się wyprawiać jak Amundsen na Biegun Południowy.

Kina, którymi dysponujemy, to po części budynki przedwojenne po remontach adaptacyjnych oraz gmachy zbudowane po wojnie (te drugie może nawet przeważają) dalekie od koniecznego już dzisiaj komfortu technicznego, ze skrzypiącymi fotelami, ciemnymi i ciasnymi poczekalniami, z byle jaką projekcją i zgrzytliwym dźwiękiem.

W tym co napisałem, nie chcę wyjść na biadolącego czarnowidza. Jest tu nawet ukryty optymizm. Otóż jeszcze kilka lat i u nas będzie się zamykać kina, zamieniać je na magazyny albo po prostu rozbierać, aby dać miejsce skwerom lub budynkom bardziej użytecznym. Tak zaczyna się dziać w krajach, gdzie przemysł kinematograficzny stoi o całe niebo wyżej niż u nas. My, ze względu na obecny stan posiadania, nie będziemy mieli czego żałować ani trapić się stratami.

Kino światowe jeszcze się broni olbrzymimi nakładami na reklamę, superprodukcjami, które ciągną i reanimują film artystyczny i z ambicjami. Ekonomia, żelazne prawa opłacalności i zysku działają w kapitalizmie z bezlitosną konsekwencją. Milczy więc np. Antonioni, tak jak z rzadka dochodzą do głosu wielcy mistrzowie filmu światowego. Choć działa jeszcze magia kina, to jednak coraz częściej trzeba ją podtrzymywać zabiegami reanimacyjnymi wielkich festiwali (nie takich znów już wielkich!), sztucznym oddychaniem w prasie bulwarowej. Aby zainteresować publiczność najnowszym filmem Kurosawy, robi się gigantyczne show na placu przed paryskim Centre Georges Pompidou, a transmisję z uroczystości wręczania dorocznych Oscarów transmituje na cały świat. Przecież nie chodzi w tych działaniach o upowszechnianie Sztuki, choć i te szlachetne intencje ma się na uwadze. Rzecz w tym, aby zafrapować, podekscytować, stworzyć sensację i ściągnąć widza do kin.

Kinematografia światowa, a więc cały przemysł produkcyjny i dystrybucyjny (przynajmniej krajów kapitalistycznych), szukały pieniędzy z niezłym zresztą skutkiem, stawiając na film pornograficzny (małe obsady, jeden rekwizyt, scenariusz bezpłatny, bo wykreowany przez fizjologię). Jako przykład niech posłuży rozwój kin w Paryżu, wyświetlających filmy ze znaczkiem „x", którym opatruje się obrazy jawnie pornograficzne. Ten boom trwał jednak krótko. Kino — nazwijmy je — normalne, samo przełamało różne obyczajowe tabu, przekroczyło granice tego, co dotąd uchodziło za obyczajne i odebrało po części swoją widownię.

Film światowy zabiega o publiczność efektownymi superprodukcjami nie dbając w zasadzie już o nic. Oprócz — co oczywiste — maestrii warsztatu, tricków technicznych i pomysłów fabularnych. Przykłady Spielberga i Lukasa nie są tu jedyne. Tak więc obrazy o szokujących katastrofach, gwiezdne baśnie oraz nieprawdopodobne ucieczki i pogonie zawojowały (na jak długo?) nie tylko młodych i najmłodszych. To już chyba ostatnie kolejki pod kinami i ostatnie pieniądze wyciągane z kieszeni widza spragnionego rozrywki, łatwej ekscytacji i tanich sensacji. Kino rozpoczynając swój żywot w jarmarcznej budzie w niej go kończy.

Nas, czyli kinematografię polską te „wspaniałości" żywiły tylko w małym stopniu. Na miarę naszych możliwości ekonomicznych i konwencji obyczajowych, nie wspominając już barier ideologicznych. Mieliśmy swoich „Krzyżaków" i „Potopy" jak mamy „Akademię Pana Kleksa". Także „Vabanki" i „Seksmisje" (połączenie gwiezdnej baśni i erotyki) oraz mniejsze lub większe — by tak nazwać — sensacje aktualne związane z burzliwymi wydarzeniami ostatnich lat. Miliony widzów, które je obejrzały sprawiły, że oto uwierzono w dochodowość i samowystarczalność finansową polskiego kina a „reformatorzy" odrzucali mecenat państwa (nie wdaję się tu w różne implikacje polityczne tych działań). Orzeźwienie przyszło niespodziewanie nagle. Znów trzeba widza szukać, a krytyk swoją recenzję zaczyna od cyfr. Nie pomaga reklama, raczej rutynowa i mało pomysłowa jakby bez wiary w efektywne skutki.

Nie stać nas również na superprodukcje. I tak np. Jerzy Kawalerowicz wiedząc o oczekiwaniach dzisiejszego widza („wielkie widowisko z mądrym przesłaniem") wciąż poszukuje sponsorów, aby zrealizować film o ostatnich latach Napoleona. Nie może go zrobić na Chełmskiej czy na Łąkowej. A kogo zainteresuje wyspa Świętej Heleny zbudowana w Zatoce Puckiej? Przecież i sam Polański, gruba ryba wśród finansowych rekinów, czekał wiele lat na pieniądze, aby zrealizować „Piratów". Dziś film kameralny, psychologiczny, skupiony na codziennej egzystencji, albo tzw. film awangardowy nie ma czego szukać w kinach obliczonych na masowego widza. U nas rzecz nawet nie w pieniądzach, bo mecenat socjalistycznego państwa wciąż stać i wciąż będzie stać na finansowanie kina artystycznego. Rzecz w społecznych efektach. Kłóci się ze zdrowym rozsądkiem wyświetlanie filmu dla kilkudziesięciu osób.

Zmierzch kina przyspieszyła telewizja a ostatnie ciosy zada mu technika video. Myślano już o takich skutkach w momencie narodzin tv. Kino jednak przez kilka dziesięcioleci konkurencję małego ekranu przetrzymywało całkiem nieźle. Wydawało się więc, że oba te środki przekazu będą bezkolizyjnie koegzystować. Dzisiejsza ekspansja telewizji te nadzieje jednoznacznie przekreśliła.

Powszechna dostępność odbiornika telewizyjnego, wciąż ulepszane parametry odbioru, kolor, dźwięk stereo, duże ekrany, telewizja kablowa, światowe systemy przekazu a przede wszystkim ogromna rozmaitość treści i możliwość w miarę swobodnego ich wyboru decydują o całkowitym zwycięstwie tv. Zwycięstwo to — jakby paradoksalnie — jeszcze przez jakiś czas będzie dla kina korzystne. Filmy, zarówno te wyświetlane z sukcesem w kinach, jak i te, które poniosły porażkę znajdują miejsce na małym ekranie (potrzeby programowe tv są niezmierzalne!). Wprawdzie rzadko zrekompensuje to koszty produkcyjne, ale liczyć także trzeba skutek społeczny: film dotrze do wielomilionowej widowni. Tak więc w tym okresie widocznego zmierzchu kina, telewizja staje się dlań ostatnią deską ratunku. Jeden przykład: film radziecki „Dworzec dla dwojga" nie przyciągnął do kin wielu widzów — pokazany w tv w sobotni wieczór odniósł zasłużony sukces.

Są idealiści, którzy twierdzą, że nic nie zastąpi właściwości natury psychologicznej odbioru filmu w świątynnych ciemnościach sali kinowej. Odbiór z telewizora — mówią — ma charakter relaksowy niesprzyjający skupieniu i emocjonalnemu przeżyciu dzieła filmowego. Owszem tak. Toteż nie twierdzę, że kino zniknie z powierzchni ziemi. Powstaną muzea (właśnie tworzy się jedno w Łodzi), sieć elitarnych klubów dla hobbistów, filmotek dla historyków, które będzie się odwiedzać tak jak dziś chadza się do muzeum sztuki lub muzeum etnograficznego.

Polska telewizja skończyła właśnie 25 lat. I choć do pełnej dojrzałości i technicznych wspaniałości sióstr z Zachodu wiele jej brak (mimo wszystko, to tylko kwestia czasu) już w tej chwili repertuar filmowy w tv jest ciekawszy od tego, co proponują kina. Wątpię czy pojechałbym do podrzędnego „przybytku X Muzy" w drugim końcu miasta, i to kilka razy, aby obejrzeć cykl filmów Herzoga, które oto TVP mi zaproponowała z dostawą do domu. Bez obrazu na taśmie filmowej jeszcze tv nie potrafi się obejść. Ale to też kwestia czasu. Zapis elektroniczny zaczyna być techniką powszechnie obowiązującą. Także nasza TVP nie bez dumy znonsuje samodzielność i niezależność od kina wyświetlając „Mrzonkę" Janusza Majewskiego, film w pełni telewizyjny, oraz serial „Pięć dni z życia emeryta".

Zgrzebny jeszcze — nie ukrywając — stan polskiej telewizji przesłania administratorom naszej kinematografii jej śmiertelne zagrożenie. Ocenia się więc dość optymistycznie efekty gdańskiego festiwalu, coś się planuje i projektuje w zakresie rozbudowy kin, uzupełnień bazy produkcyjnej, coś się reformuje. Trzeba jednakowoż powiedzieć wprost, że są to działania obliczone na lat dziesięć, bo już nie na piętnaście. Więc czy warto?

A tu nadchodzi, przecież wyobrażalna w skutkach, ogromna fala video. Na Zachodzie to już olbrzymi przemysł z wielce rozległymi perspektywami (symboliczny niechaj będzie przykład wspomnianego wyżej Antonioniego — wszystko co zrobił w ciągu ostatnich paru lat to videoclip!). U nas tymczasem wzrusza się ramionami. Dałbym np. wiele za dane o ilości urządzeń video w naszym kraju: kilkadziesiąt tysięcy? A może kilkaset? Sztucznie ogranicza się te liczby przez podwyższone cła, a przede wszystkim przez brak sprzętu video na państwowym rynku wewnętrznym (prywatny prosperuje!). W „Pewexach" stoją pojedyncze egzemplarze o wysokich cenach. Dlatego też wszyscy ci, których stać na dewizowy wydatek (jest ich przecież niemało) zaopatrują się w magnetowidy za granicą, gdzie dostępne są w dużym wyborze o całkiem umiarkowanych cenach. Nie rozumiem więc handlowej polityki pewexowych szefów i chętnie bym na ten temat coś zracjonalizowanego i objaśniającego usłyszał. Bo kiedy będzie polskie video, Bóg raczy wiedzieć? (Już jakieś jest — ja myślę o sprzęcie dobrym i sprawnym).

Tak czy inaczej problem ostatecznej konkurencji dla kina, której ono już nie przeżyje, narasta — albo ostrożniej — zaczyna narastać i w Polsce. Jest to także konkurencja dla samej telewizji. O to akurat bym się nie martwił. Telewizja, w obawie przed utratą widowni musi, a może, być lepsza. Z pełnym zrozumieniem więc i aprobatą przyjmuję sugestie Jana Rema (w „Polityce"), aby „Amerykę, Amerykę", przebój polskiej publiczności video, pokazać w TVP. Czas skończyć z obłudnym pytaniem „co na to widz" i bać się pięciu listów z inwektywami. Czas zaryzykować i nie bawić się w pseudokamuflaże w rodzaju ostatniego pomysłu TVP „Na pograniczu". Taki tytuł ma nosić cykl filmów „hard-erotycznych" (terminologia nie moja), o których nie bez ekscytacji, ale i z obyczajowym dystansem ciotki z kanapy pisała w „Antenie" Elżbieta Królikowska (prywatnie piękna i nowoczesna dziewczyna). Przecież jeśli brać pod uwagę proponowane w cyklu filmy, nie o porno chodzi, ani o inne różowe baleciki, lecz o arcydzieła światowego kina. Czy rzeczywiście trzeba opatrywać asekuracyjnym cudzysłowem filmy Felliniego, Pasoliniego czy Bertolucciego? „Na pograniczu"? Chyba na pograniczu zdrowego rozsądku, którego zda się brakować pomysłodawcom z Woronicza. Czy to nie ich przodkowie osłaniali nogi stołowe pokrowcem z kretonu, aby nie kojarzyły się z niczym zdrożnym?

Czyli: Telewizjo! Zacznij się bronić już od dziś, bo jutro video zostawi cię w pobitym polu. Kino nie ma już żadnych szans. Nad czym nie warto rozpaczać: i tak wszystko zostaje w rodzinie cywilizacji obrazu, we wszechogarniającej ikonosferze, którą sami sobie stworzyliśmy.

Po przeczytaniu powyższego tekstu wielu czytelników powie, że uprawiam demagogię albo wróżę z fusów. Gdzie dowody, liczby, tabele, naukowe prognozy? Otóż — odpowiadam — nie sporządzałem raportu o stanie kinematografii polskiej i światowej. Dzielę się natomiast kilkoma przeświadczeniami. Czy nie bez racji, okaże się za dwadzieścia lat. Może wcześniej. Obiecuję wrócić wtedy do poruszonych tu spraw i zapytać: a nie mówiłem?!

Dla kogo nagrodę „Odgłosów"?

Dziś na postawione w tytule pytanie odpowiada docent RYSZARD HUNGER, prorektor Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi.

— Zajmuję się upowszechnianiem od ponad dwudziestu lat. Współpracując z różnymi instytucjami kulturalnymi przekonałem się, że proponowane przez nich formy upowszechniania są mało atrakcyjne, a przede wszystkim mało skuteczne. W związku z tym w swojej pracy zastanawiałem się nad poszukiwaniem nowych możliwości upowszechniania, a przede wszystkim nad możliwością bezpośredniego dotarcia do odbiorcy. Jedną z takich możliwości stwarza propagowanie amatorskiego upowszechniania plastyki poczynając od dzieci, a kończąc na ludziach trzeciego wieku. W ten sposób zmniejsza się dystans dzielący artystę i jego dzieło od powszechnego odbiorcy.

Doświadczenia swoje czerpię z praktycznej działalności, jaką prowadzę wśród łódzkich amatorów. Mam już w tej chwili bogate przemyślenia i refleksje, które pozwalają mi spojrzeć na problem upowszechniania szeroko i widzieć go w przyszłości jako możliwy do rozwiązania tylko wtedy, jeśli uda się stworzyć zupełnie nowy system działania wszystkich odpowiedzialnych za to ludzi.

Podjęliśmy w ostatnich latach pewne nowe inicjatywy, które stały się swoistym laboratorium poszukiwania doświadczeń i nowych możliwości. Prowadzone przeze mnie spotkania teoretyczno-praktyczne pod tytułem „Opisanie świata" — przy współudziale Domu Plastyki i Filmu — są właśnie taką nową formą bezpośredniego zaangażowania odbiorcy w problematykę sztuki. Dotychczasowe efekty są wielce obiecujące. Trzeba w tym miejscu powiedzieć, że upowszechnianie nie może się odbywać bez edukowania. I we wszystkim o czym dotychczas mówiłem, edukacja odgrywa ogromną rolę. Również jako twórca poszukuję ciągle nowych sposobów docierania ze sztuką do odbiorcy. Miałem ostatnio okazję brać udział w bardzo pięknej inicjatywie stworzenia we włoskim mieście Talla „miasta sztuki". Organizatorzy odeszli tam od tradycyjnych form eksponowania prac i zaproponowali zaproszonym artystom, aby stworzone przez nich obrazy zostały na trwałe wmontowane w panoramę miasta. Trzeba było przy okazji rozwiązać wiele problemów związanych z funkcjonowaniem dzieła sztuki w zupełnie nowym środowisku i odmiennej architekturze.

Jeżeli zastanawiamy się nad celem upowszechniania, to musimy dojść do wniosku, że nie może ono służyć samej sztuce, którą chcemy upowszechniać, ale musi służyć przede wszystkim społeczeństwu, wśród którego to upowszechnianie prowadzimy po to, aby podniósł się ogólny poziom kulturalny tegoż społeczeństwa i wzrastało przez to poszanowanie wartości moralno-etycznych i estetycznych.

Chciałbym też obalić zakorzenione przekonanie, że upowszechniać sztukę można jedynie w niektórych kręgach społecznych. Z mojej praktyki wynika, że można odnosić sukcesy w pracy z młodzieżą szkół rolniczych, wśród gospodyń wiejskich, mieszkańców hoteli robotniczych, dzieci i emerytów. Skuteczność upowszechniania musi polegać na tym szerokim, nie omijającym niczego, działaniu.

Sprowadzanie upowszechnienia do działalności społecznej jest wielkim nieporozumieniem. Uważam, że powinni robić to ludzie świetnie do tego przygotowani, dysponujący dużą wiedzą, inicjatywą i dobrze za to wynagradzani. Z drugiej jednak strony można stwierdzić, że upowszechnianie jest rodzajem posłannictwa i bez pewnej dozy fanatyzmu w walce o upowszechniane ideały nie będzie można wiele zdziałać. Ludzie, przed którymi stajemy, muszą czuć nasze pewne zaangażowanie w upowszechnianie wartości, wtedy tylko będą w stanie nam uwierzyć i zaufać. Upowszechnianie sztuki często przypomina swoistą terapię i dlatego zajmujący się tym człowiek powinien mieć wiele cech doskonałego lekarza.

Bardzo często się zdarza, że w szeroko rozumiane upowszechnianie trzeba zaangażować te same siły i tę samą inwencję, które towarzyszą aktowi tworzenia. Działalność taka zamienia się w zupełnie nową twórczą pracę, w czasie której kreujemy nowe wartości w oparciu o zaskakująco nietypowe środki. Zmusza nas to do umiejętności nawiązywania kontaktów z ludźmi, zmusza do umiejętności kierowania ich emocjami i wzruszeniami. Artysta staje się w ten sposób animatorem nowych sytuacji, które pozwalają uczestniczącym w tym ludziom spojrzeć na otaczający ich świat w sposób odkrywczy i nieszablonowy. Jednocześnie możemy przez to wpłynąć na uaktywnienie drzemiących w każdym człowieku możliwości, wyzwolić jego osobowość i temperament.

Niezwykle ważną rolę w tym procesie mają nauczyciele prowadzący zajęcia plastyczne. Nie mogą oni jednak traktować swojego przedmiotu jako jednego z wielu, nie mogą prowadzić swoich zajęć na podobieństwo matematyki, fizyki czy chemii. Takie działanie byłoby zaprzeczeniem sensu wprowadzenia tych zagadnień do szkoły. Proces poznania świata poprzez naukę i sztukę jest przecież zupełnie odmienny. Nauczyciele powinni potrafić złamać schemat typowej lekcji typowego programu, ukazać zupełnie nowe i często niewyobrażone przez uczniów możliwości i zasiać mnóstwo wątpliwości. Jeśli atrakcyjność zajęć plastycznych nie będzie wystarczająca i uczniowie nie odczują przyjemności w uczestniczeniu w nich, możemy być przekonani, że utracimy następną grupę zaangażowanych odbiorców. A tak się niestety często zdarza, że poprzez niewłaściwie prowadzone zajęcia obrzydzamy niektórym sztukę do końca życia. Prowadzone przeze mnie i moich kolegów eksperymentalne zajęcia w jednej ze szkół podstawowych cieszyły się wielkim uznaniem młodzieży i dały zaskakująco pozytywne rezultaty, co potwierdziły dokonane w późniejszym czasie badania socjologiczne. Miały one korzystny wpływ na kształtowanie osobowości tych dzieci i przyczyniły się w znaczny sposób do zmiany sposobu ich myślenia. Należałoby z tego wyciągnąć wnioski, że jest potrzeba szerszego zaangażowania się twórców w trudną, ale zarazem bardzo interesującą, działalność edukacyjno-upowszechnieniową.

Gdybym miał przyznać doroczną nagrodę „Odgłosów" za upowszechnianie kultury, to przyznałbym ją osobie, która nie godząc się z zastaną sytuacją, nie godząc się z istniejącym stanem kultury, robi wszystko, aby na tę sytuację wpłynąć i ją zmienić angażując w to swą twórczą inwencję, zapał i wiedzę. Tylko tacy ludzie są w stanie w przyszłości wpłynąć na nową jakość naszej kultury.

E. IW.

Czy stać nas na wielki show?

W listopadzie 1985 r. gościliśmy w Łodzi dwie piosenkarskie wielkości, dwie indywidualności, różniące się między sobą wszystkim co mogłoby być dla nich wspólne. ANDRZEJ ROSIEWICZ i IRENA SANTOR, śpiewali w Łodzi na zaproszenie Estrady Łódzkiej (Rosiewicz) i Stowarzyszenia Artystycznego (Santor) w programach o charakterze recitalowym na scenach Teatru Rozmaitości i Teatru Wielkiego.

SHOWMAN JEST ZMĘCZONY...

W jednej z reklamowych zapowiedzi do programu estradowego Andrzeja Rosiewicza czytamy:

„Proszę mi znaleźć człowieka, który nie chciałby bawić się w tak świetnym towarzystwie jak towarzystwo Andrzeja Rosiewicza. Konia z rzędem temu, który takiego człowieka znajdzie! Z jednym tylko zastrzeżeniem: musi to być człowiek, który raz w życiu się uśmiechnął. Reszta należy do Andrzeja".

Tak pisano w najlepszych latach kariery narodowego rozśmieszacza estradowego. Później pytano: *„Czy to jest śmieszne"?* Na co Rosiewicz: *„Ja w gruncie rzeczy jestem wrażliwy, kocham przyrodę i zwierzęta, wszystko mnie wzrusza i rozczula..."* I dodał: *„To wszystko maska. To żarty, to rozśmieszanie, miny, zabawne teksty. Taką rolę mi wyznaczono i powiedziano: — a wy, Rosiewicz, będziecie bawić nie ucząc, będziecie rozśmieszać nie wzruszając, będziecie żartować bez jednoczesnego naprawiania stosunków społecznych. Ale we mnie dojrzewa już decyzja. Ja któregoś dnia zdejmę tę maskę, ja się odsłonię".*

Andrzej Rosiewicz prezentuje obecnie na terenie kraju swój najnowszy program: *„Andrzej Rosiewicz i Kompany"*, do którego zaprosił orkiestrę swingującą z Krakowa, mima Jarosława Zimowskiego z Łodzi, grupę Music Market ze Szczecina i amatorski balecik żeński z różnych miasteczek. Na estradzie kolorowe światełka, kilka stopni schodów, ekran do wyświetlania slajdów i napis „ROSIEWICZ SHOW".

Podczas gdy publiczność zajmowała miejsca na widowni Andrzej Rosiewicz przeszedł prywatnie przez salę, aby jedynym bocznym wejściem dostać się za kulisy i przygotować do występu (tak późno?). Pochylony, smutny, niepozorny i nie rozpoznany przez widzów. Za chwilę zacznie swoje kolejne „show", czy będzie to szampańska zabawa czy tylko skromny program estradowy ze starym, dobrym znajomym?

Na widowni głównie średnie pokolenie i starsze osoby. Andrzej Rosiewicz w swoim berecику, z wielką muchą, przykrótkimi spodniami, słowem w tradycyjnej oprawie kostiumowej.

W nowym programie Andrzeja Rosiewicza nie ma starych przebojów. Rosiewicz nie stepuje, nie tańczy, nawet nie podskakuje, jest prawie poważny, wewnętrznie skupiony. Śpiewa piosenki refleksyjne, z filozoficznym podtekstem, gra na gitarze, reklamuje swoich gości, choć oni na to nie zasługują. Nie spełniły się marzenia Andrzeja Rosiewicza o występie w musicalu z prawdziwego zdarzenia, choć rozmowy na ten temat są prowadzone od roku z Estradą Łódzką. Artysta wciąż jest zajęty wymianą coraz to nowych zespołów muzycznych, a więc jednocześnie ciągłymi próbami...

Dziś nie stać naszych instytucji estradowych na oprawę i realizację takiego wielkiego show estradowego, nawet przy świadomości że Andrzej Rosiewicz jest tylko jeden. Podejrzewam więc, że nie spełnią się marzenia naszego supershowmana i nadal będzie jeździł po kraju z własną składanką estradową. Pomysły już nie te co dawniej, zdrowie coraz gorsze, a uśmiech bardziej gorzki niż filuterny. A może to spełnienie dawnej obietnicy Andrzeja Rosiewicza, że któregoś dnia zdejmie maskę rozśmieszacza i odsłoni się?

Pozostał stary tik nerwowy, o którym Rosiewicz mówi: *„Ten tik nerwowy to są lata kontaktów z estradą i Estradą, godziny spędzone z rozmaitymi reżyserami i specjalistami od rozrywki. Zwłaszcza masowej. Ten tik to moja największa zdobycz artystyczna i nie dam go sobie odebrać. Poza tym, pan na mnie spojrzy. Jak mówię, że jest dobrze i robię tik, to wszyscy zaraz się śmieją. Pan się nie śmieje?"*

Na nowym programie Andrzeja Rosiewicza nie śmiałem się, nie było powodu, choć w sumie jest sympatycznie, relaksowo, a na bis śpiewa on swój słynny przebój *„Jadą chłopcy radarowcy"*, a i na piosenkę *„Najwięcej witaminy mają polskie dziewczyny"* znalazło się miejsce. Andrzej Rosiewicz nie ma od paru lat nowego przeboju, nie będą nim nowe piosenki, lecz zapewne ich wykonawcy (i autorowi) nie o to teraz chodzi w tym co robi.

W finale, na estradzie migają kolorowe światełka, wszyscy wykonawcy śpiewają okolicznościową piosenkę o Łodzi, choć podejrzewam, że mają tych tematycznych piosenek kilka, w zależności od miejsca, gdzie są. Publiczność bije brawo, głośno i długo. Andrzej Rosiewicz zdejmuje estradowe fatałaszki, zakłada szarą kurtkę, zmęczony, pochylony, wychodzi z teatru, idzie do hotelu... Jutro da następny show.

BOHDAN GADOMSKI

Andrzej Rosiewicz

Irena Santor

PIERWSZA DAMA PIOSENKI

Gdy w 1959 roku, w warszawskiej Sali Kongresowej śpiewała po raz pierwszy, debiut Ireny Wiśniewskiej z Papowa Biskupiego, byłej solistki Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze", nie był udany. Wydekoltowana, biała, niezbyt odpowiednia dla piosenkarki suknia, brak obycia na wielkiej estradzie, nie były sprzyjającymi atutami. Ale swym pięknie brzmiącym głosem władała już dobrze.

Wkrótce opanowała wszechstronnie warsztat estradowy, głosem operowała doskonale, doszły nienaganna dykcja, bezbłędne prowadzenie frazy muzycznej, sugestywność przekazywania tekstu. 34 lata w zawodzie piosenkarskim, nieprzerwana obecność na rynku, gdzie wciąż młoda, świeża, lansowała coraz to nowe przeboje. Prawdziwy ewenement w naszej piosence. Imponujący nie tylko stażem i uporem trwania w tym krótkim przecież zawodzie.

Do Łodzi przyjechała po kilkumiesięcznej przerwie w koncertach, które zresztą miała nie w kraju, lecz w ośrodkach polonijnych St. Zjednoczonych i Kanady. Zajęta przygotowaniem nowego repertuaru, nie miała czasu na koncerty estradowe. Współpraca z łódzkim Stowarzyszeniem Artystycznym zobowiązuje do koncertów dla tej firmy i dlatego zebrała muzyków, takich jacy byli osiągalni w Warszawie, zaprosiła humorystę i parodystę Tadeusza Rossa i swego etatowego prezentera Zbigniewa Korpolowskiego. Powstał program, który w podobnej formie, choć z innym zespołem muzycznym, prezentowany był wiosną na drugiej półkuli.

Program pt. *„Lepiej nie mówić"* to typowa składanka estradowa, z poszczególnymi wyjściami gwiazdy wieczoru i urozmaiceniem słownym dwóch panów udających wesołków. Brak określonej koncepcji programu, bo humor słowny i pozorna fabuła nie miały właściwie żadnego związku z tym co robiła i o czym śpiewała bohaterka wieczoru — Irena Santor. Ale którego z naszych najlepszych artystów estradowych stać obecnie na wielki recital z należną oprawą? Nikogo. Nikt aktualnie nie jeździ z takim programem po Polsce.

Irena Santor zdecydowała się wystąpić z towarzyszeniem zespołu muzycznego na poziomie krajowego statku spacerowego po zatoce, bo nie miała innego wyjścia i ci, którzy nie wiedzą o tym, mogą ocenić program artystki jako średni, tradycyjny, niemodny. Ale patrząc na widownię można na niej zauważyć wszystkich najwierniejszych wielbicieli *„pierwszej damy polskiej piosenki"*: ludzi w wieku średnim, a głównie starszych, oni są zachwyceni swoją ulubioną piosenkarką i dla nich ona tu śpiewa.

Śpiewa znakomicie. Głos o rzadko spotykanej świeżości jak na tak doświadczoną piosenkarkę. Ogromna muzykalność. Nowy nieznany z anteny radiowej repertuar. Jest to swego rodzaju odwaga, bo wiadomo, że publiczność oczekuje na tego typu koncertach swoich ulubieńców znanych przebojów. Irena Santor zrobiła eksperyment — postawiła na swój nowy repertuar, choć nie na najnowszy. „Walc aż do dnia", „Kołysanka dla dorosłych", „Jeszcze nigdy tak nie było", „Malowanki polskie" znane są co prawda z anteny radiowej, ale na estradzie brzmią jak premiery.

Irena Santor mimo fatalnego zespołu muzycznego, broni się swoją sztuką wokalną. Osobiście żałuję, że nie zaśpiewała swoich najnowszych piosenek, z których jedną pt. „Mówię wyłącznie do ścian" lansuje właśnie Polskie Radio. Używa w nich nowej techniki wokalnej, ukazując nieznane do tej pory możliwości interpretacyjne. Tych nowych piosenek Irena Santor ma w repertuarze bardzo dużo, co świadczy o ogromnej pracowitości piosenkarki, a dodając do nich 12 nowych, współczesnych kolęd obraz będzie zdumiewający.

Irenie Santor na estradzie przynależna jest odpowiednia oprawa, z bogatą scenografią, schodami, światłami, z reżyserią całości i koniecznie z dużą orkiestrą. Właściwie nigdy nie miała typowego show, a szkoda, bo nie wykorzystano jej dużych umiejętności estradowych. Zresztą uwaga ta dotyczy prawie wszystkich gwiazd polskiej piosenki.

Łódzka publiczność przyjęła Irenę Santor bardzo ciepło, a jej letni hit „Już nie ma dzikich plaż" zajaśniał raz pełnią swego blasku w listopadzie.

Po koncercie rozmawiałem z Ireną Santor na temat jej obecnych występów estradowych. Przyznała mi rację, że w tych wszystkich mankamentach i niedociągnięciach programu *„Lepiej nie mówić"* wiele jest prawdy, ale jako gwiazda, bohaterka programu, która przede wszystkim musi dbać o siebie, jest bezbronna w walce o to wszystko, co chciałaby mieć na estradzie, co powinna mieć, a czego nie może mieć z wielu, wielu prozaicznych powodów. Obiecała, że przyjedzie do Łodzi jeszcze raz, z pełnym recitalem, do którego zaprosi tylko pianistę. Co prawda będzie to recital kameralny, w innej formule estradowej niż show, ale z pewnością ciekawszy i bardziej odpowiedni dla osobowości mistrzyni nastroju.

W książce „SYNKOPY", poświęconej Irenie Santor Antoni Wroński pisze: *„Co stanowi o przyczynie jej nieprzemijającego powodzenia? Myślę, że tkwi ono w prostocie, szczerości i przekazywaniu swoich piosenek jakby z osobna każdemu słuchaczowi. A to bardzo wiele. Jej każda piosenka, niezależnie od charakteru, wytwarza na estradzie jakiś muzyczny mikroklimat, jakiś sympatyczny nastrój. Irena Santor jest piosenkarką obdarzoną nie tylko talentem, ale zdolnością przekazywania swoich estradowych przeżyć — jest piosenkarką nastroju".*

Na koncercie w łódzkim Teatrze Wielkim przekonaliśmy się, że Irena Santor rzeczywiście jest taką piosenkarką.

Kronika kulturalna

STOWARZYSZENIE Artystyczne kontynuuje — ku uciesze łódzkich teatromanów — swoisty festiwal teatralny pod nazwą „Mistrzowie sceny polskiej". W dniach 28—31 stycznia br. Łódź będzie gościć Teatr Stary im. Heleny Modrzejewskiej z Krakowa z legendarnym już spektaklem „Wyzwolenia" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii **Konrada Swinarskiego.** Muzyka **Zygmunta Koniecznego,** scenografia **Kazimierza Wiśniaka** a na scenie cały zespół Teatru Starego z takimi gwiazdami jak **Anna Polony, Jerzy Trela, Edward Lubaszenko, Jerzy Radziwiłowicz** i **Andrzej Kozak.** Będą to ostatnie już otwarte spektakle tej inscenizacji „Wyzwolenia" w Polsce.

Stowarzyszenie Artystyczne czyni starania aby ukazać widzom film video o Konradzie Swinarskim.

Teatr Stary zaprezentuje też „Wzorzec dowodów metafizycznych to jest ostateczne rozwiązanie kwestii diabelskiej czyli tragiczna historia doktora **Faustusa..." (to tylko początek tytułu!) Tadeusza Bradeckiego.** Autor i reżyser jest znany łódzkiej publiczności z pierwszych telewizyjnych „Spotkań z balladą".

„Wzorzec" cieszy się w Krakowie ogromnym powodzeniem. Jest to „pomieszanie dyskursu filozoficznego, jarmarcznej zabawy i sejmiku polskiego" (Krzysztofa Gurba). Zabawna muzyka **Zygmunta Koniecznego** i dowcipna scenografia **Jana Polewki** towarzyszy aktorskiemu popisowi **Krzysztofa Globisza, Edwarda Lubaszenki, Andrzeja Kozaka, Jerzego Święcha** i innych.

Wszystkie przedstawienia odbędą się w Teatrze Wielkim, bilety rozprowadza Stowarzyszenie Artystyczne (ul. Moniuszki 1a w godz. 10.00—15.00) i kasy TW.

TEATR Muzyczny w Łodzi uczci swoje czterdziestolecie premierą „Wesołej wdówki" Franciszka Lehara w marcu br. Reżyseruje **Andrzej Żarnecki,** choreografia **Bożeny Kociołkowskiej,** scenografia — **Liliana Jankowska.** Kierownictwo i opracowanie muzyczne — dyrektor TM **Rajmund Ambroziak.** „Wesoła wdówka" inaugurowała sezon teatralny 1946/45, pierwszy pełny sezon Operetki Łódzkiej. Będzie to już czwarta inscenizacja tej klasycznej, bardzo lubianej przez publiczność operetki na łódzkiej scenie.

Spektakl jubileuszowy zainauguruje w dniu 16 marca br. Pierwsze Łódzkie Spotkania Operetkowe. Do dnia 22 marca łodzianie będą mogli zobaczyć Teatr Muzyczny z Poznania z komedią muzyczną „Madame Sans-Gene" wg. Sardou Antoniego Marianowicza i Janusza Minkiewicza z muzyką Stefana Kisielewskiego; operetkę „Targ na dziewczęta" z muzyką P. Tomaszewskiego (wg. V. Jacobiego) w wykonaniu zespołu Teatru Muzycznego w Lublinie; rewię „Dziękuję ci Ewo" St. Renza (Operetka Wrocławska); „Damę z portretu" R. Stolza w wykonaniu artystów Operetki Śląskiej oraz „Bal w Savoyu" Paula Abrahama w inscenizacji Operetki Warszawskiej.

Wystąpi również Teatr Muzyczny w Gdyni z musicalem Jonasza Kofty i Bene Rychtera pt. „Kompot", muzyka — sekcja „Z".

Wszelkich informacji udziela oraz prowadzi sprzedaż karnetów Biuro Organizacji Widowni TM w godz. 8—15, tel. 78-19-68.

OKRĘGOWE Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów podsumowało wyniki roku ubiegłego — był to rok pomyślny, choć ustępuje rekordowemu rokowi 1984. W roku ubiegłym ogólna frekwencja w kinach objętych przez łódzką dyrekcję OPRF wyniosła 8,6 miliona widzów (rok poprzedni był o 650 tys. lepszy). Frekwencyjnymi lokomotywami okazały się **„Klasztor Shaolin"** i **„Powrót Jedi"** a z filmów polskich — „Szaleństwa panny Ewy", „Vabank II", „Obi-Oba" i „Alabama". Z filmów radzieckich największym powodzeniem cieszyły się „Gorzki romans" i „Europejska historia". **Znaczący sukces frekwencyjny odniósł także film** chiński „Tajemniczy Budda".

Rok bieżący — jak zapewniali dziennikarzy dyrektorzy OPRF na konferencji prasowej — będzie co najmniej nie gorszy od ubiegłego. Na ekrany wejdzie ok. 160 nowych tytułów, w tym 40 polskich. Hitami roku mają być: „Nieoczekiwana zmiana miejsca" J. Landisa z E. Murphym, „Purpurowa róża z Kairu" Woody Allena, „Czułe słówka" J. L. Brooksa, „Carmen" F. Rossiego, „Cotton Klub" F. F. Coppoli, „Sprzedawca kapeluszy" C. Chabrola; „Droga do Indii" D. Leane, „Amadeusz" M. Formana. Być może także „Piraci" Romana Polańskiego!

Nadzieje dystrybutorów związane są także z wprowadzeniem na ekrany filmów polskich takich jak np. „Dziewczęta z Nowolipek" B. Sas, „Podróże pana Kleksa" K. Gradowskiego, „Kronika wypadków miłosnych" A. Wajdy (wg. Konwickiego), „Kochankowie mojej mamy" R. Piwowarskiego, „Cudzoziemka" B. Bera, „Nad Niemnem" Z. Kuźmińskiego, „Ga-ga... Chwała bohaterom" P. Szulkina. Spośród filmów zrealizowanych dawniej tzw. „półkowników", zobaczymy „Wielki bieg" J. Domaradzkiego i „Przypadek" K. Kieślowskiego.

Kinomani oczekują na „Pułkownika Redla" I. Szabo, „Bitwę o Moskwę" J. Ozierowa, „Idź i patrz" E. Klimowa.

Absolutną nowością w działalności OPRF będzie w roku bieżącym uruchomienie pierwszych „video-kin"!

BALLADY Bułata Okudżawy składają się na spektakl dyplomowy IV roku Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi. Premiera przedstawienia, któremu nadano tytuł „Ballady o Ostatnich" odbyła się w niedzielę 12 stycznia br.

Kanwą widowiska jest dramat Maksyma Gorkiego **„Ostatni". Reżyserował Eugeniusz Korin,** scenografia **Wiesław Olko,** kostiumy **Irena Biegańska,** kierownictwo muzyczne **Ewa Siwek.**

Spektakl obejrzeć można na scenie Teatru Studyjnego'83 im. Juliana Tuwima.

„ZMIERZCH" Izaaka Babla oglądać mogą łodzianie na scenie Teatru Nowego od dnia 18 stycznia br. Reżyseria **Jan Bratkowski,** scenografia **Krzysztof Pankiewicz,** muzyka **Jerzy Satanowski.** Grają: **Ludwik Benoit, Maria Białobrzeska, Marek Lipski, Mariusz Pilawski, Anna Grzeszczak, Józef Zbiróg, Adam Gwara, Marian Stanisławski, Zygmunt Urbański, Bohdan Mikuć, Barbara Wałkówna, Małgorzata Flegel, Włodzimierz Skoczylas** i inni.

W „Galerii jednego obrazu" w foyer teatru **prezentowane jest dzieło Zygmunta Menkesa „Ojciec i syn".**

TRZYDZIESTOPIĘCIOLECIE pracy twórczej Jana Łukasika jest okazją do wystawy jego prac w Salonie Sztuki Współczesnej. Organizator: BWA. Wystawa nosi tytuł „Pejzaż miejski 1973-1983".

CZTERDZIESTOLECIE Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich zbiegło się z jubileuszami pracy twórczej Jana Huszczy i Wacława Bilińskiego. O twórczości Jana Huszczy pisaliśmy niedawno, w najbliższych numerach szkic o twórczości Wacława Bilińskiego.

Polemiki • Listy • Opinie

„UWIERZYĆ W LEKARZA"

Ze wzruszeniem przeczytałam artykuł zamieszczony w 41 numerze „Odgłosów" z 12.X.1985 o dr Romualdzie Pietraszunie, Ordynatorze Oddziału Urologii w Szpitalu im. dr Pirogowa, zatytułowany „Uwierzyć w lekarza". Nie mogłam wcześniej napisać z powodu śmierci mojej Matki, ale gdybym tego nie zrobiła, nie miałabym szacunku dla siebie.

Pięknie R. Gluth napisał o tym wielkim, a jednocześnie tak skromnym i tak bardzo dobrym Człowieku. To jest Ordynator, który zawsze ma czas dla chorego i jego rodziny, to złota ręka i takie samo serce. Podczas długotrwałej choroby mojej Mamy przebywającej kilkakrotnie na Oddziale kierowanym przez dr Pietraszuna, widziałam na co dzień tego zapracowanego i zawsze uśmiechniętego Ordynatora. Nigdy nie zapomnę Jego dobroci. Ten lekarz kocha ludzi i bardzo ratuje ich życie.

Z poważaniem
SŁAWKA RULEWICZ
(Łódź)

„ZIMNY BEFSZTYK Z PIECZARKAMI"

W związku z zamieszczonym przez waszą redakcję w numerze z 14.XII.1985 r. listem czytelników-konsumentów dotyczącym funkcjonowania restauracji „Halka" pragniemy wyjaśnić co następuje.

Wykładzina podłogowa w restauracji została już wyprana i zreperowana, tak że nie tworzy jak to określono w liście „pułapki dla konsumentów i obsługi kelnerskiej". Za fakt występowania przez pewien czas rozerwanej wykładziny serdecznie wszystkich przepraszamy

Druga sprawa poruszona w liście — stwierdzenie nagannego zachowania się kierowniczki lokalu — została przez nas poddana gruntownej analizie. Zasięgnięto opinii komitetu członkowskiego przy rest. „Halka" a więc organu kontroli społecznej, która to opinia była wręcz zupełnym zaprzeczeniem twierdzeń zawartych w liście konsumentów Komitet członkowski w trakcie częstych dyżurów pełnionych w godzinach funkcjonowania przedmiotowej placówki nie stwierdził opisanych w liście przypadków zachowania się kierowniczki lokalu. Wszelkie zarzuty jakie Komitet posiada pod adresem funkcjonowania placówki dotyczyły raczej obsługi kelnerskiej, która zdaniem komitetu właśnie dzięki dobremu kierownictwu lokalu ulega systematycznej ale wyraźnej poprawie.

W dniu 18 grudnia 1985 r. zorganizowano w gmachu kierownictwa Oddziału Gastronomii spotkanie z prezesem Zarządu Oddziału na które zaproszono autorów listu (adres podany był w odpisie do redakcji, przesłanym przez autorów do wiadomości naszego Oddziału), przewodniczącego komitetu członkowskiego przy restauracji „Halka" i p. red. Bogdę Madej z „Odgłosów". Z autorów listu na spotkanie przybył p. Krzysztof G. Marczak, który podtrzymał swoje opinie zawarte w liście, stwierdzając iż jest częstym konsumentem rest. „Halka" i z opisanymi faktami spotkał się kilkakrotnie

Przewodniczący komitetu członkowskiego oświadczył, iż przedstawiciele komitetu w trakcie swoich dyżurów nie spotkali się z takimi zdarzeniami (wobec niemożności ustalenia dokładnych dat pobytu p. Krzysztofa G. Marczaka w rest. „Halka" nie można było stwierdzić czy pokrywają się one czasowo z dyżurami komitetu) i wyraził zdziwienie, że piszący list jako stali konsumenci restauracji nie zwrócili uwagi na niedociągnięcia w pracy kelnerów, które występowały i którym kierowniczka lokalu przeciwdziałała a także na fakt, iż autorzy listu nie nanieśli tych uwag w książce skarg i wniosków, która umieszczona jest w miejscu widocznym i dostępnym dla konsumentów. Zaznaczył, iż zwracanie uwagi personelowi przez kierowniczkę wg jego wiedzy odbywa się zawsze na zapleczu. Zwrócił się także do p. Krzysztofa G. Marczaka z ofertą, aby wszedł on w skład komitetu, jako osoba, której, jak widać z listu, dobre funkcjonowanie restauracji „Halka" leży bardzo na sercu. Propozycja ta nie została przyjęta.

Prezes Zarządu Oddziału oświadczyła, iż opinie służb branżowo-kontrolnych Oddziału także nie potwierdziły faktów nagannego zachowania się kierowniczki lokalu, której pracę ocenia się jako dobrą, niemniej jednak jeżeli zdarzenia takie miały autentycznie miejsce wyraziła ubolewanie wobec obecnego na spotkaniu autora listu Oświadczyła także, iż z kierowniczką lokalu została przeprowadzona rozmowa w tej sprawie.

KAZIMIERZ SOBCZYŃSKI
Przewodniczący Rady Nadzorczej Oddziału

„LUKI I WYPACZENIA"

Ze znacznym przedświątecznym opóźnieniem Biuro Wycinków dostarczyło naszej placówce pamiętnikoznawczej tekst „Luki i wypaczenia" z „Odgłosów" nr 49/85, dotyczący rozpowszechniania w prasie wiadomości „nieprawdziwych... niezgodnych z pamięcią świadków". Problem jest ważny. Chodzi o wierny obraz i niekoniunkturalną, zobiektywizowaną, weryfikowalną empirycznie prawdę historyczną. Może tylko przykłady przywoływane w tekście nie należą do najbardziej jaskrawych i wymownych, a dodatkowo w jednym przytrafił się błąd rzeczowy. Przykład dotyczący niewiedzy dziennikarki kim była Elza Koch, zawarty w jej własnym wywiadzie wygląda na świadomą prowokację psychologiczną z gatunku rozpowszechnionego dowcipu maturalnego, że „była to ostatnia kochanka Hitlera". Trzeci przykład wspominkarza wzmiankującego o dominacji dorożek nad taksówkami w latach trzydziestych nie jest dużej wagi i prostuje go każdy przewodnik drukujący liczbę tych wehikułów. Inspiracją do tego listu stał się przykład środkowy, prostujący informację o rzekomym członkostwie Polskiej Akademii Literatury robotniczego pamiętnikarza Jakuba Wojciechowskiego, kiedy, to uhonorowano go jedynie srebrnym wawrzynem tej instytucji.

Faktycznie Jakuba Wojciechowskiego odznaczono zarządzeniem z 5.XI.1935 r. Ministra WRiOP Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury „za wybitne zasługi dla dobra literatury polskiej" a drukowany ozdobny dyplom podpisali za Prezydium PAL: W. Sieroszewski, L. Staff i J. Kaden Bandrowski. Wisiał ten dyplom do ostatnich dni życia Wojciechowskiego na ścianie pokoju w jego domku w Barcinie obok dwóch innych — od Instytutu Floriana Znanieckiego dla laureata konkursu na autobiografie robotnicze i od KC PPR z podpisem Władysława Gomułki Wiesława „za ofiarną pracę nad spotęgowaniem siły i wpływów Partii wśród mas pracujących". Wtedy srebrny wawrzyn uzyskał J. Andrzejewski za „Ład serca". Jakub Wojciechowski jako „klasyk w bluzie robotniczej" samo odznaczenie, porównanie z J. Ch. Paskiem, znaczną popularność i wydanie drugiej książki zawdzięczał serdecznej opiece T. Boya-Żeleńskiego — pioniera mecenatu wobec twórczości robotniczej.

Jakuba Wojciechowskiego uważa się za „ojca" pamiętnikarstwa robotniczego i konkursowego, które w ciągu 65 lat od pionierskiego konkursu z 1921 roku stało się znamienną instytucją polskiego życia naukowego i kulturalnego — historią własną ludzi pracy oraz świadectwem ich rosnącej roli kulturotwórczej. Wyjątkowy w świecie rozkwit pisarstwa pamiętnikarskiego robotników i chłopów w Polsce dzięki instytucji konkursów na pamiętniki ukazują bibliografie 12 tys. książek i 50 tys. pozycji w czasopismach z tej dziedziny. Historyczny i aktualny „Polaków portret własny" ukaże przygotowywana na półwiecze Polski Ludowej 10-tomowa publikacja pod tymże tytułem. Z jednostkowych prawd życia wyłania się niepodważalna prawda zbiorowej pamięci doświadczeń narodu.

FRANCISZEK JAKUBCZAK
(Warszawa)

PO CO TE NIEPOKOJE?

Dwadzieścia kilka procent (dokładnie nie pamiętam) respondentów ankiety na temat oceny zaopatrzenia rynku określiło (według PAP), iż jest ono złe. Chciałoby się rzec „Bóg z Wami" i macie krótką pamięć, bo co by nie powiedzieć, od pewnego czasu przywykliśmy do względnej stabilności rynku, szczególnie spożywczego.

Chcę jednak dziś pisać o temacie „tabu", jeśli chodzi o jego pozytywną stronę. Bo na „nie" można i powinno się pisać o tej sprawie nieprzerwanie, jak gdyby to coś miało znaczyć. Mam na myśli stabilność rynku alkoholowego.

Ostatnio pisałem o tym pewno ze dwa lata temu, relacjonując wrażenia z zakupów w małym sklepiku na ulicy Gdańskiej, gdzie to ledwo stojące babunie i chromający starcy oraz przedwcześni emeryci wynosili na meliny skrzynki wódki i wina marki „wino".

Potem był okres, gdy rynek alkoholowy uspokoił się, nie licząc normalnego zjawiska podmiany gatunków (i podwyżki cen). Aliści sprawa znów się zawaliła. Akurat przed świętami rozeszły się pogłoski, że czeka nas kolejna zmiana cen. Pogłoski pogłoskami, a w sklepach znów zaczął się najazd meliniarzy, biorących po 2—3 skrzynki zaś z drugiej — wystawiano na półki te przede wszystkim gatunki, które dotychczas „nie szły". Zamiast wzmożonymi dostawami „zatkać" rynek legalny i nielegalny — znów był niepokój.

Nie łudźmy się: większość naszego społeczeństwa nie jest abstynencka. A skoro rzeczy tak się mają — nie widzę powodu do dopuszczania do sytuacji, w której następuje zwiększenie „lewych" zarobków cwaniaków.

W. AFELT

W KARPACZU

Święta Wielkanocne, Boże Narodzenie, Wigilia dla ludzi samotnych bywają dniami chyba najbardziej smutnymi. Człowiek pozostawiony samemu sobie, zamknięty w czterech ścianach, w tych dniach poszukuje życzliwej duszy, lgnie do ludzi. Instynktownie poszukuje zbliżenia, odrobiny nadziei i otuchy wystarczającej na dalsze lata samotności.

Czy znajduje? Różnie bywa. Czasami udaje się zrealizować swoje zamiary, przebywając chociaż przez kilka dni w roku w szerszym gronie osób, nie zawsze bliskich sobie, lecz także osamotnionych. Stąd bierze się tradycja pozostawiania wolnego miejsca przy stole wigilijnym.

Człowiek ucieka z własnego domu, byle dalej od miejsca, gdzie doświadczył ciężkiego losu swojego życia. Dlatego też m.in. w czasie świąt widzimy sporo osób samotnych w turnusie świątecznym FWP. Przyjeżdżają z różnych stron Polski, nie dla własnej wygody, lecz głównie w poszukiwaniu utraconego ciepła rodzinnego. A tego nie jest w stanie zapewnić żadna kierowniczka domów FWP, o ile zabraknie życzliwości wśród samych wczasowiczów. Co najwyżej może wyjść naprzeciw, organizując wieczorki zapoznawcze, wycieczki krajoznawcze itp., itd.

Barbara Żegiestowska — kierownik Domu Wczasowego FWP „Śnieżka" w Karpaczu podziela moje zdanie.

— W okresie Świąt Bożego Narodzenia, Świąt Wielkanocnych zawsze mam komplet wczasowiczów, przeważnie z Łodzi. Przyjeżdżają samotni i całe rodziny. Staramy się zapewnić naszym miłym gościom w miarę spokojny wypoczynek wedle naszych możliwości. A zresztą, co ja będę panu mówić. Sam pan widzi jak jest naprawdę.

— Widzę. W istocie rzeczy ośrodek posiada dość sporą ilość miejsc noclegowych, usytuowanych przeważnie w starych budynkach, wymagających przeprowadzenia generalnego remontu. Sprzęt wysłużony. Wymagający renowacji. A mimo wszystko człowiek czuje się, jak u siebie w domu.

— Bardzo mnie to cieszy. Staramy się wszyscy, jak możemy, by naszym gościom urozmaicić pobyt w naszym ośrodku wypoczynkowym. Ludzie w okresie świątecznym bywają nieraz zagonieni, jacyś roztargnieni. Nie mówiąc o wszelkiego rodzaju drobnych przypadkach, że ktoś przypalił żelazkiem wyjściową bluzkę, spodnie, zapomniał wziąć z domu czegoś potrzebnego. A nawet zdarzały się przypadki przyjazdu bez skierowania FWP, które pozostawione zostało w domu. Staram się w miarę zrozumieć ich roztargnienie i pomagać.

— Sam wypaliłem w spodniach dziurę. Ale skorzystałem na tym. Kupiłem nowy materiał, a miejscowy krawiec uszył mi spodnie za pół ceny, którą musiałbym zapłacić w Łodzi. Usługi są tanie w Karpaczu.

— Nie posiadamy większych zakładów pracy, a rzemieślników mamy dobrych. I co najważniejsze panuje zdrowa konkurencja. Tu każda zarobiona złotówka się liczy w ogólnym budżecie rodzinnym. Stąd i usługi naszych rzemieślników są stosunkowo tanie.

W Karpaczu daje się zauważyć pieczołowite dbanie o zabytki kultury narodowej. Nowa architektura umiejętnie wkomponowana w stare zabytkowe budowle. Zabytki pieczołowicie chronione. Chociażby jeden z najstarszych domów pasterskich w Karpaczu, położony przy ulicy 1 Maja i wiele, wiele innych, których nie sposób wymienić. To wszystko stwarza niezapomniane wrażenie na przybyszach z Polski i z zagranicy. Karpacz zdobył sobie odpowiednią renomę kurortu.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KARA A NIE ZEMSTA

Jeśli wszyscy jesteśmy „rodziną człowieczą", to trzeba postępować jak w rodzinie. Inaczej nic dobrego z tego nie wyjdzie. Więc kara. Szkopuł w tym, że wśród samych prawników nie było i nie ma zgody co do tego, czym powinna być kara. Według Immanuela Kanta, kara wynika z moralnego imperatywu kategorycznego i nie może być uzasadniana celowością. „Według doktryny socjalistycznej, celem kary jest, obok represji, poprawa i reedukacja skazanego, nie zaś wyrządzenie mu dolegliwości fizycznej lub poniżenie jego godności" (Mała encyklopedia prawa, PWN 1980). Jerzy Sawicki (LEX), znany kiedyś autorytet i popularyzator wiedzy prawniczej pisał o istnieniu prawie dwustu (!) teorii kary. W książce „Paragrafy i żywi ludzie" znajdujemy cały zbiór artykułów pod znamiennym tytułem „Odwet czy reedukacja?".

I trzeba zdać sobie sprawę z tego, że nie są to rozważania li tylko akademickie. Mają one doniosłe znaczenie dla praktyki. Jeśli celem kary jest odstraszenie reszty „zdrowej" części społeczeństwa, to rzeczywiście „im gorzej (traktowany skazany) — tym lepiej". Jeśli zaś celem jest resocjalizacja skazanego, to trzeba się liczyć z psychologią, socjologią etc., a więc musi prowadzić to do „współodczuwania" ze skazanym. Do tego współodczuwania zobligowani są profesjonaliści — prokuratorzy, obrońcy i sędziowie, a także służba penitencjarna. Za to samo przestępstwo można otrzymać od 8 do 25 lat pozbawienia wolności, lub karę śmierci albo „od roku do 10 lat" (za zabójstwo). Zakład karny daje podkłady do wniosków o przedterminowe zwolnienie ze względu na dobre sprawowanie i rokowanie. Czy „reszta" społeczeństwa (to oczywiście praktycznie całe społeczeństwo), nawet traktująca siebie jako ofiary lub potencjalne ofiary „może nie znajdować miejsca na współczucie względem skazanego"? Chyba nie.

Dla społeczeństwa jako całości najważniejsze jest, aby nie dopuszczać do tworzenia się grup solidarnościowych albo jednostek uważających się za całkowicie straconych (odrzuconych). Wchodzą wówczas w orbitę działania swoistych kodeksów, w których przedstawiciele społeczeństwa „normalnego" traktowani są tylko jako frajerzy, których nie grzech złupić czy pobić. Nadmiernie okazywana nieufność sprzyja konsolidacji takich grup.

Dla jednostek, a zwłaszcza ofiar, dla ich zdrowia psychicznego, najważniejszą sprawą jest rozbudzanie pozytywnych uczuć za wszelką cenę. Bowiem uczucia negatywne rujnują najbardziej ich żywicieli. Już Fr. Bacon (w XVII w.) pisał, że „mściciele żyją życiem czarownic, które jak szkodzą innym, tak też kończą nędznie". Współczesna medycyna, a zwłaszcza psychologia kliniczna i psychiatria dostarcza aż nadto dowodów na nie do pozazdroszczenia los osób, które „nie umieją przebaczać" (choroba nadciśnieniowa, bóle głowy i kręgosłupa, bezsenność) Może dlatego, gdy ogrom zbrodni przechodzi ludzkie pojęcie, bywa że odstępują w ogóle „wymiaru sprawiedliwości", przynajmniej postacie literackie. Tak postąpił Jurand ze Spychowa. A młody pan Nowowiejski, po spełnieniu zemsty na Azji Tuhaj-bejowiczu, nie znalazł konsolacji czyli pociechy, chociaż pan Muszalski usiłował mu przetłumaczyć, że „niepomierna to jest konsolacja grzecznej zemsty dokonać". A zemstę pana Nowowiejskiego można by uważać za karę, gdyby ferował ją trybunał. Wyroki przecież takie wydawano, jak świadczy o tym Józef Putek w „Mrokach średniowiecza".

EUGENIUSZ KŁOBUDZKO

DAWNYCH NAZW ZŁUDNY CZAR

Wielce się oburza Ogaropudlica na fakt zlikwidowania Komunalnej Kasy Oszczędności (KKO) — „firmy przedwojennej znanej z solidności", a powołania nikomu nie znanej PKO („Odgłosy" nr 50/85 — „Co i jak zmieniać").

Nieprawdą jest, że PKO była w Polsce powojennej nikomu nie znaną kasą oszczędnościową. PKO istniała w okresie międzywojennym, a skrót ten oznaczał „POCZTOWA KASA OSZCZĘDNOŚCI" i taka nazwa Kasy istniała do 1948 roku. Hasła propagujące przed wojną oszczędzanie w PKO, głosiły: „PKO — PEWNOŚĆ i ZAUFANIE". Cieszyła się też przedwojenna PKO renomą i popularnością nie mniejszą, a śmiem twierdzić, że większą, niż przedwojenna KKO. PKO była bowiem państwową zbiornicą oszczędności, zaś KKO była kredytową instytucją samorządową. Obydwie Kasy — PKO i KKO zostały restytuowane po wojnie i istniały do roku 1948, kiedy to dekretem z 25 października przekształcono Pocztową Kasę Oszczędności w „Powszechną Kasę Oszczędności", zachowując dotychczasowe brzmienie skrótu „PKO", właśnie z uwagi na tradycyjną renomę i zaufanie jakim PKO cieszyła się u swych klientów. To tradycyjne, sięgające okresu przedwojennego brzmienie skrótu zachowane zostało do dziś, mimo że w wyniku dalszych reform bankowości Powszechna Kasa Oszczędności stała się jednostką organizacyjną Narodowego Banku Polskiego.

Likwidacja KKO dokonana tym samym dekretem z 25.X.1948 r. o reformie bankowej, uzasadniona była zmianami ustrojowymi państwa. Wprowadzony po wojnie system jednolitej władzy państwowej likwidował istniejący w przedwojennej Polsce dualizm organów administracyjnych — państwowych i samorządowych. KKO jako instytucja samorządowa straciła po prostu rację bytu.

Od likwidacji KKO upłynęło już blisko 40 lat i coraz mniej osób pamięta, że instytucja taka istniała.

Z zachowywaniem dawnych nazw przez stare „przedwojenne" firmy, sytuacja także nie jest taka prosta. W ogromnym skrócie ujmując zagadnienie, można powiedzieć, że nazwa firmy, a także jej znak fabryczny był z reguły prawnie zastrzeżony przez właściciela — prywatnego przemysłowca, handlowca itd. Nacjonalizacja przemysłu nie pozwalała na dalsze posługiwanie się upaństwowionego przedsiębiorstwa dawną, „prywatną" nazwą firmy. Były w tej mierze nawet pewne perturbacje. Jest to wszakże inna historia. Wydaje się jednak, że przez okres 40 lat firmy państwowe wypracowały sobie własną markę i renomę i nie ma zbytniego powodu, aby ubolewać, że nie posługują się dawnymi, przedwojennymi szyldami.

PIOTR SIKORSKI

SZAMPAŃSKA ZABAWA DLA DZIECI!

II program TV szumnie zapowiadał, że dla odciążenia Mam, zajętych szykowaniem Wigilii — serwuje dla dzieci 24 grudnia 1985 r. bardzo ciekawy program. Jako że Mama rzeczywiście szykowała Wigilię, ja zaś już wszystko miałem przyszykowane — usiadłem wraz z dzieckiem aby oglądać te zapowiadane wspaniałości. I trafiłem na znaną zresztą audycję „5—10—15" Zas w sekwencji „10" na dwa momenty, dla których usiadłem do maszyny.

Pierwszy: w serialu „Biały delfin", (który zresztą już dawno powinien iść do lamusa) przybyła nowa postać. Chłopak, który się jąka. W pewnej chwili ów „śmieszny" osobnik zaczyna: „-gu-gu-gu..." a inni pytają: „pewno nieprzyzwoite słowo?", lecz zawsze roztropna sroka (mądrzejsza jak się wydaje od wszystkich ludzkich postaci) sprawę wyjaśnia — „góra lodowa!".

Moment drugi: młodzieżowy wiekiem mim-imitator przedstawia scenę polowania na dręczącą go muchę. W końcu mucha wpada mu do ust, potem „artysta" wytrząsa ją ze spodni (?) i po złapaniu odrywa po kolei jedno i drugie skrzydło, rozdeptując obrzydliwe stworzenie butem. Wszystkiemu temu przyglądają się zgromadzone w studio dzieci no i śmieją się, nieco głupawo. Ale je rozumiem: skoro dostąpiły zaszczytu zaproszenia do udziału w tak szampańskiej zabawie i artysta coś tam pokazuje — to należy się śmiać!

I tak sobie myślę, czy jeszcze dzieci nie napotkają w TV programów, w których mentorskim tonem będzie się je pouczać, że wyśmiewanie się z upośledzonych kolegów, to jest „be", a zwierzątka trzeba lubić a nie prześladować.

WAF.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Kto przebije Wuja Sama?

(Korespondencja z Kuby)

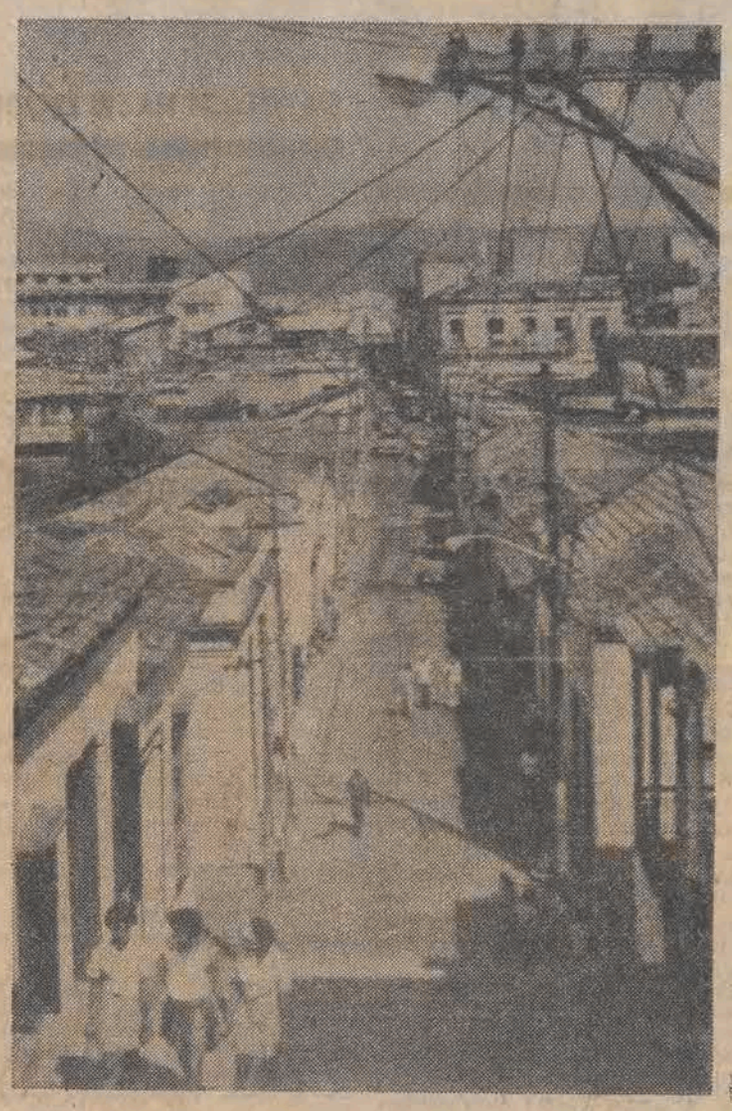

1.

Kubańskiemu wiceministrowi kultury, skądinąd zasłużonemu twórcy filmowemu, w którego gestii znajduje się kinematografia, Julio Garcii Espinosie powiedziałem mniej więcej tak. Może trochę przesadziłem, ale taka była moja intencja.

Tylko głupcy lekceważą kulturę i tylko nierozsądne narody czynią na niej oszczędności. Czego by nie powiedzieć o Amerykanach (USA), nigdy nie byli pod tym względem skąpi i nigdy nie brakło im zdolności dalekowzrocznego myślenia, dzięki czemu mają dzisiaj powodzenie w świecie.

Nie przemysł, nie technika, nie wojny gwiezdne, nie handel, i nie sport (bo co to w ogóle za sport, który nie osiągnął znacznych sukcesów w piłce nożnej?), sprawił, że miliony młodych ludzi z krajów rozwiniętych, rozwijających się i nie tylko, wzdychają od rana do wieczora za amerykańskim rajem, który mimo wszystkich swoich niedostatków bardziej przemawia do ich wyobraźni niż jakiekolwiek wzniosłe idee. Sprawia to natomiast amerykańska kultura w najszerszym tego słowa znaczeniu, a więc również subkultura: moda i styl życia.

Mówiłem dalej.

Człowiek różnych wyznań i różnej karnacji szuka w kinach amerykańskich filmów ze szczególnym uwzględnieniem pozycji, w których jankesi celują, a celują w westernie, kryminale, sensacji, horrorze, melodramacie, tragedii, w wodewilu, w fikcji naukowej i czymś jeszcze. Człowiek poluje w telewizji na amerykańskie programy rozrywkowe, a jeśli ma do wyboru japoński serial samurajski lub Szoguna Made in USA, to wybiera ten ostatni.

Człowiek, chce czy nie chce, słucha amerykańskiej muzyki — jazzu, który zawojował wszystkie kontynenty, beatu, który wcisnął się do sal koncertowych i amerykańskich melodii ludowych. To samo tańczy w dyskotekach i to samo śpiewa.

Przy całym swoim przywiązaniu do europejskiej literatury, człowiek sięga chętnie w księgarniach i bibliotekach po dzieła amerykańskich autorów, którzy nie cieszą się wprawdzie wśród elity intelektualnej świata nadmiernym uznaniem, ale biją za to wszelkie rekordy powodzenia i wszyscy chętnie ich naśladują.

Sfera kultury, aczkolwiek nie ma takiego zamiaru, wpływa wybitnie na sferę subkultury; ludzie obserwują bacznie amerykańskie zwyczaje i obyczaje, krzewione przez amerykańską literaturę i sztukę, i oto cały świat żuje gumę — tę zwykłą i tę balonową, cały świat uczy się spluwać przez zęby i kląć kącikiem ust po amerykańsku. Cały świat pija coca-colę z lodem albo przez słomkę, chodzi w dżinsie, a kto nie ma dżinsowej kurtki na grzbiecie i dżinsowych spodni na biodrach, ten jest zero.

Wszechobecne hasło: LET'S GO WEST jest w gruncie rzeczy hasłem: LET'S GO USA. Jazda! Naprzód, Amerykanie! Świat was kocha. Świat was podziwia. Świat wam zazdrości. Inne kraje i narody są po to, aby naśladować wspaniałych, amerykańskich sunny boys i wspaniałe amerykańskie sunny girls o sterczącym biuście, jasnych włosach i piegach na nosie.

2.

To mniej więcej powiedziałem Julio Garcii Espinosie, kubańskiemu wiceministrowi kultury. I dodałem:

— Przecież trudno przekreślić lub odrzucić dokonania amerykańskiej kultury. Rząd, który zacznie zwalczać, dajmy na to, jazz, beat, western albo powieści Steinbecka, zaszkodzi samemu sobie. A amerykańska sztuka zdobędzie w podziemiu nowych zwolenników. Ale trzeba również szukać dla ekspansji amerykańskiej kultury jakiejś silnej, powszechnej, zdecydowanie atrakcyjnej alternatywy, będącej w stanie zachwycić świat. Nie jest to oczywiście łatwe: trudno wymyślić na poczekaniu nowy rodzaj muzyki młodzieżowej albo nowy gatunek filmowy, który nie byłby naśladownictwem dotychczasowych wzorów. Ośmielam się jednak twierdzić, że w wypadku Ameryki Łacińskiej jest to możliwe. Ba! Ameryka Łacińska stać, aby przeciwstawić wielkiej północnej amerykańskiej literaturze swoją własną, znakomitą wizję literacką, nie mówiąc już o malarstwie i architekturze.

I jeszcze jedno: Sądzę, że gdyby jakiś kraj zdołał narzucić światu nowy rodzaj tkaniny, nową modę i nowy atrakcyjny krój zaakceptowany przez młodzież wszystkich kontynentów, (choćby takie argentyńskie poncho) i dodał do tego serię nowych nieszkodliwych a efektownych używek do picia i ssania, zdobyłby sobie większy autorytet i rozgłos niż dzięki jakiejkolwiek misji dyplomatycznej lub handlowej. Ubolewać należy, że nikt tego jakoś nie rozumie.

Minister Espinosa skinął głową, a potem zaczął mówić i spotkanie, które miało trwać piętnaście minut, przerodziło się w dwugodzinną dyskusję.

3.

— *Ma pan niewątpliwie rację — powiedział — twierdząc, że Stany Zjednoczone narzuciły światu swoją kulturę pewien osobliwy styl życia, i że przydałaby się w tym zakresie jakaś silna alternatywa. Kuby dotyczy to jednak w minimalnym stopniu, jako że w każdym przypadku i na każdą okoliczność posiadamy własną, narodową wersję twórczości wystarczająco atrakcyjną, aby konkurować z ekspansją USA.*

Udowodnię to po kolei:

Otóż są na świecie tylko trzy kraje, które wykształciły w ciągu lat pewien rodzaj muzyki i pewien rodzaj tańca kolektywnego, który sam w sobie jest radością. Mowa o amerykańskim jazzie, brazylijskiej sambie i kubańskiej koudze. Widział pan kougę?

— Owszem.

— *Gdzie?*

— W Hawanie na platformie samochodów. Jakaś fabryka wykonała dwa miesiące przed terminem roczny plan produkcji, więc aby to uczcić, ciężarówki wyjeżdżały na ulice z roztańczoną młodzieżą.

— *Ano widzi pan! Nie tańczyli samby tylko kougę, którą mają we krwi. Nie do pomyślenia jest podobnie, żeby w trakcie karnawału w Rio de Janeiro Brazylijczycy zaczęli tańczyć nagle zamiast samby jazz, który z kolei będzie obowiązywał Amerykanów w Nowym Orleanie. Każdy z owych tańców i owych trzech stylów muzycznych posiada ludowy rodowód i jest po prostu niewymienialny, bo wymienić go na jakąkolwiek modę byłoby równoznaczne z samobójstwem. Proszę przyjrzeć się uważnie Kubańczykom; w autobusach, w kolejkach do sklepu czy do kina, w pracy albo w chwilach wypoczynku, Kubańczycy żyją po prostu w rytm kougi i tańczą nawet wtedy, kiedy nie tańczą.*

— Zgoda.

— *Panu trudno to zrozumieć.*

— Rozumiem.

Pomyślałem o ludziach, którzy obsługują windę w hotelu „Lincoln", o barmanach, którzy tkwią chwilowo bezczynnie za barem — ich ręce, stare i młode, wystukują bezgłośnie skomplikowane kubańskie takty. Nogi statecznych kobiet na przystankach poruszają się w takt niesłyszalnej muzyki. Tak demonstrują radość, gniew, zniecierpliwienie, troskę.

— *Kouga jest lepikiem narodu* — powiedział Julio Garcia Pinosa.

— Takim jak język?

— *Si. Takim jak język hiszpański w odniesieniu do całej Ameryki Łacińskiej, która poprzekładana jest niby granicami, ale są to jedynie granice polityczne albo granice umowne.*

4.

Historia dowodzi, że na kontynencie łacińskim możliwe jest to, co niemożliwe jest na przykład w Europie. Simon Bolivar, ojciec południowo-amerykańskich ruchów powstańczych, burzył granice i całe życie marzył o zjednoczeniu wszystkich narodów posługujących się językiem hiszpańskim na drugiej półkuli. Bezpośrednio przyczynił się do powstania pięciu niepodległych państw: Wenezueli, Kolumbii, Ekwadoru, Panamy i Peru. W 1819 r. Simon Bolivar został pierwszym prezydentem Kolumbii, zaś w 1825 roku został prezydentem kraju, który nazywał się Republika de Bolivar czyli Boliwia, a który wziął nazwę od jego imienia. Wspierał walki wyzwoleńcze w Argentynie, Urugwaju i w Chile. Był Napoleonem Ameryki w tym sensie, że ten pierwszy chciał podobno zjednoczyć Europę — temu drugiemu jednakże misja jednoczenia Hiszpanoamerykanów udała się w dużo większym stopniu.

Simon Bolivar był i jest wzorem dla wszystkich wielkich rewolucjonistów latynoamerykańskich. Życiorysy Raula i Fidela Castro, Che Guevary, Fonseci, a wcześniej takiego na przykład Jose Marti czy Augusta Cezara Sandino do złudzenia przypominają wielkie losy Wenezuelczyka. Nieustanna walka, emigracja, ucieczki, sekretne powroty, konspiracja i działalność w podziemiu, nade wszystko zaś wizja niezawisłego, solidarnego, związanego przyjaźnią i wspólną racją stanu kontynentu, który mógłby przeciwstawić się kolonizmowi z północy — powtarzają się w każdym z nich jak refren.

Powtarza się także sceneria — statki rebeliantów krążące pomiędzy wyspami karaibskimi, albo posuwające się wzdłuż amerykańskiego wybrzeża w oczekiwaniu na stosowny moment. Powtarzają się słowa Che Guevara mawiał i pisywał do swoich kubańskich towarzyszy broni:

— *Hasta la victoria siempre!*

— zawsze aż do zwycięstwa.

Była to trawestacja słów Bolivara:

— *Andar hasta wencier! Marsz aż do zwycięstwa!*

Ameryka Łacińska jest kontynentem trudnym i zróżnicowanym politycznie, ale poszczególne jej kraje łączy wspólny język, wspólne dziedzictwo kulturalne i świadomość wspólnego losu. Udowodnili to właśnie rewolucjoniści z Simonem Bolivarem na czele, dzięki czemu można powiedzieć, że mimo licznych klęsk żadna amerykańska rewolucja nie była przegrana.

5.

Polak jest zdumiony wagą, jaką przykłada się tutaj do kultury i świadomości, jak wiele od niej zależy. Taniec i muzyka ludowa, rzecz gdzie indziej błaha, urasta na Kubie do rangi problemu najwyższej wagi. Tak jak są robocze niedziele, tak każda sobota jest dniem wypoczynku i rumby (sabado dé rumba). Na ulicach, skwerach, w muzeach i świetlicach huczą bębny, zawodzą saksofony i trąbki, a tłum albo śpiewa, albo pląsa i jest szczęśliwy.

— *Pan wspomniał o dominacji amerykańskiego jazzu* — ciągnie wiceminister Espinosa — *Proszę jednak zauważyć, jak wiele zawdzięcza on rytmom środkowo- i południowoamerykańskim oraz kubańskiej, brazylijskiej i argentyńskiej melodyce. Tango w równym stopniu podbiło Nowy Jork, jak fokstrot Buenos Aires. Jest więc muzyczna alternatywa. Ale pomówmy teraz o filmach.*

— Właśnie.

— *Widział pan, jakie kolejki są przed kinami w Hawanie? Myślę o naszych rodzinnych, kubańskich obrazach, o takiej na przykład komedii „Una noria para David".*

— Tłok — przyznałem.

— *Większy niż na jakiejkolwiek komedii francuskiej czy amerykańskiej. I nie jest to wyjątek. Społeczeństwo przychodzi tłumnie na każdy kubański film, możemy więc powiedzieć, że widownia udziela nam finansowego i moralnego wsparcia, że ma do nas zaufanie.*

— Którego nie wolno zawieść.

— W żadnym wypadku! *Chciałbym w ogóle zorientować pana w historii i specyfice naszej kinematografii, a dopiero później ustosunkować się do pańskiej hipotezy o ekspansji filmów północnoamerykańskich. Otóż, najkrócej mówiąc historia kubańskiego filmu zaczęła się jeszcze w ubiegłym wieku.*

C.D.N.

Praha

TOMASZ ZARZYCKI

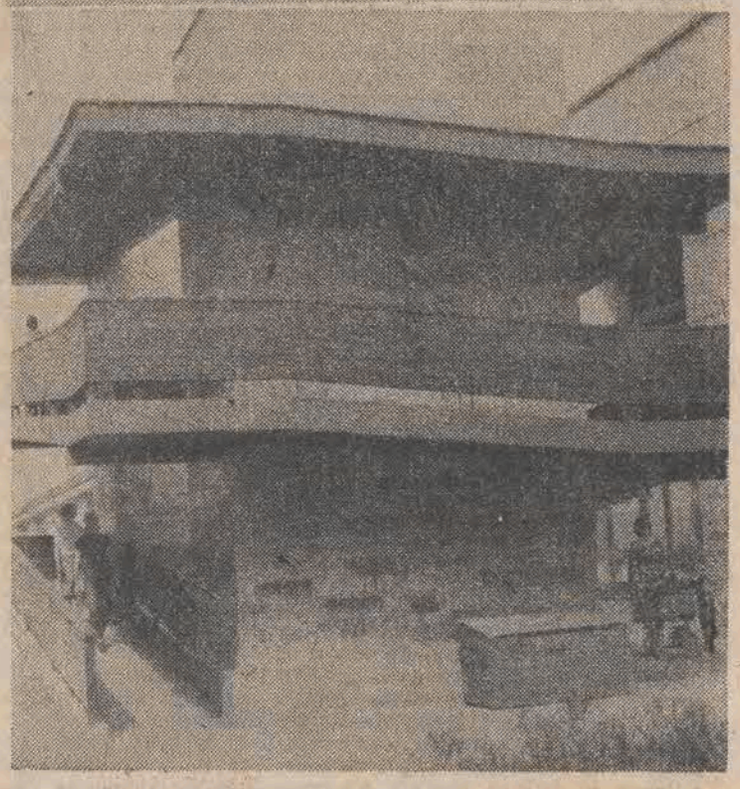

NIE BĘDZIE TO RELACJA Z SALI SĄDOWEJ

bowiem nie o tanią sensację mi chodzi: zamierzam jedynie zwrócić uwagę na tę niezwykle bulwersującą, a tak okrutną działalność przestępczą. Od czasu do czasu czytamy w prasie codziennej, że złapano gwałciciela, zlikwidowano szajkę gwałcicieli lub został ujęty kolejny „wampir". Tego rodzaju doniesienia budzą dreszczyk emocji u czytających i bodaj na chwilę pozwalają im żyć w przekonaniu, że ich żony, córki czy siostry mogą spokojnie chodzić po ulicach. Ujęcie gwałciciela czy zatrzymanie „wampira" nie likwiduje problemu. Milionowe miasto, jakim wkrótce stanie się Łódź, jak każda wielka metropolia ma swój, wcale nie tak mały, margines, z którego wywodzą się owi zboczeńcy posługujący się nożami, pięścią czy metalową rurką owiniętą w gazetę. Ostatnio w dzielnicy Bałuty zatrzymano kolejnego „wampira", który kroił brzytwą pośladki kobiece. Szaleniec? Zapewne, choć o jego stanie psychicznym wypowiedzą się naukowcy — specjaliści i wówczas zapadnie decyzja czy faceta skazać na odsiadkę czy zamknąć w szpitalu dla psychicznie chorych.

Na dobrą sprawę, czyż nie jest chory ten, kto gwałtem stara się zaspokoić swoje popędy płciowe? I to w sytuacji, kiedy wcale nie trzeba wielkich wysiłków i zabiegów, by znaleźć partnerkę, która ochoczo i dobrowolnie zgodzi się dzielić z mężczyzną nie tylko jego pieniądze, ale i łoże?

Tak więc mamy „wampira" z Bałut, z największej dzielnicy Łodzi, która w przeszłości słynęła z wielkich cwaniaków, odważnych złodziei, wyrafinowanych morderców. Ale wydawałoby się, że odeszli oni w przeszłość wraz z tamtymi Bałutami, o których dziś śpiewa się jedynie w piosenkach podwórkowych. Niestety,

EUGENIUSZ IWANICKI

Lubieżnicy

zła tradycja pozostała. W Prokuraturze Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Bałuty udostępniono mi do wglądu akta dotyczące roku 1985, a traktujące właśnie o „czynach lubieżnych". Jest tego sporo. Podejrzewam, że w innych dzielnicach jest podobnie. A więc czy tego typu przestępstwa wykazują tendencję zwyżkową? Czy są to jedynie sporadyczne przypadki? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć słowami ludzi najbardziej kompetentnych, bo Prokuratora Rejonowego dla Dzielnicy Łódź-Bałuty ZDZISŁAWA PAWŁOWSKIEGO i jego zastępcy ARKADIUSZA DYNOWSKIEGO.

TERAZ O PRZESTĘPSTWACH

Oto 3 stycznia 1985 r. zgłosiła się do DUSW Łódź-Bałuty dziewczyna, nazwijmy ją Agnieszka A. i powiedziała, że na ulicy Limanowskiego 23 trzej mężczyźni kazali się jej rozebrać, a potem dokonano na niej gwałtu. Przy tym została poturbowana. Do tego w ubikacji. Zaraz jednak pojawiła się Monika O. i oświadczyła, że to ona tak urządziła tę ździrę, bo przyłapała ją z mężem w ubikacji na korytarzu i do tego gołą.

Od razu więc mamy dwie relacje, potem dochodzi jeszcze trzecia, opowiedziana przez męża Moniki O. Agnieszka A. twierdzi, że u zbiegu Zachodniej i Limanowskiego zaczepiło ją trzech mężczyzn i zapytali czy nie wypiłaby. Owszem, ale ma tylko stówkę. Wzięli. Potem wprowadzili ją na klatkę schodową, na II piętro, do ubikacji. Jeden dał jej po buzi, by wiedziała, że są ludźmi poważnymi i mają poważne zamiary. Kazali się jej rozebrać. Jeden z nich próbował odbyć z nią stosunek piciowy, ale mu się to nie udało, bo ciągle się kręciła i broniła jak mogła. W tym czasie ktoś zaczął się dobijać, a po otwarciu drzwi okazało się, że to właśnie żona Jarosława O., która od razu zaczęła okładać Agnieszkę A. pięściami Następnie zaprowadziła na milicję.

Zatrzymany Jarosław O., rocznik 1965, niepracujący, mający żonę i dziecko i utrzymujący się nie wiadomo z czego, przedstawił swoją wersję zdarzenia. Otóż tego dnia wraz z żoną Moniką przyjechał do swego ojca na ulicę Limanowskiego 25. Ale się nudził, więc wyszedł na ulicę i tu spotkał kolegów. Wypili butelkę wina, bo koledzy byli w towarzystwie jakiejś dziewczyny. Potem poszli do ubikacji i powiedzieli, by dziewczyna się rozebrała. Ona się rozebrała bez protestu. Ale koledzy nagle wyszli, a on został sam z nagą nieznajomą. W tym momencie weszła jego żona. On, Jarosław O., wcale nie próbował odbyć z tą dziewczyną stosunku, nawet jej nie dotknął. Ale kobiety są zawsze podejrzliwe, więc żona się wnerwiła i dała tej nieznajomej po buzi, potem zaprowadziła ją na milicję.

Zmienił jednak zeznanie i zaczął twierdzić, że idąc na piętro zobaczył w ubikacji dwóch swoich kolegów i jakąś golaskę.

— Co wy tu robicie, mnie wszyscy tu znają! — miał zawołać i kazał się dziewczynie ubrać. Ale nagle zjawiła się jego żona i dalej wszystko było tak jak w protokole.

Oględziny lekarskie stwierdziły, że Agnieszka A. jest dziewicą. Jest uczennicą klasy II ZSZ.

A oto inna sprawa: 1 lutego 1985 r. około 10.00 rano do mieszkania, gdzie znajdowała się 11-letnia Maria Z. przyszedł kolega jej brata Dariusz S. Maria Z. była sama. Dariusz S. zmusił ją do wypicia niewielkiej ilości alkoholu, po czym wciągnął dziewczynkę do łazienki... Kiedy zaczęła krzyczeć, przestraszył się i uciekł. Dariusz S. ma lat 19 i jest uczniem klasy trzeciej ZSZ.

Trzeci przykład: Piotr K. rocznik 1961, kawaler, pracownik Łódzkich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil" 21 kwietnia 1985 r. pił wódkę razem z trzema koleżankami z pracy. Była godzina dość późna, bo prawie 22.00. Najpierw pół litra, potem następne pół. Wkrótce dwie panie powlokły się do domów, a Piotr K. został z trzecią, nazwijmy ją Haliną S. Według opinii koleżanek Halina S. była „bardzo pijana". Piotr K. ma lat 24, Halina S. 30. On kawaler, wykształcenie podstawowe, ona mężatka. Pracowali razem i Piotr K. twierdzi, że bez pamięci i bez wzajemności kochał Halinę S. od dawna, od pierwszego jej spotkania. Teraz szli zataczając się w kierunku ulicy Aleksandrowskiej. W pewnym momencie Piotr K. objął Halinę S. i zaczął ją całować. Ona go odpychała. Wtedy ją przewrócił, wybił dwa przednie zęby, zakrył usta ręką. Drugą pościągał z niej bieliznę... Ale Halina S. nadal broniła się i zaczęła krzyczeć. To wyprowadziło Piotra K. z równowagi. Wyjął scyzoryk i zadał nim kilkakrotnie ciosy. Halina S. długo leżała w krzakach i jęczała. Znalazł ją przygodny przechodzień.

Kolejne zdarzenie: gwałt zbiorowy. 4 lipca 1985 r. Janina B. powiadomiła milicję, że przez trzy dni była gwałcona przez trzech mężczyzn w mieszkaniu niejakiej Jolanty B. na jednej z bałuckich ulic. A było to tak: 28 czerwca 1985 spotkała się ze swoimi koleżankami Honoratą G. i Anną K. Ta ostatnia poprosiła, by Janina B. odebrała jej zegarek od zegarmistrza i w tym celu wręczyła jej 1.000 zł. Janina B. pojechała więc na ulicę Rydzową i zegarek odebrała Ale doszedł do niej Ryszard M., zaciągnął między bloki, zabrał zegarek a z torebki 1.000 zł i dla pewności strzelił w buzię Potem zaciągnął ze sobą na przystanek przy Traktorowej. Tu spotkali Sławomira K. i kupili wódkę. Wkrótce dołączyło jeszcze trzech kumpli.

Sławomir K. i Ryszard M. pojechali do mieszkania ciotki Sławomira K. — Jolanty B. Po drodze kupili kolejną butelkę wódki. W mieszkaniu ciotki zastali Tomasza P. Zrobiło się wesoło. Pili, tańczyli, śpiewali. Był z nimi syn Jolanty B., 7-letni Arkadiusz. W pewnej chwili Tomasz P. zaciągnął Janinę B. do drugiego pokoju i przewróciwszy na kozetkę zmusił do odbycia z nim stosunku płciowego. Potem kolejno gwałcili ją Ryszard M. i Sławomir K. Zagrozili też, że jeśli tylko spróbuje uciekać, to ją pokroją żyletką na plasterki. Dla pewności podarli na niej ubranie. Obecna w mieszkaniu Jolanta B. przyjmowała to jako coś całkiem naturalnego.

Zabawa właściwie, mimo upływu czasu — a był to już trzeci dzień — wcale nie zamierała, a wręcz przeciwnie. Jolanta B. w pewnej chwili postanowiła uświadomić swojego syna, 7-letniego Arkadiusza. Przyprowadziła go i kazała aby po kolei demonstrowali sprawność seksualną na Janinie B. Chłopiec przestraszył się nie na żarty i uciekł z krzykiem.

Po trzech dniach Janinie B. udało się jednak uciec. Stało się to w momencie, gdy wszyscy wyprawili się po wódkę, bo nie było już co pić. Uciekła do swojej przyjaciółki i tam przez kolejne trzy dni siedziała cichutko, bojąc się zemsty.

W tej sprawie są niezbędne pewne wyjaśnienia: otóż Tomasz P., rocznik 1959, już siedział trzy lata w kryminale, a po wyjściu nie podjął żadnej pracy Ryszard M., rocznik 1956, także ma za sobą dwa lata więziennego stażu i także nie pracuje. Sławomir K., rocznik 1963, niepracujący, rozwodnik, mający dwoje dzieci.

Kolejny gwałt: 16 sierpnia 1985 r. około godziny 16.00 do swojego domu na Bałutach wróciła Zofia L. Niestety, klucz nie obracał się w zamku, pewnie coś się zepsuło. Zofia L. zapukała więc do sąsiada, Wojciecha N., kawalera, pracującego jako magazynier w Zakładach Artykułów Technicznych. Pamiętała bowiem piosenkę, w której się mówiło, jak to dobrze mieć sąsiada, co to zawsze pomoże i wyciągnie z największej biedy. Wojciech N. owszem, był chętny, ale zamiast wyciągnąć ją z jej biedy, wciągnął Zofię L. do swojego mieszkania i zatkawszy dłonią jej usta, przewrócił na tapczan każąc jej rozbierać się i to szybko. Tu przygroził, jak to w takich przypadkach trzeba. Ale Zofia L. nie usłuchała. Tego już było dla Wojciecha N. za wiele. Szybko i bez ceregieli zdarł z niej ubranie.I choć, jak twierdzi, broniła się jak tylko umiała, zgwalcił ją.

Zofia L. była dziewicą, co zapewne zaskoczyło Wojciecha N. W śledztwie uparcie twierdził, że to Zofia L. była inicjatorką tego wszystkiego, że sama go do tego namówiła, a teraz mści się.

I na zakończenie jeszcze jedna sprawa z tego rejestru. Oto w końcu listopada 1985 r. na ulicy w środku Łodzi, do pani doktor Karoliny T. podszedł niepozorny, młody człowiek i odsłaniając poły płaszcza wystawił do jej oceny swoją męskość. Jednocześnie zapewniał kobietę, że mimo, iż natura poskąpiła mu wzrostu, to przecież nie zapomniała o rekompensacie, którą właśnie demonstruje. Ona z kolei, pewnie w zdenerwowaniu, odezwała się do kurdupla słowem publicznym. Ale Jan W. nie dał się odstraszyć. Nadal proponował Karolinie T. swoje usługi.

I tak przekomarzając się dotarli do domu, w którym mieszkała pani doktor. Tu jej z pomocą pośpieszył ojciec i sąsiedzi. Ujęty Jan W. znalazł się w gmachu organów ścigania. Teraz czeka na rozprawę.

KILKA REFLEKSJI

Przypatrzmy się teraz tym przestępstwom nie oddzielając ich od całej otaczającej ję otoczki, to znaczy nie wyrywając z warunków, w jakich zostały dokonane.

Więc po pierwsze: alkohol. We wszystkich przytoczonych przypadkach alkohol był swego rodzaju katalizatorem. Pod jego wpływem lubieżnicy czy gwałciciele dokonywali swoich nagannych czynów. Wiadomo, że w Polsce niczego „bez wódki nie rozbieriosz", toteż picie stanowi nieodłączny atrybut większości przestępstw w ogóle, a jeśli chodzi o czyny lubieżne i czyny nierządne jest niemal warunkiem koniecznym.

Po drugie: z reguły przestępstwa tego typu zdarzają się wśród ludzi o niskiej kulturze, często nigdzie niepracujących, niekiedy będących w przeszłości w konflikcie z prawem. Piszę opierając się na przytoczone wyżej przykłady, które są najlepszą tego ilustracją.

Po trzecie: w większości są to ludzie młodzi, których życie dopiero się zaczyna, którzy znaleźli się zaledwie na starcie do swego najtrudniejszego maratonu, jakim jest byt na tym najpiękniejszym ze światów. Niektórzy z nich przegrywają już w przedbiegach, trafiają do więzienia zaledwie się opierzywszy. I tam otrzymują edukację, jakiej nie może zagwarantować im żadna normalna szkoła.

Po czwarte: w większości są to osobnicy pozbawieni wyobraźni, działający nakazem chwili, nie zastanawiający się nad konsekwencją swojego czynu. Najtrudniejszą ze sztuk — powiedział ktoś — jest sztuka przewidywania. Niestety, ci ludzie są pozbawieni tej szlachetnej umiejętności.

I wreszcie po piąte: człowiek, który doznaje rozkoszy jedynie wtedy, gdy zadaje ból drugiemu człowiekowi, jest osobnikiem o skrzywionej psychice.

Nasze prawo stanowi: **Art. 168 paragraf 1. Kto przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem doprowadza inną osobę do poddania się czynowi nierządnemu lub do wykonania takiego czynu, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10. paragraf 2. Jeżeli sprawca działa ze szczególnym okrucieństwem albo dopuszcza się zgwałcenia wspólnie z innymi osobami podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 3.**

Tu należy wyjaśnić, co to jest **„czyn nierządny". Otóż „Pojęcie czynu nierządnego obejmuje zarówno normalny akt spółkowania jak i inne czyny mające na celu zaspokojenie popędu płciowego lub podniecenie pobudliwości w zetknięciu z ciałem innej osoby (np. dotykanie organów płciowych)".**

W rozmowie z Prokuratorem Rejonowym dla Dzielnicy Łódź — Bałuty ZDZISŁAWEM PAWŁOWSKIM oraz z jego zastępcą ARKADIUSZEM DYNOWSKIM dowiedziałem się, że jeśli czyn lubieżny lub czyn nierządny został popełniony na osobie, która nie ukończyła jeszcze 15 lat, prokurator wszczyna postępowanie z urzędu bez względu na to, czy o czynie złożono zgłoszenie czy też nie. I nie jest tu ważne, czy to była przemoc, czy poszkodowana sama była stroną proponującą. W tej sytuacji osoba dorosła uczestnicząca w akcie płciowym ponosi całkowitą odpowiedzialność.

Zupełnie inaczej prawo traktuje osoby mające ukończony 15 rok życia. Jeśli za zgodą obojga partnerów odbywają się między nimi kontakty płciowe, jest to już ich sprawa prywatna i organom ścigania nic do tego. Prokurator wkracza jedynie wówczas, gdy zostanie złożony wniosek, że wobec osoby niepełnoletniej (tzn. po ukończeniu 15 roku życia a przed osiągnięciem 18 roku) została zastosowana przemoc, podstęp lub poddano ją czynowi nierządnemu doprowadzając ją do stanu nieprzytomności. Taki wniosek mogą złożyć rodzice pokrzywdzonej lub jej prawni opiekunowie. To jest podstawowy warunek do wszczęcia dochodzenia.

Obaj prokuratorzy byli zgodni, **że nie wszystkie** tego typu przestępstwa trafiają do organów ścigania. Trzeba przecież brać pod uwagę fakt, iż ni ' nie żyje w izolacji i ujawnienie zgwałcenia nie jest niczym chwalebnym ani nie przynosi zaszczytu. Ludzie boją się także samej procedury dochodzeniowej, to znaczy przeraża ich rozmowa w prokuraturze, sama rozprawa sądowa, w której uczestniczy spora grupa osób, choć z reguły odbywa się to przy drzwiach zamkniętych. Stało się nieszczęście, trudno, ale po co rozgłos. Chyba, że poszkodowana zaszła w ciążę i trzeba z prokuratury uzyskać zezwolenie na usunięcie niechcianego płodu. Dlatego też na moje pytanie, czy tego rodzaju przestępczość na Bałutach wykazuje tendencję zwyżkową, uzyskałem odpowiedź, że statystycznie tak. Otóż w roku 1984 takich przypadków zarejestrowano 10, a już w 1985 r. aż 17. Są to wszystko przypadki zgłoszone. A ile było nie zgłoszonych.?

Przystępując do pisania niniejszego tekstu nie zamierzałem nikogo straszyć. Jednakże nie można udawać, że nic się takiego nie dzieje, i że miasto jest oazą spokoju. Czujność na pewno nikomu jeszcze nie zaszkodziła, a wielu oszczędziła rozczarowań i uchroniła ich od tragedii. Więc bądźmy czujni.

■

Stać w bramie

Bramy są różne: ciężkie kute, żelazne, niejednokrotnie bogato zdobione i proste, drewniane, sklecone z kilkunastu desek. Ba, sam otwór w murze prowadzący na podwórze, też nosi dumną nazwę bramy

Dziś sporo bram pozostało, choć rzadko są zamykane na noc, niejednokrotnie mocno zdewastowane, to jednak stanowią dla ludzi mieszkających w budynkach z nimi ważny element ich życia. Widzimy często stojącę w bramach grupki ludzi. Stoją bez względu na porę roku i porę dnia. Stoją młodzi i starzy, prawie zawsze mężczyźni. Stoją typy spod ciemnej gwiazdy i spokojni, szanowani ludzie.

Po co tak stoją?

Rano męczeni kacem ciągną się do swoich bram, omówić z kolesiami przebieg kolejnego pasożytniczego dnia. Postoją trochę, polażą od bramy do bramy. Po 13.00 najukochańszej ich godzinie strzelą w bramie kilka jaboli, poprawią czymś mocniejszym. Prześpią się trochę, powłóczą po mieście, a czasem w pijackim widzie nawet popracują. Gdy się ściemni znów zajmą posterunki w swoich bramach.

Spędzają w bramach niejednokrotnie całe dni także ludzie spokojni, nie mający nic wspólnego z nierobami i chuliganami. Stoją często samotnie, czasem z kolegami, rozmawiają, idą do domów i po chwili wracają. Co ich tak ciągnie do tych bram, do widoku zasmrodzonej spalinami ulicy. Dlaczego w nich godzinami stoją?

W jednej z bram stał samotny, starszy mężczyzna. Palił papierosa i wpatrywał się nieruchomo w okna kamienicy stojącej po drugiej stronie ulicy. Podszedłem do niego.

— Ma pan zapałki?

Spojrzał na mnie jak na intruza i podsunął mi pod nos zapalonego papierosa.

— Odpal se pan od mojego.

— Dziękuję. Straszne kołki teraz robią.

On stał niewzruszony, mając najwyraźniej dość mojego towarzystwa.

— Długo pan tu stoi?

Odwrócił się. Twarz miał poraną licznymi zmarszczkami, a ręce spracowane od ciężkiej fizycznej roboty. W jego oczach zauważyłem zdziwienie.

— Po co pan mnie o to pytasz? Kogo to może obchodzić? To moja sprawa.

— Mnie to interesuje.

— Pewnie pan z prasy, że taki dociekliwy.

— Zgadł pan. Więc jak odpowie mi pan na to i na kilka innych pytań.

Starszy mężczyzna dopalał spokojnie papierosa.

— Powiem panu. Czemu miałbym nie powiedzieć. I tak nie mam dzisiaj do kogo gęby otworzyć. Stoję w tej bramie już kilkadziesiąt lat. Jeszcze przed wojną stałem. Nie sam tak jak dzisiaj, tylko z kolegami, ba nawet z rodzinami się stało. Większość już nie żyje. Kiedyś to panie była brama, piękna brama, nie to, co teraz. To już jest rudera, ale mocna jeszcze. Dbam o nią. Wiele razy własnymi rękoma ją naprawiałem. Przed wojną to kwitło w bramach życie towarzyskie. Spotykały się całe rodziny. Wie pan, w domu ciasno, dzieciaków kupa, to wychodziło się przed bramę porozmawiać z sąsiadami o robocie i w ogóle o życiu. W niedzielę człowiek wkładał białą, świeżą koszulę, odświętny garnitur i rano już był w bramie. Później szło się razem do kościoła, na spacer, na piwko.

— Było to sympatyczne, ale przeminęło.

— No, nie tak szybko. Jeszcze parę ładnych lat po wojnie spotykaliśmy się w bramie, Wie pan, byliśmy bardzo ze sobą zżyci. Przyjaźniliśmy się z sąsiednimi bramami. Chodziliśmy w odwiedziny nie do domów oczywiście, tylko z bramy do bramy. Owszem były i takie bramy, których nie lubiliśmy i z takimi kontaktów się nie utrzymywało. My im nie wchodziliśmy w paradę i oni nam też nie. Czasem jakiś intruz, który chciał na siłę wtargnąć na nasz teren, to i oberwał, bo wie pan ludzie są różni, spokojni i agresywni, ale swojego bronią jednakowo i jedni i drudzy. Później przyszły inne czasy, ludzie się powyprowadzali, poumierali, młodzi mieli ciekawsze zajęcia od nas, gdy byliśmy w ich wieku.

— Ale przecież i dziś spotyka się młodych, stojących w bramach?

— Owszem stoją, ale to są panie męty, szumowiny, tałatajstwo cholera takie. Nieroby, ciągle pijane, szukają tylko zaczepki i parę groszy na wódę. Rzyga to w tę swoją bramę i tylko psuje nam spokojnym ludziom opinię. Panie jak ja widzę tę bandę w mojej bramie, to płakać mi się chce. Nie stoję z nimi. Idę do domu i wspominam sobie jak to było kiedyś. Taka łachudra nie miałaby prawa stanąć z nami w jednej bramie.

— To znaczy, że kiedyś były same aniołki?

— No, nie, łobuzów też nie brakowało. Były takie ulice na Bałutach, że obcy tam nie miał czego szukać. Ale wie pan, to były inne łobuzy, mieli swój honor, jakiś tam charakter. Swojego nie ruszyli. A dzisiaj to im wszystko jedno, nawet mnie by pobili za parę złotych.

— Dlaczego więc pan stoi jeszcze w tej bramie?

— Wie pan, przyzwyczaiłem się do tego. Lubię patrzeć, co się dzieje na mojej ulicy, obserwować ludzi. Stoję tyle lat i widzę jak się wokół wszystko zmienia. A poza tym, to wie pan jak to jest, żona w domu gdera, w telewizji nic ciekawego, to wolę tu postać, spotkać się z tymi, którzy mieszkają tu tak jak ja ładnych parę lat i pamiętają te dobre czasy.

— Chciałby pan mieszkać w blokach?

— Nie, nigdy. Przecież w blokach nie ma bram.

WITOLD LEWANDOWSKI

■

JACK KEROUAC

W drodze

(3)

(fragmenty)

Dwóch młodych pastuchów, nastolatków w rozpadającym się gruchocie, podrzuciło nas kawałek i zostawiło gdzieś tam w siąpiącej mżawce. Potem stary facet, który nie odezwał się ani słowem — i Bóg wie dlaczego nas zabrał — podwiózł nas do Shelton. Tam sterczał beznadziejnie na drodze Eddie, przed zgrają gapiących się bez ruchu przed siebie szeroko otwartymi oczyma, niskich, siedzących w kucki Indian Omaha, którzy nie mają dokąd jechać i nie mają nic do roboty. Drogę przecinały tory kolejowe i cysterna na wodę z napisem „Shelton". „Niech mnie diabli" — powiedział Eddie ze zdumieniem — „Byłem już w tym mieście. To było przed laty, w czasie wojny, w nocy, późno w nocy, gdy wszyscy spali. Wszedłem na rampę, żeby zapalić i to było w samym środku niczego i ciemnego jak piekło. I rozejrzałem się i zobaczyłem napis „Shelton" na cysternie. W drodze na wybrzeże Pacyfiku każdy chrapał, każdy cholerny gnojek, a my staliśmy tam tylko parę minut, wrzuciliśmy coś na ruszt i dalej w drogę. Niech mnie diabli, pieprzone Shelton! Od tego czasu nienawidzę tego miejsca!". A my sterczeliśmy w Shelton tak jak w Davenport, w Iowa, jakoś wszystkie samochody okazywały się wozami farmerów, a raz na jakiś czas, wozami turystów, co jest jeszcze gorsze; starzy mężczyźni za kierownicą i ich żony, które wskazują palcem widoki albo ślęczą nad mapami i opierają się mocno o siedzenie patrząc na wszystko podejrzliwie.

Zaczynało coraz bardziej mżyć i Eddie dostał kataru; był bardzo lekko ubrany. Z torby z żaglowego płótna wyłowiłem wełnianą koszulę w kratkę i on ją wciągnął na siebie. Poczuł się lepiej. Ja też się przeziębiłem. W podłym indiańskim sklepiku kupiłem pastylki do kaszlu. Wszedłem do budynku maleńkiej poczty sześć na dziewięć i wysłałem pocztówkę do ciotki. Wróciliśmy na starą szosę. Przed nami „Shelton", napis na cysternie. Rock Island majaczyła przed nami. Mignęły jaśniejące plamy twarzy pasażerów pulmana. Pociąg z rykiem przeciął równinę zdążając w upragnionym przez nas kierunku. Zaczynało coraz mocniej padać.

Wysoki i chudy facet w kapeluszu kowbojskim o niewielkim rondzie zatrzymał samochód po niewłaściwej stronie ulicy i podjechał do nas: wyglądał na szeryfa. W duchu przygotowywaliśmy sobie odpowiednią historyjkę. Podjeżdżał powoli. „Chcecie się chłopcy gdzieś dostać, czy tylko sobie jedziecie ot tak?". Nie zrozumieliśmy jego pytania, a było to cholernie dobre pytanie.

„A co jest?" — spytaliśmy.

„Taaa. Mam taki mały namiocik cyrkowy rozbity kilka mil stąd i szukam jakichś chętnych do roboty chłopaków, którzy chcieliby zarobić sobie parę dolców. Mam koncesję na ruletkę i na „drewniany pierścień", wiecie, taki, w którym rozrzucasz lalki — i łap swoje szczęście. Jeśli chcecie chłopcy dla mnie pracować, to dostaniecie trzydzieści procent".

„Mieszkanie i wyżywienie?".

„Możecie dostać łóżko, ale nie wyżerkę. Będziecie musieli jeść w mieście. Trochę sobie popodróżujemy". Zastanawialiśmy się nad tym. „To dobra okazja" — powiedział i czekał cierpliwie na naszą decyzję. Czuliśmy się głupio i nie wiedzieliśmy co mu odpowiedzieć, a przynajmniej ja nie chciałem ładować się w ten interes z namiotem. Cholernie się spieszyłem, żeby się dostać do ekipy w Denver.

Powiedziałem: „Nie wiem. Jadę tak szybko jak tylko możliwe i nie wydaje mi się, żebym miał na to czas". Eddie powiedział to samo i stary machnął ręką, niedbale powlókł się z powrotem do swojego samochodu i odjechał. I to było to. Pośmialiśmy się z tego trochę nawijając jak to dalej z nami będzie. Przed oczyma miałem obraz ciemnej nocy w kurzu równiny i twarze rodzin z Nebraski wędrujących gdzieś po okolicy, ze swoimi różowiutkimi dzieciakami gapiącymi się na wszystko z nabożnym lękiem i wiem, że czułbym się diabłem nabijając ich w butelkę tymi tanimi trikami pod namiotem. I diabelski młyn, który obraca się w ciemnościach równiny i pożal się Boże smutna muzyka karuzeli i ja, który chcę dopiąć swego i będę spał w jakimś wagonie do przewozu macior na łóżku z szorstkiego płótna do pakowania.

Eddie okazał się roztrzepanym kumplem z drogi. Zabawny staromodny wehikuł prowadzony przez starszawego gościa przetelepał obok nas; wehikuł zrobiony był z jakiegoś aluminium: kwadratowy jak pudełko — bez wątpienia domek na kółkach, ale dziwaczny, zwariowany, zrobiony domowym sposobem, domek na kółkach z Nebraski. Jechał bardzo powoli aż zatrzymał się. Podbiegliśmy; staruszek powiedział, że może zabrać tylko jednego z nas; Eddie bez słowa wskoczył do środka i wolno się odtelepał, zniknął z pola widzenia i to ubrany w moją koszulę w kratę. No cóż, o dniu nieszczęsny, pożegnałem się już z koszulą, w końcu przedstawiała dla mnie wartość już tylko pamiątkową. Czekałem w naszym kochanym, strasznym Shelton, długo, długo, kilka godzin i wciąż myślałem o tym, że noc zapada. W rzeczywistości było późne popołudnie, tyle że ciemno. Denver, Denver, jakże ja się w ogóle dostanę do Denver? Miałem już zamiar zrezygnować i posiedzieć nad kawą, gdy zatrzymał się zupełnie nowy samochód, prowadzony przez młodego faceta. Biegłem jak szalony.

— „Dokąd jedziesz?".

— „Do Denver".

— „No, mogę cię zabrać sto mil w tamtą stronę".

— „Wspaniale, wspaniale, ratujesz mi życie".

— „Kiedyś sam jeździłem autostopem i teraz zabieram ludzi po drodze"

— „Też bym zabierał, gdybym miał samochód". Tak sobie pogadaliśmy, a potem on opowiadał mi o swoim życiu, które nie było życiem specjalnie interesującym, a ja trochę sobie pospałem i obudziłem się na przedmieściach Gothenburga, gdzie mnie wysadził.

Najwspanialszy rajd mego życia miał wkrótce nadejść; truck ze skrzynią z tyłu, sześciu czy siedmiu chłopaków swobodnie rozwalonych i kierowcy, dwóch młodych blondynów, farmerów z Minnesoty, zabierali każdą duszę jaka spotkali na drodze — najbardziej uśmiechnięta, pogodna para przystojnych głupoli jakich kiedykolwiek życzyłbyś sobie spotkać, obydwaj ubrani w bawełniane koszule i robocze kombinezony, nic więcej; obydwaj o grubych łapach i gorących szerokich „jak się masz" uśmiechach na widok wszystkiego co tylko stanie na ich drodze. Podbiegłem, zapytałem „Jest tam miejsce?". Odpowiedzieli „Jasne, wskakuj, miejsce jest dla każdego".

Nim znalazłem się na skrzyni, truck ruszył z rykiem: zachwiałem się, ktoś mnie złapał i wsiadłem. Ktoś podał butelkę z resztką kwacha na dnie. Szarpnąłem sporego łyka, w dzikim, lirycznym, mżącym powietrzu Nebraski.

„Uuuuuaaach. Dajemy dalej". — zawył chłopak w czapce baseballowej na głowie, a oni wcisnęli gaz grzejąc siedemdziesiąt i wyprzedzili wszystkich po drodze. „Jedziemy z tymi sukinsynami od Des Moines. Ci faceci nigdzie nie stają. Raz po raz trzeba wrzeszczeć, że chce nam się lać, bo jak nie, to musisz lać w powietrze i trzymać się bracie, trzymać".

Przyjrzałem się towarzystwu. Było tam dwóch młodych chłopców, farmerów z Północnej Dakoty, w czerwonych czapkach baseballowych na głowie, co jest typowym kapeluszem chłopców — farmerów z Północnej Dakoty. Jechali na żniwa: ich stary dał im wolne, żeby sobie latem zajrzeli na drogę. Było tam też dwóch młodych chłopaków z miasta z Columbus w Ohio, piłkarze z wyższej uczelni, żuli gumę, puszczali do wszystkich oko śpiewali i mówili, że latem jeżdżą autostopem po całych Stanach. „Jedziemy do L.A." — wrzeszczeli.

„Co macie zamiar tam robić?".

„Do diabła, nie mamy pojęcia. Co się przejmować".

Dalej był tam wysoki, chudy facet, taki piskorz, który potrafi wywinąć się z każdej sytuacji. „Skąd jesteś?" — spytałem. Leżałem na skrzyni tuż koło niego: nie można było siedzieć, żeby nie wylecieć, bo nie było się czego trzymać. A on powoli odwrócił się w moją stronę, otworzył usta i powiedział „Mon-ta-na".

Wreszcie był tam Mississippi Gene, z chłopcem, którym się opiekował. Mississippi Gene był niewielkim, ciemnym facecikiem, który jeździł po kraju towarowymi pociągami, trzydziestoletni hobo-włóczęga, ale wyglądał młodo, tak, że trudno było dokładnie powiedzieć w jakim był wieku. Siedział na deskach skrzyni z nogami skrzyżowanymi po turecku, bez słowa zapatrzony w dal ponad polami, przez setki mil, ale w końcu w pewnym momencie odwrócił się do mnie i zagadnął: „Dokąd jedziesz?".

Powiedziałem, że do Denver.

„Miałem tam siostrę, ale nie widziałem jej od dobrych kilku lat". Jego mowa była melodyjna i powolna. Był cierpliwy. Chłopak, którym się opiekował, to 16-letni wysoki blondyn, też w łachmanach włóczęgi: to znaczy mieli na sobie stare ciuchy poczerniałe od sadzy lokomotyw, brudu bydlęcych wagonów i spania na gołej ziemi. Blondyn również siedział cicho i sprawiał wrażenie, że przed czymś ucieka: wyglądało na to, że przed prawem, po sposobie w jaki patrzył przed siebie i oblizywał wargi zatopiony w dręczących myślach. Chudy z Montany odzywał się do nich od czasu do czasu z sardonicznym i domyślnym uśmieszkiem. Nie zwracali na niego żadnej uwagi. Chudy był uosobieniem domyślnej podejrzliwości. Obawiałem się tej jego pociągłej, zwariowanej, wyszczerzonej gęby, która otwarta wprost w moją twarz zastygała tak w wyrazie na wpół kretyńskim.

„Masz jakąś forsę?" — spytał mnie.

„Do diabła nie. Może wystarczy na połówkę whisky nim się dostanę do Denver. A co z tobą?".

„Ja tam wiem gdzie mogę jej trochę podłapać".

„A gdzie?".

„Gdziekolwiek. Zawsze możesz przyskrzynić faceta w ciemnym zaułku, no nie?".

„Taaa, myślę, że możesz".

„Jak naprawdę potrzebuję trochę forsy to mi wtedy wszystko wisi. Jadę do Montany spotkać się z ojcem. Muszę wyskoczyć z tego pudła w Cheyenne i jechać inną drogą. Te rąbnięte chłopaki jadą do Los Angeles".

„Prosto?".

„Prosto jak strzelił — jak chcesz jechać do LA to złapałeś kurs".

Zastanawiałem się nad tym; myśl, że mogę pruć przez całą noc przez Nebraskę, Wyoming rankiem przez pustynie Utah i najpewniej popołudniem przez pustynie Nevady i faktycznie dojechać do Los Angeles w czasie, który da się przewidzieć, prawie, że doprowadziła do zmiany moich planów. Denver. Też powinienem wysiąść w Cheyenne i skoczyć na południe — 90 mil do Denver.

Ucieszyłem się, gdy dwaj chłopcy z Minnesoty, do których należał truck, zdecydowali się na postój w North Platte, żeby coś zjeść; chciałem im się przyjrzeć. Wyleźli z wozu i uśmiechnęli się do nas wszystkich „Lejemy" — powiedział jeden. „Czas coś przekąsić" — powiedział drugi. Ale oni byli jedynymi w ekipie, którzy mieli pieniądze, żeby kupić coś do jedzenia. Poleźliśmy za nimi wszyscy do restauracji, prowadzonej przez same baby i rozsiedliśmy się dookoła nad hamburgerami i kawą, podczas gdy oni rozłożyli straszne ilości jedzenia, tak jakby u mamusi w kuchni. Byli braćmi: przewozili maszyny rolnicze z Los Angeles do Minnesoty i zbijali na tym niezły szmal. A w drodze na Wybrzeże zabierali wszystkich, kto tylko stał na szosie. Robili to już po raz piąty: mieli do diabła i trochę czasu. Wszystko im się podobało. Nigdy nie przestawali się uśmiechać. Spróbowałem z nimi pogadać — taka głupia próba z mojej strony zaprzyjaźnienia się z kapitanami naszego statku — a jedyną odpowiedzią jaką dostałem były dwa promienne uśmiechy i błyski wielkich, białych, wykarmionych na kukurydzy zębów.

Wszyscy poza dwoma hobo, Genem i jego chłopcem, przyłączyli się do nich. Kiedy wróciliśmy, hobo wciąż siedzieli na trucku, opuszczeni i niepocieszeni.

Zapadał zmrok. Kierowcy zapalili. Skorzystałem z okazji, żeby skoczyć po butelkę whisky, trzeba się rozgrzać w chłodzie nadchodzącej nocy. Uśmiechnęli się gdy im to powiedziałem. „Dawaj, tylko się pośpiesz".

„Załapiecie się na parę łyków" — zapewniałem.

„Och nie, my nigdy nie pijemy, dalej, śmigaj".

Chudy z Montany i dwaj chłopcy z wyższej uczelni przeszli się ze mną po ulicach North Platte, aż znaleźliśmy sklep z whisky. Chłopcy się zrzucili, Chudy też coś tam dał, no i kupiłem połówkę. Wysoki, ponury facet przyglądał nam się z kiczowatego ganku, gdy przechodziliśmy główną ulicą obstawioną rzędami kwadratowych pudełek domów. Spoza każdej smutnej ulicy wyzierały bezkresne przestrzenie równin. Czułem coś innego w powietrzu w Nort Platte. Nie wiedziałem co to było. Po pięciu minutach już zrozumiałem. Dostaliśmy się z powrotem do trucka i z rykiem silnika odjechaliśmy. Szybko robiło się ciemno. Każdy łyknął po jednym a ja nagle ujrzałem, że zielone pola Platte znikają, a zamiast nich jak okiem sięgnąć, pojawiają się podłużne, piaskie, piaszczyste ugory i kępy krzewów. Wprawiło mnie to w zdumienie.

„Cóż to jest do diabła?" — krzyknąłem do Chudego.

„To jest początek pastwisk, chłopcze. Daj mi jeszcze jednego łyka".

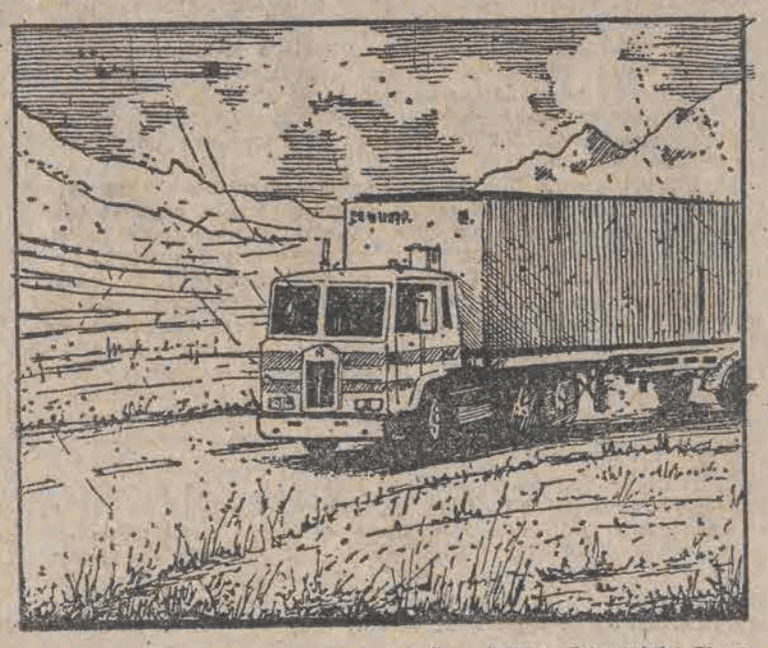

Rys. Janusz Szymański-Glanc

„Uuppiiii" — ryknęli chłopcy z wyższej uczelni. — „Żegnaj Columbus. Co by nasz Sparki z chłopakami powiedzieli, gdyby tutaj byli Juuu". Kierowcy zamienili się miejscami. Bardziej wypoczęty z braci dał do dechy; droga też się zmieniła: wyboje po środku, miękkie pobocze i rów, na jakieś półtora metra głęboki, z każdej strony, więc truck podskakiwał i kolebał się z prawa na lewo — cudownym zrządzeniem losu tylko wtedy, gdy nic nie nadjeżdżało z przeciwka — a ja myślałem, że wszyscy wywiniemy kozła. Ale oni byli rewelacyjnymi kierowcami. Jakżesz ten truck dawał sobie radę z wypukłościami Nebraski — wypukłościami, które sterczały aż po Coloradol I szybko zdałem sobie sprawę, że faktycznie jestem w końcu nad Colorado, chociaż oficjalnie jeszcze nie, ale patrząc na południowy zachód w stronę Denver zostało mi tego wszystkiego razem parę setek mil. Zawyłem z radości. Butelka krążyła. Wyszły wielkie płonące gwiazdy, uciekające w dal piaszczyste wzgórza rozmazywały się. Czułem się jak strzała wypuszczona z łuku, która leci prosto do celu. I nagle Mississippi Gene odwrócił się do mnie, z tego swojego cierpliwego rozmarzania, gdy tak siedział ze skrzyżowanymi nogami, otworzył usta i nachylił się bliżej i powiedział: „Te równiny przywodzą mi na myśl Teksas".

„Jesteś z Teksasu?".

„Nie proszę pana, jestem z Green-Vell Muzzsippy". I w taki sposób to właśnie powiedział.

„A skąd jest ten dzieciak?".

„Popadł w tarapaty w Missisipi, to zaproponowałem, że mu pomogę. Chłopak nigdy nie był samodzielny. Opiekuję się nim najlepiej jak umiem, jest przecież jeszcze dzieckiem". Chociaż Gene był białym, było w nim coś z mądrości starego, zmęczonego Murzyna i coś podobnego było w Elmer Hassel — nowojorskim narkomanie, w nim, ale Hassel z żelaznej kolei, podróżujący, epicki Hassel, każdego roku jeżdżący wzdłuż i wszerz kraju, na południe w zimie, na północ latem, i to tylko dlatego, że nie miał takiego miejsca, w którym mógłby zostać i nie być zmęczony, dlatego, że nie miał dokąd jechać, mógł jechać wszędzie, włóczyć się pod gwiazdami, z grubsza rzecz biorąc pod zachodnimi gwiazdami.

„Parę razy byłem w Og-den. Jak chcesz pojechać do Og-den to mam tam jakichś przyjaciół, u których moglibyśmy się zaszyć".

„Jadę z Cheyenne do Denver".

„Do diabła z tym, jedź tam od razu, nie co dzień łapie się taki kurs jak ten".

To też była pokusa. Co było w Og-den? „A co jest w Og-den" — spytałem.

„To miejsce dokąd wali masa chłopaków i zawsze się tam spotykają; każdego tam można zobaczyć".

W młodości byłem nad morzem z wysokim, wychudłym gościem o sterczących żebrach, z Luizjany, zwanym Wielki Chudzielec Hazard, William Holmes Hazard, który był hobo z wyboru. Jako mały chłopak widział hobo, który podszedł do jego matki i poprosił o kawałek pasztetu, i ona mu go dała, a kiedy odszedł w dół ulicy chłopczyk zapytał „Kim jest ten człowiek?". „A bo co? To hobo". „Mamusiu chcę zostać kiedyś hobo". „Przymknij się, to nie jest dla Hazardów". Ale on nigdy nie zapomniał tego dnia i gdy podrósł po krótkim okresie gry w futbol amerykański w LSU, został hobo. Z Wielkim Chudzielcem spędziliśmy wiele nocy opowiadając sobie różne historyjki i spluwając śliną zmieszaną z tytoniem do papierowych pudełek. Niewątpliwie coś w zachowaniu Mississippi Gene: a tak przypominało Wielkiego Chudzielca Hazarda, że aż spytałem: „Zdarzyło ci się gdzieś spotkać gościa, na którego wołają Wielki Chudzielec Hazard?".

A on odpowiedział: „Masz na myśli takiego wysokiego faceta o tubalnym śmiechu?".

„To mi wygląda na niego. Pochodził z Ruston w Luizjanie".

„Tak jest. Czasami wołają na niego Chudzielec z Luizjany. Tak prze-pana, pewniem spotkał Wielkiego Chudzielca".

„I pracował kiedyś na polach naftowych we wschodnim Teksasie?".

„Wschodnim Teksasie, tak jest. A teraz pędzi bydło".

I to było dokładnie to; a do mnie ciągle nie dochodziło, że Gene mógł naprawdę znać Chudzielca, którego szukałem mniej więcej od paru lat. „A kiedyś pracował w Nowym Jorku na holowniku?".

„Więc, tego, no o tym nie wiem".

„Czuję, że znałeś go tylko z Zachodu".

„Zgadza się. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku".

„Niech mnie licho. Aleś mnie zaskoczył, że go znasz. To jest wielki kraj. Jednak wiem, że musiałeś go poznać".

„Taak prze-pana znam Wielkiego Chudzielca całkiem nieźle. Miał gest jak miał forsę. Trudny, twardy facet: widziałem jak na podwórku w Cheyenne jednym uderzeniem zwalił z nóg policjanta". To mi wyglądało na Wielkiego Chudzielca: wciąż trenował ten jeden jedyny cios: — wyglądał jak Jack Dempsey, ale jak młody Jack Dempsey, który pił.

„Niech to diabli" — ryknąłem prosto w wiatr i szarpnąłem następnego łyka i od razu poczułem się całkiem nieźle. Pęd wiatru filtrował każdy łyk, który tonął ciepłem w moim żołądku „Cheyenne, oto nadchodzę!" — zanuciłem. „Denver rozejrzyj się za swoim chłopcem".

Chudy z Montany odwrócił się w moją stronę, pokazał palcem na moje buty i rzucił: „Myślisz, że jak wsadzisz to-to w ziemię to coś wyrośnie?" powiedział bez uśmiechu oczywiście, co reszta chłopaków usłyszała i zarechotała. A to były najgłupsze buty w Ameryce; kupiłem je w wyraźnie określonym celu, bo nie chciałem, żeby pociły mi się nogi na gorącym asfalcie i poza pluchą na Górze Niedźwiedziej okazały się najlepszymi ze wszystkich butów na taką podróż. No więc śmiałem się z nimi. A buty były już wtedy w strzępach, kawałki kolorowej skóry sterczały jak plasterki świeżego ananasa, a palce nóg wyłaziły mi na zewnątrz.

Wkrótce dojechaliśmy do miasta. Zwolniliśmy, a Chudy z Montany rzucił „O, postój na lanie", ale chłopcy z Minnesoty nie zatrzymali się i przelecieli przez miasto. „Szlag by to, muszę się odlać" — powiedział Chudy.

„Lej nad burtą" — doradził ktoś.

„Tak zrobię" — odpowiedział i wolno posuwał się cal za calem na boku, na tył skrzyni, myśmy się gapili, a on trzymał się z całej siły, aż zadyndały mu nogi przewieszone przez burtę. Ktoś zapukał w szybę kabiny, żeby zwrócić uwagę braci. Na ich twarzach pojawiły się uśmiechy od ucha do ucha, gdy się odwrócili. I gdy tylko Chudy był gotów, żeby lać oni zaczęli pruć ciężarówką zygzakiem 70 mil na godzinę. Chudy od razu fiknął na plecy; zobaczyliśmy w powietrzu fontannę wieloryba: walczył, żeby wrócić do pozycji siedzącej, a bracia zarzucili truckiem. Łuup!, znów poleciał na bok, cały się oblewając. Rechotaliśmy tak, że ledwo, ledwo można było usłyszeć jego przekleństwa, jak skomlenie człowieka płynące z daleka, zza wzgórz. „Szlag... szlag...". Nie domyślał się, że to była celówa, po prostu walczył z determinacją Hioba. Kiedy skończył lać, był mokry tak, że można było wyżymać. Ostrożnie potelepał się na swoje miejsce, a wyglądał jak ostatnie nieszczęcie i wszyscy się śmiali, poza smutnym blondynem, a chłopaki z Minnesoty ryczeli w kabinie. Podałem mu butelkę, żeby mu to wszystko wynagrodzić.

„Co do diabła" — powiedział — „czy oni to robili celowo".

„Jasne, że tak".

„No niech mnie szlag trafi, nie wiedziałem o tym. Próbowałem tak robić, tam w Nebrasce i nie miałem połowy tych kłopotów".

Zupełnie niespodziewanie dojechaliśmy do Ogallala i tutaj faceci z kabiny krzyknęli — „Postój na lanie".

KONIEC

Przełożył: MAREK BRZEZIŃSKI

1

Zbrodnia to niesłychana

„Zbrodnia to niesłychana, pani zabija pana" — pisał Adam Mickiewicz. Zbrodnie zawsze budziły zainteresowanie ludzi. „Nic tak nie ożywia gazety jak trup" — mawiają doświadczeni dziennikarze. 6 stycznia 1466 roku w fortalicji Łęczeszyce na Mazowszu w straszny sposób został zamordowany rycerz Jakub Boglewski z domu Koźlerogi, brat Mikołaja Boglewskiego wojewody warszawskiego. Zbrodnia to była tak niesłychana, że Jan Długosz nie mógł powstrzymać się i musiał ją dokładnie opisać. „I choć byłoby miło — przyznawał — raczej przemilczeć i zataić ten występek, to jednak ze względu na sprawiedliwość i okropność najstarszniejszej zbrodni opiszę to w Rocznikach". Jak postanowił, tak i uczynił.

Jakub Boglewski miał żonę Dorotę, która miłował więcej niż miłością małżeńską. I jak przystało na zakochanego mężczyznę, nie wierzył plotkom, które do niego docierały. Dorota — córka nieżyjącego już wówczas wojewody warszawskiego Jana Rogali z Suchócin — była kobietą wyraźnie rozrywkową puszczała się na lewo i prawo, a także i zbrodnia nie była dla niej niczym obcym. Zaufani rycerze Jakuba Boglewskiego ostrzegali go nawet przed zamachem na jego życie, ale on śmiał się z tego i nadal bezkrytycznie miłował Dorotę. No i się doczekał.

W tym czasie kochankiem Doroty był ksiądz Jan Pieniążek — archidiakon gnieźnieński i dziekan łęczycki syn podkomorzego krakowskiego Mikołaja Pieniążka z Witowic pieczętującego się herbem z trzema włóczniami i mającym zawołanie Jelita. Tatuś zresztą też był dobrym łajdakiem gdyż gnębił duchowieństwo krakowskie, odbierał majątki, a i osobistych krzywd im zadawał, za co spotkała go zasłużona kara i został pozbawiony krakowskich urzędów. Później zresztą... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Akurat w Trzech Króli, czyli 6 stycznia 1466 roku rycerz Jakub Boglewski wypoczywał był w swojej fortalicji w Łęczeszycach u boku ukochanej Doroty, gdy przybyli niespodziani goście. Był to Jan Pieniążek wraz z notariuszem Jakubem Jaczechowskim z Bielina i dwoje służby notariusza: Plichta i Komaski. Napadli na śpiącego Jakuba Boglewskiego, mieczami i włóczniami zadali mu liczne ciosy, a później ciało tak poćwiartowali, że gdy przybyli sąsiedzi poznać go nie mogli. Zagniewani sąsiedzi i brat zabitego, wojewoda warszawski Mikołaj Boglewski pościg urządzili. Ale Jan Pieniążek z Plichtą i Komaskim uciekli w kierunku Łęczycy. Pojmano natomiast notariusza Jakuba Jaczechowskiego oraz Dorotę wraz ze służącą, która o wszystkich występkach swej pani dobrze wiedziała i o zamierzonej zbrodni też. Znaleziono list Jana Pieniążka do Doroty pisany, w którym cały plan napadu i zbrodni był wyłożony. Sąd skazał Dorotę i jej sługę na zakopanie żywcem. Straszne wówczas były kary, a mimo to ludzie popełniali zbrodnie. Ale Mikołaj Boglewski dał się przebłagać bernardynom i karę im darował. Wszakże później sądy ścigać ponownie poczęły zbrodniczą wdowę, która zbiegła przed karą do Działdowa w Prusach. Jakuba Jaczechowskiego sąd skazał na wydarcie żywcem wnętrzności, a gdy mu to czyniono krzyczał okropnie, więc co rychlej go poćwiartowano. Litościwi byli ci kaci wówczas, oj litościwi.

Tymczasem Jan Pieniążek nadal bawił na wolności. 20 stycznia 1466 roku w Łęczycy zebrał się synod biskupów i rozważał, co też uczynić wypada ze zbrodniczym księdzem. Oskarżenie przeciw niemu wniósł wojewoda sieradzki Sędziwój z Leżenic. Uczynił to z upoważnienia Mikołaja Boglewskiego. Przesłuchano świadków i stwierdzono, że istotnie Jan Pieniążek dopuścił się zarzucanych mu strasznych czynów. Postanowiono zatem, aby dla dobra zbawienia duszy archidiakona gnieźnieńskiego i dziekana łęczyckiego Jana Pieniążka pozbawić wszelkich majątków oraz osadzić w wieży. Zająć się tym miał arcybiskup gnieźnieński Jan, ale jakoś ociągał się z wykonaniem postanowień.

Wówczas Mikołaj Boglewski ponownie wniósł oskarżenie do sądu i uczynił to w obecności Mikołaja Pieniążka — ojca Jana, który słuchając oskarżeń obficie ronił łzy. Zdecydowano wówczas, że należy ująć Jana Pieniążka i zamknąć w więzieniu. Dopiero wówczas Stolica Apostolska pozbawiła Jana Pieniążka archidiakonatu gnieźnieńskiego i dziekanatu łęczyckiego. Jan Pieniążek nic sobie z tego nie robił. W tym czasie zajmował się bowiem, razem z grupą młodych szlachciców, takich samych jak on łotrów, którzy przepuścili rodowe majątki, grabieniem, napadami i łupieniem kupców i rycerzy wędrujących po ziemi sandomierskiej i krakowskiej. A mogli tak czynić bezkarnie, gdyż starosta krakowski Jakub z Dębna przebywał w Czechach nie miał kto z nimi zrobić porządku. Dopiero, gdy wrócił, rozpuścił wieść, że gdy złapie zbirów, powiesi nie zważając na ich dobre urodzenie i tak by uczynił, ale oni się przestraszyli i uciekli.

Mikołaj Pieniążek — sam niegodziwiec — poczuł jednak, że syn jego zdrowo przeholował i może to odbić się na całym rodzie Pieniążków. Zwabił więc go podstępem do domu, związał i oddał biskupowi krakowskiemu Janowi, aby syn pokutę dokonał i na zbawienie duszy zasłużył. No i, aby zmyć hańbę z rodu, czym zasłużył sobie na miano „dobrego męża i litościwego ojca" co nam dziś wydaje się trochę dziwne. Dziś powiedzielibyśmy, że po prostu stał na straży praworządności i spełnił obywatelski obowiązek, choć nie było mu łatwo i czynił to tłumiąc ojcowskie uczucia. Jeśli je w ogóle posiadał. Ale nie przykładajmy dzisiejszych miar do czynów ludzi sprzed więcej niż 500 lat.

WITOLD BOROWY

2

U fryzjera Nieregularnik felietonopodobny

Protest

— Panowie! — już od progu dobiegł nas podniesiony głos Starszego Referenta. — Panowie, opisali mnie w gazecie.

— No, to masz pan szczęście — kwaśno skwitował tę rewelacyjną wiadomość Literat. — Bo mnie jakoś nie chcą, chociaż nie raz już prosiłem o wywiad. A miałbym dużo, bardzo dużo do powiedzenia. Mogę wam zaraz...

— A ja — gratuluję. Szczerze gratuluję — zagłuszył Literata emerytowany Działacz, rzucając się w objęcia Starszego Referenta. Inżynier zaś dodał:

— I wnukom pan będzie miał czym się pochwalić. Naprawdę, tak się cieszę, kolego...

— Co?! — Starszy Referent stanął jak wryty, strząsnął z siebie wiszącego mu na szyi Działacza i wybuchnął: — Ja sobie takie żarty wypraszam! Ja protestuję! To jest...

— Jak to? — wyrwało mi się ze zdziwienia.

— A tak — to! Jeżeli nie czytaliście, to proszę — i rzucił nam w twarz gazetę z artykułem, w którym istotnie był cały jeden akapit o naszym Referencie — niestety, niezbyt dla niego pochlebny (delikatnie mówiąc), co oczywiście stawiało całą sprawę w innym nieco świetle, a nas — w na tyle niezręcznej sytuacji, że zupełnie nie wiedzieliśmy, jak zareagować. Na szczęście z kłopotu wybawił nas kolejny wybuch Referenta:

— No, właśnie! Widzę, że i was zatkało. Ja przez dwadzieścia siedem i pół minuty nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Przecież to jest jawna potwarz! Obelga! Zniesławienie! Czyjaś celowa, krecia robota. Przejaw złej woli. Złośliwość. Jątrzenie. Żeby mnie, zasłużonego pracownika, członka Towarzystwa Hodowców Ryb Akwariowych, odznaczonego srebrnym medalem, cieszącego się zasłużonym autorytetem w środowisku obywatela, wzorowego męża, ojca i brata... Takie rzeczy! Takie kłamstwa. Kalumnie! No, niech no ja tylko tego redaktora, co to napisał... I tych, co za nim stoją też! Ja się odwołam, poskarżę, będę protestował. Już oni mnie wszyscy popamiętają.

— Jasne, niech się pan odwołuje — podchwycił Działacz.

— Jakby co, to ja zawsze mogę zaświadczyć...

— A ja napiszę list do redakcji, że jestem oburzony.

— I ja.

— I ja też. Ze niby pana nie znam. Jako stały czytelnik.

Tu muszę wyjaśnić, że cała ta scena rozegrała się pod chwilową nieobecność pana Franciszka, który, gdy tylko wrócił z tak zwanego zaplecza, wypytał nas szczegółowo w czym rzecz, artykuł w gazecie przeczytał, zatarł ręce po czym wziął ostro Starszego Referenta w obroty:

— A niech mi szanowny pan powie — zaczął od lewego boku — niech mi pan powie, czy tam rzeczywiście był?

— Ano jak.

— A napoje wysokoprocentowe, znaczy się, bimberek — też?

— Pół litra.

— Ale pan szanowny go oczywiście nie pił? — mistrz przeszedł zręcznie na prawą stronę.

— Niby piłem, tylko...

— Tylko — co? — zatrzymał się przy grzywce.

— Tylko to nie ja nalewałem, jak napisali w gazecie. To po pierwsze. Po drugie alkohol wcale nie był niewiadomego pochodzenia, bo razem ze szwagrem żeśmy upędzili. Po trzecie imieniny odbywały się nie w dziale finansowym, a — w technicznym. No, i było już dobrze po trzynastej.

— W takim razie — z wyraźną ulgą ściął grzywkę pan Franciszek — w takim razie koniecznie trzeba się odwoływać, protestować, skarżyć. Ja bym tam od razu do Warszawy. A co.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

3

Lewym okiem

Dobro rodziny

Od lat mówi się o fatalnie niskiej wydajności pracy u nas, od lat dyscyplina pracy nie poprawia się, przeciwnie — jest coraz gorsza. Nie pomagają gorączkowe poszukiwania bodźców i motywacji, ludzie biorą podwyżki, premie, nagrody, zachęty, słuchają pouczeń, kazań, pogróżek — i nic się w ich stosunku do pracy nie zmienia. Ręce opadają.

Myślę, że jest jeden powód takiego stanu rzeczy, o którym wstydliwie mówi się bardzo mało: absolutna sitwa wszystkich szczebli pracodawców i pracobiorców. Jeśli — jak czytamy choćby o remoncie pewnej szkoły w Krakowie — z całej załogi roboczej spotyka się na budowie w godzinach pracy majstra i j e d n e g o z robotników, obu pijanych i zajętych dalszym chlaniem, to przecież wiadomo, że ten majster od tego robotnika nigdy niczego wymagać nie może. Od innych robotników też nie, oni sobie w ogóle poszli do domu, kto im zwróci uwagę?

Jeśli dyrektor kombinatu buduje sobie daczę z sauną rękami swoich inżynierów, techników, robotników, kierowców, a wszystko w godzinach pracy i z materiałów „wygospodarowanych", to ten dyrektor musi już zawsze kłamać w obronie swych ludzi, nie może im nakazać niczego, musi fałszować wraz z nimi każde sprawozdanie i robi to bez skrupułów.

Jeśli kierownik knajpy bierze w łapę tysiące złotych za zatrudnienie kelnera, szatniarza, wykidajły, babki toaletowej — to musi patrzeć przez palce na wszystkie ich szwindle, na brudy w toalecie i wieczny brak drobnych. Inny dyrektor — powiedzmy w handlu — dobrze wie, że jego konwojenci kradną, że zamiast towaru handluje się paragonami i asygnatami, że podmienia się asortymenty i gatunki. Cóż, kiedy sam bierze w tym udział, jest fajnym gościem, popija najlepsze koniaki (bo się „stłukły"...), nigdy po nic nie stoi w kolejkach, ktoś mu przywozi węgiel, kto inny naprawia pralkę. Nie zgani nigdy nikogo, nie potrąci premii, nie wstrzyma awansu. Jest w absolutnej sitwie.

Interesy przedsiębiorstwa i pracownika są w zasadzie sprzeczne. Może nie jest to sprzeczność antagonistyczna, jak uczono mnie na wykładach marksizmu, ale żeby nie wiem co: robotnik i w ogóle pracobiorca chce i zawsze będzie chciał zarobić jak najwięcej jak najmniejszym wysiłkiem. W naszej gospodarce nie ma siły, która by go w tym ograniczała. Konfrontacja interesów przebiega tu nie pomiędzy pracodawcą a pracobiorcą, na czym normalnie korzystał ten trzeci, czyli konsument, tylko z jednej strony są pracodawcy i pracobiorcy związani milionem najsilniejszych, bo osobistych interesów, a z drugiej strony — anonimowa, wielka, ledwie wyobrażalna krowa do dojenia: kasa. Nawet nie wiadomo czyja.

Dyrektor z księgowym, z planistą, z kosztowcem i tuzinem innych fachowców zamykają się w gabinecie i kombinują, jak ułożyć sprawozdanie, żeby potrzebne wskaźniki wypadły jak trzeba. W takiej naradzie o wartości i przydatności poszczególnych osób decydują inne kwalifikacje niż rzetelność, dokładność, fachowość. Każda z tych osób coraz to wyjdzie z gabinetu i od swoich z kolei podwładnych zażąda podkładek, odpowiednio dobranych i podfryzowanych. Och, ile razy to widziałem! I potem oczywiście wszyscy są jak jedna rodzina i to nie dobro przedsiębiorstwa ich cementuje, tylko właśnie dobro rodziny. I już nikt od nikogo nie może oczekiwać szczególnej staranności. Już wszyscy wiedzą, na czym polega działalność gospodarcza. Dyscyplina zaś stoi w ciemnym kącie za drzwiami i zasłania sobie oczy ze wstydu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Nagłe zastępstwo

Technologia ugniatania ciasta

Podobno w niektórych województwach rady narodowe śmiało sięgnęły po swoje uprawnienia i... wprowadziły własne podatki. Na początek — od psów. Ciekawostka przyrodnicza kryjąca się w tym fakcie polega na tym, że gruby podatek nałożono na właścicieli kundli, a minimalny na psy z rodowodem. Rasizm? Feudalizm? Postanowiłem podzielić się swymi wątpliwościami z ekonomistą i cybernetykiem Jackiem A.

— Nie rozumujesz dialektycznie — usłyszałem w słuchawce telefonu — to jest właśnie najczystszej wody egalitaryzm. Kundel — jak wiadomo — kosztuje grosze albo zgoła nic. Pies rasowy kosztuje drogo, niejednokrotnie bardzo drogo. Wysoki podatek od kundli, a niski od „rasowców" wyrównuje objaw nierówności społecznej. Rasowy pies był dotąd z reguły świadectwem pozycji społecznej i zamożności właściciela, a teraz będzie na odwrót. Wyobraź sobie takie dialogi: — Kowalski spaceruje z kundlem! Skąd on na to bierze? Psów rasowych będą się ich właściciele pozbywać jak najprędzej, rasowego może mieć byle golec, kundek to jest to, co pasuje do segmentu, futra z fałszywych norek i limuzyny marki polonez.

— A propos limuzyny. Jak w kontekście twojej teorii dotyczącej psów należy rozumieć wprowadzenie dziesięcioprocentowej podwyżki cen samochodów?

— W kontekście — jak raczyłeś się wyrazić — mojej teorii egalitaryzmu społecznego, a nie jakichś tam psów, podwyżka ta jest nieporozumieniem. Jeśli bowiem zastosować podział na samochody rasowe i kundle, to do kundli niewątpliwie należy zaliczyć syreny i trabanty. A taki na przykład polonez, szczytowe osiągnięcie naszej czołowej myśli technicznej którego szlachetna linia kojarzy się z elegancją tarpana, uznać należy za samochód rasowy. Zatem zarówno podatek drogowy jak i dopłata na fundusz rozwoju motoryzacji winny być tak ustawione, żeby właściciel syreny płacił dużo, a właściciel poloneza mało.

— Dajmy już spokój egalitaryzmowi. Taka podwyżka cen na samochody jest pewnym novum. Przyznam się, niezrozumiałym dla mnie. Jestem otóż zwolennikiem takiego ustawiania cen na samochody, żeby zrównać je z cenami giełdowymi. Samochód nadal jest u nas przedmiotem luksusu i sprzedawanie go po cenach niższych niż dyktuje rynek jest — dla mnie przynajmniej — niczym nie uzasadnioną szczodrością państwa, z której korzystają najzamożniejsi. Dlatego jestem za podwyżkami cen samochodów i nie rozumiem tylko tej kombinacji z dopłatą. Można przecież po prostu podnieść cenę o te dziesięć procent. Dla nabywcy to dokładnie wszystko jedno...

— Znów rozumujesz jak laik. Najzamożniejsi wcale nie korzystają z żadnej szczodrości państwa. Oni kupują na giełdzie i przepłacają. Dla nich przecież — prywatnych rzemieślników, kupców itp. talony są niedostępne. Talony rozdzielają kompetentne w tych sprawach władze. Jest zatem sprawą oczywistą, że dostają je ludzie... no, powiedzmy, zacni. Zatem zacni — rzekłbym nawet — najzacniejsi korzystają ze szczodrobliwości państwa. Najlepsi z najlepszych. Myślę, że dziesięcioprocentową dopłatę do cen dlatego pozostawiono jako opłatę osobną, żeby mieć możliwość zwolnienia od niej tych najzacniejszych z zacnych... Rozumiesz?

— Oczywiście! To mnie przekonuje jak najbardziej i nie mam pytań. Wróćmy zatem do sprawy novum cenowego. Jak myślisz, czy to się przyjmie w innych dziedzinach?

— Przeceniasz mnie. Nie jestem futurologiem. Sądzę jednak, że są pewne możliwości. Ot, żeby daleko nie szukać, zamiast podwyższać cenę gazety, można wprowadzić dopłatę na rozwój prasy i dziennikarstwa. Dopłata nie pójdzie w jakiś tam ogólny kocioł RSW „Prasy", tylko zostanie sprawiedliwie rozdzielona między redakcje i dziennikarzy. Może dostaniesz — nie od razu! Za dwa, trzy lata — nową maszynę do pisania?

Można też utworzyć inne fundusze: Kupujesz chleb — płacisz na rozwój piekarnictwa. Za twoje złotówki kwitnie i rozwija się Instytut Piekarnictwa w Warszawie...

— Istnieje coś takiego?

— Owszem. Nie tylko istnieje, ale rośnie jak na drożdżach!

— Ale pieczywo jest kiepskie...

— No widzisz, zaczynasz rozumieć! Samochody są też kiepskie, toteż Kowalski płaci teraz sto patyków za kiepskiego poloneza, żeby za kilka lat Nowak kupił sobie wreszcie dobry samochód, bez dopłaty. Jeśli będziemy solidarnie i ofiarnie wspierać Instytut Piekarnictwa, to za dwadzieścia, trzydzieści lat nasi wnukowie będą jedli pieczywko — palce lizać!

— A nie można by tak teraz, nie mówię — od dziś, ale za kwartał powiedzmy, upiec dobrego chleba?

— Nie można, ciemniaku. Instytut — jak dotąd — opracował już idealne parametry pieca piekarniczego. Technologia ugniatania ciasta, to jest ten próg. Bez komputera — ani rusz. Że też ty zawsze musisz mnie zdenerwować!

Cisnął słuchawkę. A ja nadal nic nie rozumiem...

ANDRZEJ KAROL

Wielki las

(28)

ZBIGNIEW NIENACKI

W kilka dni Kożusznik i Łukta załatwili sprawę nowej lokalizacji tartaku i bezradny Stęborek patrzył z okien swego domu jak specjalnym ciągnikiem ryją w ziemi wielki kanał dla zabetonowania traka i wmurowania szyn na wózek z dłużycami. To on, Stęborek, był pomysłodawcą tartaku, to on chciał widzieć ból na twarzy Horsta Soboty. I to wszystko obróciło się przeciw niemu; ból wypełnił teraz duszę Stęborka, a nie Soboty. Tłumaczył się przed sobą, że uległ gadaniu nadleśniczego o tym, że las lubi złych ludzi i chciał stać się złym człowiekiem. Las jednak jak gdyby nie przyjął jego ofiary i zwrócił się przeciw Stęborkowi. „Może las nie każde zło chce lubić?" — pomyślał Stęborek i rozgniewało go, że w ten sposób w ogóle myśli, ponieważ był to nienaukowy sposób myślenia. Las przecież nie był żywą istotą, jak to twierdził Horst Sobota i po cichu prawdopodobnie w ten sposób myślało wielu leśnych ludzi. Nie byli to jednak, zdaniem Stęborka, ludzie światli, lecz zdegenerowani przez samotność leśną, przez wódkę, przez przyrodę, która uznawała tylko prawo silniejszego.

Wczoraj nadleśniczy kazał mu podpisać pewien dokument. „Będzie pan miał wkrótce dom Horsta Soboty, ponieważ ograniczymy jego prawa i zamkniemy go w szpitalu dla wariatów" — powiedział i Stęborek podpisał niemal bez namysłu. Tym samym dokonał kolejnego aktu zła, aby las go polubił, a Malwina miała nareszcie ładny i suchy dom. W lesie należało wciąż czynić coraz nowe zło — tak sobie tłumaczył Stęborek — gdyż las też nigdy nie był dobry i nie znał litości. Czy jednak i to zło nie obróci się przeciwko niemu? Podpisał się pod dokumentem pełnym fałszu i kłamstwa. Ale chyba innym złem była sprawa tartaku, a innym podpisanie fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Tamto zło uczynił Stęborek na własną rękę, było to więc jak gdyby jego prywatne zło, nie związane z lasem, to zaś miało zupełnie inny charakter. Nosiło ono znamiona leśnego zła, co chyba oznaczało, że las nareszcie zaakceptuje Stęborka, da mu piękny dom i nie będzie powodować wypadów na jego uprawach. Dlatego to nie fakt podpisania fałszywego świadectwa bolał Stęborka przez całą noc, lecz świadomość, że krok za krokiem, jak w bagno wchodzi w sposób myślenia leśnych ludzi, nabiera ich obyczajów, ulega ich mitologii, w której naczelnym bogiem był las z jego wyrokami i owym „lubię, nie lubię". Z Horsta Soboty chcieli leśni ludzie uczynić wariata, gdyż głośno opowiadał, że las jest żywą istotą, zwierzał się, że rozmawia z lasem. To samo, choć po cichu myśleli inni leśni ludzie, nie uważali się jednak za wariatów. Stęborek czuł pogardę do leśnych ludzi, ze wstrętem myślał o tym, co zrobił Kulesza z Weroniką, o zniszczonym przez Wojtczaka cmentarzyku na plantacji nasiennej i sądził, że nigdy nie stanie się leśnym człowiekiem, bo to oznaczało odczłowieczenie. A tymczasem zagłębił się w leśne bagno, tak samo jak inni powoli odczłowieczał własną osobowość. „To jednak prawda, że u Kondradta, choćby patyk wsadził w ziemię, drzewo zaraz wyrośnie, u mnie zaś jest tak wiele wypadów" — usprawiedliwiał się. Czuł się z tego powodu bardzo nieszczęśliwy i dlatego coś go bolało we wnętrzu. I to tak mocno, że o świcie ostrożnie wylazł spod kołdry, aby nie obudzić Malwiny i nagi, chudy i przygarbiony, stanął w oknie, które patrzyło na las.

Dobrze znał Stęborek ten kawałek lasu przed swoją leśniczówką. Wystarczyło mu tylko rzucić okiem przez szybę w oknie, aby dostrzec jak świt pobiela korony wysokich sosen. Potem mógł zamknąć oczy i widział pnie trzydziestoletnich sosen, pokręconych, z suchymi gałęziami przy ziemi, gdyż las ten posadzono na gruntach porolnych i nie potrafił się on sam jeszcze oczyścić od dołu z suchych gałęzi. Deski z takich sosen byłyby poskręcane, pełne sęków, drewno nadawało się jedynie na papierówkę. Ale rosło tam dużo dzikich i słodkich malin. Stęborek lubił zbierać te maliny wraz z Malwiną, trzymając dziecko na lewym ręku. Nie, to nie był prawdziwy las albo bór sosnowy, ot, nowy oddział na gruntach wydartych Horstowi Sobocie. Prawdziwy las zaczynał się trochę dalej, przeogromna i przepastna kraina buków, jesionów, dębów i świerków, które osłaniały ziemię przed słońcem tak, że nie ośmieliła się pod nimi wyrosnąć nawet trawka. Kto wie, czy to nie wśród owych potężnych świerków, w ich wiecznym mroku, tkwiły najważniejsze siły lasu. Świerków Stęborek nie lubił, najweselsze i najmilsze były dla niego modrzewie, lecz właśnie one nie chciały rosnąć na jego uprawach. Dlaczego? I czy teraz po podpisaniu fałszywego świadectwa, przyjmą się w przyszłym roku nowe sadzonki modrzewia, pokryją się delikatną jasną zielenią cienkich i miękkich igieł? Stęborek lubił modrzewie (jeśli było coś w lesie, co naprawdę choć trochę lubił), a dlaczego — nie wiedział. Raz czy dwa zdarzyło mu się nawet, że pogłaskał szarobrunatną, głęboko spękaną korowinę starego modrzewia, trochę radując się, że drewno, które kryje w sobie gruby pień jest tak trudne w obróbce i odporne na działanie kwasów i zasad, twarde jak żelazo, a soki, które w nim krążyły, nazwano żywicą wenecką, której poszukiwali malarze i ceramicy. Modrzew przypominał mu samego siebie. On, Stęborek, też był twardy, odporny na kłopoty i choroby. Zamiast Malwiny uprawiał ogródek, niańczył dziecko, gotował obiady i zmywał naczynia, robił śniadania i kolacje, chodził do sklepu po zakupy. Tak więc ze wszystkich drzew lubił jedynie modrzewie, a przecież to właśnie modrzewie usychały na jego uprawach. Czy naprawdę powinien ulec tym wariackim radom, aby wziąć do lasu Malwinę i na uprawie wsadzić członek w jej pochwę, wypełnić Malwinę nasieniem? Nie, Malwina nigdy nie zgodzi się na coś takiego, gdyż jak to mówiono, posiada głębokie i tajemne życie wewnętrzne. „Ech, gdyby tak jeszcze można było urodzić dziecko za Malwinę" — pomyślał, dziwiąc się, że natura tak wyraźnie między kobietę i mężczyznę podzieliła zadania. Modrzew też miał kwiaty rozdzielnopłciowe, wiatropylne, ale na tej samej rosnące gałązce. Czy nie gniewał się na niego las, ponieważ za Malwinę gotował i zmywał naczynia, wszędzie ją wyprowadzał za rękę i gotów był za nią nawet urodzić?

Zapragnął odetchnąć powietrzem lasu i leciutko uchylił okna. Zaskrzypiało głośno, bo było stare, spróchniałe, z zardzewiałymi zawiasami. Wysunął głowę na dwór i zobaczył mgłę poranną snującą się nisko w lesie, osrebrzoną świtem, który panował już w koronach drzew. Ta mgła co wieczór i rano podchodziła pod jego dom i zawsze zatrzymywała się na skraju lasu. Kiedyś jednak może przekroczyć drogę i pochłonie także leśniczówkę, wśliznie się do pokojów przez spróchniałe okna, jak jezorem liźnie Malwinę, dziecko, sprzęty w mieszkaniu. Co będzie wówczas? Czy można odgonić leśną mgłę? A może to nie była mgła tylko nienawiść, którą las do niego odczuwał, nie wiadomo dlaczego. I co uczynić aby przebłagać las?

Malwinę obudziło skrzypienie otwieranego okna. Usłyszał jej oddech tuż za swoimi plecami. Wstała z łóżka w bardzo krótkiej koszuli z prawie gołym podbrzuszem i podeszła do niego.

— Dlaczego nie śpisz? — zapytała szeptem. — I czego wypatrujesz w lesie?

Nie odpowiedział, a ona zrozumiała, że ma jakieś zmartwienie. Nie obchodziło ją to jednak; ona też miała swoje zmartwienia, z których mu się nigdy nie chciała zwierzyć. Dwoma palcami, delikatnie, chwyciła jego obwisły i miękki członek, a potem zaczęła go leciutko ugniatać. Zazwyczaj prawie natychmiast stawał się duży i twardy.

— Daj mi spokój — powiedział.

— Kiedy ja chcę... — odrzekła z żalem w głosie.

Miała pretensje, że w ten sposób musi ożywiać męskość Karola. Brodaty Łukta (przeklęty Łukta, który budował tartak tuż pod ich domem) miał na pewno w spodniach ciągle sterczącego członka i gdy na nią patrzył (wstrętny brodaty brudas) Malwinie robiło się gorąco. Bała się go, emanowała od niego straszliwa moc i siła. Ale przecież czasami jej się śniło, że okropny Łukta wchodzi do ich domu podczas nieobecności Karola, goni ją po wszystkich pokojach, aż wreszcie przydusza w jakimś kącie aż ona traci oddech pod ciężarem jego ciała, zarazem jednak ogarnia ją rozkosz jakiej nigdy nie doznała, choć czuła, że ta rozkosz na świecie istnieje.

Stęborek wciąż patrząc na las, sięgnął ręką do podbrzusza Malwiny, namacał jej wyniosły i obficie obrośnięty wzgórek łonowy, natrafił palcami na to, co go w Malwinie zawsze podniecało — jak gdyby malutki języczek wysunięty z jej wilgotnych warg. Chwycił go i też delikatnie ucisnął palcami. Ale tym razem nie odczuł podniecenia, gdyż we wnętrzu wciąż go bolało.

— Chcę mieć jeszcze jedno dziecko — oświadczyła Malwina.

— Po co nam? Czy mało mam roboty z jednym?

— Chcę mieć drugie dziecko, gdyż boję się, że każesz mi w przyszłości chodzić do sklepu między te okropne leśne kobiety. Jeśli będę miała drugie dziecko, nie zmusisz mnie do opuszczenia domu.

— Nigdy ci nie pozwolę iść do sklepu — obiecał.

Raptem przyszła mu do głowy przerażająca myśl: być może las żądał od niego największej ofiary: rozkazu, aby Malwina sama poszła do sklepu. Być może to właśnie Malwiny nie akceptował las, który kochał kobiety takie jak Weronika, silne i samodzielne, odważne i pracowite.

— Boję się lasu, Malwino — wyszeptał. — Nie wiem dlaczego, ale czuję przed nim strach. Nie powinienem był zostać leśnikiem, a ty nie powinnaś mieszkać w leśniczówce.

Objęła go ramieniem i pociągnęła na tapczan. Wezbrał mu członek, wszedł w jej wilgotną pochwę. Poruszając się na Malwinie, Stęborek powtarzał swoje zaklęcie: „Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy". Potem strzyknął w nią nasieniem i uradował się myślą, że jeśli nawet nie potrafi zasiać lasu, to być może znowu zasieje w Malwinie nowe ludzkie życie.

Rankiem coś go pognało na uprawę. Zatrzymał harleya na linii działowej, w wysokiej i mokrej od rosy trawie, a potem przespacerował się po starym zrębie, gdzie rosły już tylko młode drzewa. Znalazł tylko jeden modrzew i długo mu się przypatrywał, starając się pojąć, dlaczego inne mu uschły, a ta sadzonka została i obsypała się zielenią. Przyklęknął przy wątłym drzewku i długą chwilę patrzył na zielone miękkie igły, z trudem opanowując w sobie szloch. Nagle jednak ogarnęła go niespodziewana radość. Czy nie podpisał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu? Za tydzień albo za dwa tygodnie ludzie w białych fartuchach zabiorą do szpitala Horsta Sobotę, a on, Stęborek, pojedzie wtedy specjalnie pod dom Horsta, aby zobaczyć jego twarz wykrzywioną cierpieniem.

Powrócił do swego harleya i właśnie chciał kopnięciem buta uruchomić silnik, gdy na drodze, w tym samym miejscu, gdzie nie tak dawno stał samochód nadleśniczego zobaczył mężczyznę na koniu. To jechał przez las strażnik łowiecki, Józef Maryn. Przed sobą na grzbiecie końskim wiózł dziewczynę, młodą blondynkę, o pięknej jasnej twarzy. Dziewczyna siedziała okrakiem na grzbiecie końskim, sukienkę miała podciągniętą wysoko aż pod pępek i Stęborek zobaczył jej długie zgrabne nogi, piękne białe gołe uda. Poznał ją — to była kelnerka z zajazdu w Gaudach. I choć jeszcze nie tak dawno miał Malwinę, zapragnął mocno owej dziewczyny, może dlatego, że Malwina miała uda bardzo chude i krzywe nogi. „Nigdy nie będę miał takiej dziewczyny" — pomyślał z żalem.

Józef Maryn kiwnął mu głową, pokazując w uśmiechu swoje białe zęby, dziewczyna zachichotała wstydliwie, ale nie zasłoniła sukienką nagich ud. Przejechali wolno obok Stęborka, a on długo patrzył za nimi. Strażnik łowiecki był w wojskowej świeżo wyprasowanej koszuli, w pięknie skrojonych spodniach i wyglansowanych długich butach. Jego szczupłą sylwetkę podkreślał czarny pas z kaburą na pistolet. Wszystko się wydawało piękne w tym człowieku — a szczególnie głowa bez czapki, mała głowa z jasnymi włosami krótko przystrzyżonymi.

Stęborek pomyślał o swojej łysiejącej głowie, rzadkich brudnych włosach, wypłamionym mundurku leśnym, który nosił pomięty, choć przecież Malwina mogłaby mu go odprasować. Butów też chyba od nowości nie dotknęła szczotka. „Nigdy nie pokażę Malwinie tego człowieka" — zdecydował, patrząc w to miejsce między drzewami, gdzie zniknął Józef Maryn i jego izabelowata klacz.

Na skraju lasu koło wsi Gaudy Maryn pomógł dziewczynie zeskoczyć z konia. Ranek był chłodny, dziewczyna siedziała przed nim i przytulała się do Maryna swoimi ciepłymi plecami — teraz dopiero poczuła chłód. Nie od razu poszła w kierunku wsi. Chwyciła klacz za lejce i wyczekująco patrzyła na mężczyznę roześmianymi oczami. Być może pragnęła go w tej chwili równie mocno jak w nocy. Jej drobne ciało tak naprawdę nigdy nie bywało nasycone.

— Przyjedziesz po mnie wieczorem? — zapytała przekrzywiając na bok głowę z jasnymi włosami. — Nigdy dotąd nie miałam tak wspaniałego chłopaka. Cztery razy mnie wziąłeś. To cudowne.

Drgnął jak gdyby go ktoś uderzył. A więc oceniała go, jak rasowego ogiera, który cztery razy wziął wysoką poprzeczkę.

— Nie przyjdę po ciebie wieczorem — oświadczył.

— A jutro?

— Też nie.

— Kiedy więc przyjedziesz?

— Nigdy.

— Dlaczego?

— Nie zrozumiesz mnie. To co z tobą, robiłem z wieloma. Z małymi i dużymi. Z chudymi i tłustymi, młodymi i starymi. Dwa, trzy, cztery, sześć razy. Krótko lub długo, godzinę i całą noc. A potem mnie klepały po szyi jak ogiera i mówiły, że byłem dobry. Bardzo dobry. Wspaniały. Dałem się oszukiwać przez to poklepywanie po karku. Moja żona odeszła ode mnie do takiego, co nie potrafi rżnąć, ale ją kocha. A potem, kiedy znalazłem się w kłopotach, pozostawiły mnie samego.

— O co ci chodzi? Ja ciebie kocham — przerwała mu płaczliwie.

— Nie dam się więcej oszukać. Chcę miłości wielkiej, czystej, prawdziwej, takiej, o której czytałem w książkach. Nic mi w życiu nie zostało oprócz tej nadziei.

Wyrwał jej lejce i odjechał galopem, nie oglądając się za siebie. Z drogi skręcił w wąską i krętą ścieżkę biegnącą przez sosnowy starodrzew, a potem między włochatymi świerkami. Miał zaciśnięte usta, ale zdawało mu się, że krzyczy do drzew, w półmrok ukryty pod łapami świerków: „Nie wolno być bez żadnej nadziei, a jedyną nadzieją człowieka pozostaje miłość". Z kobietą, którą się jedynie pożąda, może być lepiej lub gorzej, lecz zawsze bywa podobnie i zawsze się z nią więcej traci niż zyskuje. Za każdym razem człowiek pozostaje jeszcze bardziej samotny i dlatego ogarnia go jeszcze większy smutek. Jest bowiem tylko zwierzęciem spełniającym polecenie natury, aby zachować swój gatunek. Zbliża się do kobiety ze świadomością, że jeszcze raz zostanie oszukany i odchodzi z poczuciem oszustwa. Tylko miłość może wyprowadzić nas na wyżyny nieznane innym istotom żywym, uskrzydlić, uczynić z człowieka anioła.

Co z tego, że on, Maryn, noc w noc rżnął Erykę, jeśli mu potem rzuciła w twarz, że niedobrze jej się od tego robiło. Co z tego, że leśniczy Kulesza, noc w noc męczył swoją młodą żonę. Czy nie doprowadził do tego, że od niego odeszła? I czy on, Maryn, nie pojął istnienia prawdziwej miłości, gdy w ich leśniczówce noc w noc słuchał skrzypienia łóżka nad swoją głową? Cóż mu dała ta dziewczyna z Gaud? Co z nią przeżył takiego, czego nie przeżył z innymi kobietami? Czym różnił się jej spazm rozkoszy od spazmów innych kobiet? Czym różniła się jego rozkosz od tej, jaką miał z innymi kobietami. Być człowiekiem to znaczyło kochać i być kochanym. Jeśli komuś wystarcza spełnienie pożądania — niech żyje jak zwierzę bez świadomości, że istnieją jakieś inne wspaniałe światy. On, Maryn, już wie, że w takie światy danym jest człowiekowi wzlecieć nie może to być jednak podyktowane kalectwem jak u Weroniki, ani kalectwem jak u niego, gdy kilka godzin strachu spowodowało, że na długi czas pożądanie wyciekło z niego jak woda z dziurawej beczki. Teraz wie, że znowu może i potrafi posiąść kobietę, kiedy zechce i ile razy zechce. Teraz może decydować się na wybór — miłość czy samo pożądanie. Teraz też może znaleźć drogę do przezwyciężenia swojej samotności poprzez miłość czystą i prawdziwą, ogromną, wszechwypełniającą. Być może teraz poprzez miłość zdoła przełamać w sobie strach przed samotnością, która towarzyszyła mu przez tyle długich lat. Czyż nie był straszliwie samotny na Daperstraat przy boku Bernadetty? Czy nie był jak samotne dzikie zwierzę przy boku Eryki? I czy choć przez chwilę zdjął z siebie ciężar samotności, gdy leżał obok dziewczyny z Gaud?

Jechał przez las i niemal z miłością patrzył na zieleń pokrywającą gałęzie drzew liściastych. Nie czuł, jak Horst Sobota, nienawiści do lasu, ale przecież coś z gadania Horsta Soboty przesączyło się do jego świadomości. Las był chyba żywą istotą. Gdyby nie te długie godziny w leśniczówce Kuleszy, przenigdy nie odkryłby, że czegoś mu nie było danym przeżyć, ominęło go coś ważnego i niepowtarzalnego. Być może, aby spotkać miłość, trzeba było mieć w sobie także i zdolność do kochania, które uczłowieczało istotę ludzką. Jeśli nawet Maryn nie ma owej zdolności, to przecież jednak zawsze pozostaje nadzieja, że kiedyś ją w sobie odnajdzie.

Znalazł się na asfaltowej szosie, która prowadziła w głąb lasu, gdzie stały dwie wille otoczone wysoką siatką. Na tej drodze znajdował się kiedyś szlaban pomalowany kolorami flagi państwowej, ale już chyba dawno został złamany przez jakiś wielki samochód wywożący pnie do tartaku. Asfalt położono pośpiesznie (to była taka epoka pośpiechu, Maryn wtedy otrzymywał ciągle nowe i niekiedy sprzeczne ze sobą polecenia, które musiały być wykonywane natychmiast, bez względu na ryzyko). Nie zadbano o wykonanie twardego podłoża i wystarczyły dwie zimy, aby nawierzchnia drogi popękała, wykruszyła się, powstały w niej szerokie wyrwy, w które natychmiast wkroczył las. Gdy kopyta klaczy zastukały na spękanym asfalcie Maryn pomyślał, ile prawdy kryło się w ostrzeżeniach starego Soboty, że las wszystko pragnie ogarnąć i pochłonąć. W każdej szczelinie asfaltu już zieleniła się trawa, z wyrw i pęknięć wyglądały młode sosenki, tu i ówdzie z poboczy pochylały się nad drogą młode brzózki.

CDN

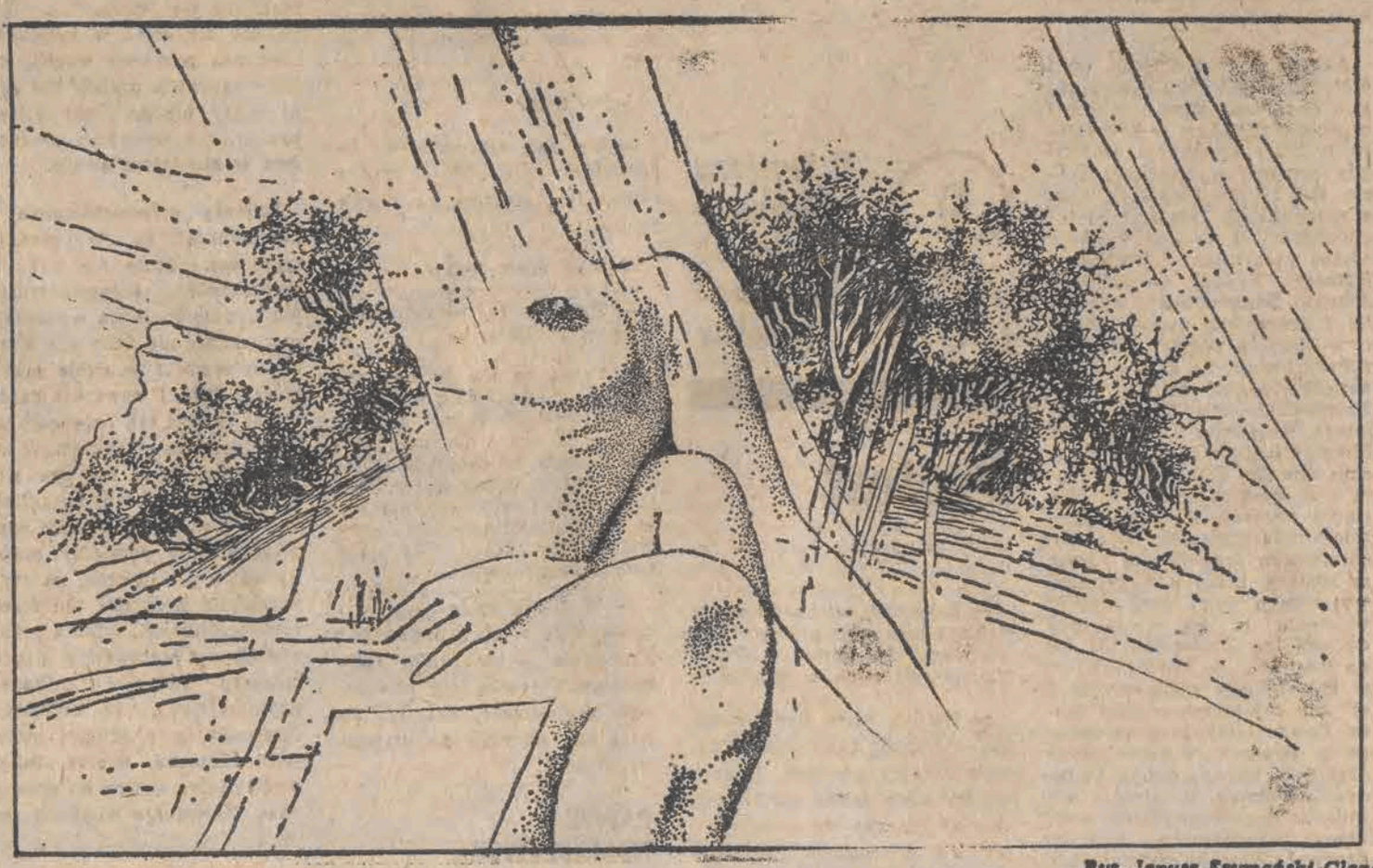

Rys. Janusz Szymański-Glanc